

WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE



KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW
I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

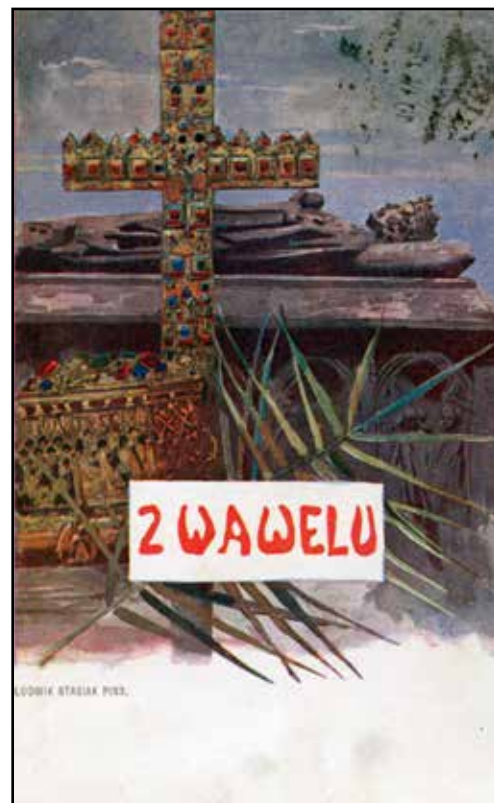
ISSN 1426-195
ROK XXIX nr 1 (112)
wiosna 2017
Cena: 4 zł



*Wesołych Świąt Wielkanocnych
życzą - Bochniacy*

Michalina Pięchowa

Triduum Sacrum w poezji i malarstwie



Ludwik Stasiak - kartki pocztowe wydawnictwa Stella w Bochni o tematyce Wielkanocnej - zb.pryw.S.K.

Dopiero co w murach świątyni radośnie brzmiały słowa kolędy *Pójdźmy wszyscy do stajenki, do Jezusa i Paniunki*, a już śpiewamy „Wisi na krzyżu Pan, Stwórca Nieba.” Zaczął się Wielki Post, w którym wyjątkowe przeżycia dla wiernych przynoszą trzy dni: Wielki Czwartek, Piątek i Sobota – Triduum Sacrum – dni Męki Pańskiej.

Dzień pierwszy:

Tak nadszedł dzień Przaśników, w którym należało ofiarować Paschę. Jezus posłał Piotra i Jana z poleceniem: *Idźcie i przygotujcie nam Paschę, byśmy mogli ją spożyć. A, gdy nadeszła pora, zajął miejsce u stołu i Apostołowie z Nim* {Łk.22,7-14}

Ten moment stał się inspiracją dla wielu artystów wszech czasów. Jak sobie wyobrażał tę chwilę Leonardo da Vinci, człowiek renesansu, świadczy „Ostatnia wieczerza”. Na mokrym tynku w refektarzu Santa Maria delle Grazie w Mediolanie wykonał fresk. W ten sposób utrwalił Mistrza w otoczeniu Apostołów. Gesty i mimika



Ludwik Stasiak - Wyd. Stella w Bochni - zb.pryw.S.K.

spozrywających wieczerzę przemawiają za tym, że artysta uchwycił chwilę, która wszystkich żywo poruszyła, moment, gdy Chrystus wypowiedział słowa: *Jeden z was mnie zdradzi.*

Autorka publikacji „Leonardo da Vinci” Maria Rizzatti tak charakteryzuje centralną postać tj. Chrystusa: *przepojony wyrazem wzniesłego smutku, jest z pewnością jednym z najszlachetniejszych, najwspanialszych wyobrażeń Zbawiciela, jakie kiedykolwiek stworzył geniusz malarzski. Leonardo długo szukał dlań modelu, a potem stworzył szereg studiów przygotowawczych.*

Podczas tej nocy,
Bez której nie moglibyśmy istnieć . . .
pisze Roman Brandstaetter w swej „Ostatniej wieczerzy”
patrzac
Coraz natarczywiej w Młodzieńca,
Który zamoczywszy w misie
Kęs przaśnego chleba,
Wyciągnął przed siebie dłoń
I częstował ich...
„Ten chleb jest moim ciałem. Jedzcie go.

W tym chlebie jest materia wszystkich światów
To rzekłszy, podał im kielich wina.
To wino jest moją krwią. Pijcie je.

I tak Chrystus ustanowił sakrament Eucharystii, a potem udzielał ostatnich pouczeń. Tymczasem zapadła noc. Opuścili więc wieczerzik i udali się na Górę Oliwną. „A kiedy przyszli do ogrodu zwanego Getsemani, Jezus rzekł do swoich uczniów: *Usiądźcie tutaj, ja tymczasem będę się modlił* { Mk.14, 32-34}. Scenę tę utrwalił w poetyckim obrazie żyd tarnowski, który uwierzył w Chrystusa, R.Brandstaetter.

*Gdy smutna się stała Jego dusza aż do śmierci,
Odszedł na rzut kamienia i padł na oblicze . . .*

Modlił się;

*Ojcze, boję się ludzkim strachem
I smucę się ludzkim smutkiem,
Błagam Cię, odejmij ode mnie
Tę godzinę krzyża.”*

Tę scenę przybliży nam szesnastowieczny malarz Veronese, jeden z najwybitniejszych obok Tycjana i Tintoretta. Jego płótno „Chrystus w Ogrodzie Oliwnym” z 1583 roku ukazuje omdlewającego Jezusa, podtrzymywanego przez anioła. Strumień światła, płynącego z nieba, podkreśla niezwykłość zjawiska. Obraz wiernie oddaje sytuację opisaną w Ewangelii. A potem wypadki następowały w błyskawicznym tempie: pojmanie, uwięzienie, biczowanie, cierniem ukoronowanie i wyrok.

Dzień drugi Triduum

Szedł krętymi i kamienistymi uliczkami Jerozolimy. Potykał się, upadał pod ciężarem krzyża, ranił sobie stopy o kamienie.

Drugi z malarzy, Tintoretto {1518 – 1594}, reprezentant dojrzałego renesansu, utrwalił tę drogę Bożego Syna aż do Jego śmierci. Z wielkim rozmachem, stosując grę światła i cienia, namalował obrazy :”Droga na Golgotę”, „Ukrzyżowanie”, „Złożenie do grobu”. Wyraził w nich nie tylko dramatyzm chwili, ale również swą głęboką religijność.

Pełnym ekspresji jest też płótno Tycjana „Ukrzyżowany”. Na pierwszym planie drewniany krzyż, wznoszący swe ramiona ku niebu, na nim rozpięty Chrystus. Spod cierniowej korony spływa krew. Udręczona twarz nie daje znaków życia. Ciało napięte, w boku ślad lancy. Wbrew temu, co mówi Ewangelia, Jezus umiera samotnie. Tło stanowią drzewa, wzgórze i niebo zaciągnięte ciemnymi chmurami, rozdarte przez błyskawicę. Świadectiono św. Jana {J.19, 25-27} wymienia stojące pod krzyżem: Matkę Jego, żonę Kleofasa i Marię Magdalenę. „Kiedy więc Jezus ujrzał Matkę i stojącego obok Niej ucznia, którego miłował, rzekł do Matki :„Niewiasto, oto syn Twój.” Następnie rzekł do ucznia: „Oto Matka twoja”.

Komentarzem niejako do tego tekstu jest piętnastowieczna pieśń „Żale Matki Boskiej pod krzyżem”. W przeciwieństwie do innych pieśni, które są modlitwami do Matki Chrystusa, ta

wyraża ból Maryi, oczekującej pociechy od ludzi. Do późniejszych należy poetycka parafraza trzynastowiecznej sekwencji mszalnej „Stabat Mater” napisana przez Teofila Lenartowicza, poetę XIX wieku.

*Wiatr w przelocie skonał chyżym,
Przeniknęła ziemię zgroza,
Krzyż na skale, a pod krzyżem
Stabat Mater Dolorosa.*

Grozę sytuacji w obliczu śmierci Syna Bożego oddają następujące wersy:

*Zadnych słów i żadnych głosów,
Krew z korony Bożej spływa...*

Kazimiera Zawistowska (1870- 1902) przekazała inny moment dramatu rozgrywającego się na Golgocie:

*Kiedy na piaskach skonał Kalwarii
Król Nazareński, Jezus, syn Maryi,
To dwóch żołdaków opodał grało
O szatę Jego, bez szwu i białą.*



Tintoretto - Ukrzyżowanie (fragment)

Kiedy przebito bok Chrystusa, według relacji wszystkich trzech Ewangelistów, Józef z Arymatei i Nikodem „zabrali ciało Jezusa i obwiązali Je w płótna razem z wonnościami, stosownie do żydowskiego sposobu grzebania.” {Mt.27,40-40}

Dzień trzeci Triduum

Zdjęcie ciała Jezusa z krzyża i złożenie w grobie stało się momentem zwrotnym nie tylko w dziejach cywilizacji, w historii Kościoła, w życiu każdego z nas, ale również przyczyniło się do powstania wielu dzieł na przestrzeni wieków. Zaczynamy od Rafaela. Jego „Złożenie do grobu” {1507} ukazuje grupę kobiet podtrzymujących Matkę Jezusa, grupę, która skłania się w prawą stronę, natomiast układ ciała zdjętego z krzyża i skupionych wokół niego postaci w stronę lewą. Przedstawione postaci tworzą całość bardzo żywą i spójną.

Żyjący w XVII wieku Caravaggio również podejmuje ten temat. W Muzeum Watykańskim przykuwa uwagę zwiedzających płótno, na którym malarz umieścił pięć postaci, podtrzymujących zmarłego Syna Marii. Obok Jego Matki znajdują się: Jan, Maria - żona Kleofasa, Maria Magdalena, Nikodem, każde z nich inaczej reaguje na widok Nauczyciela z Nazaretu i na wydarzenie, którego są świadkami. Do tego doskonałego dzieła, dającego dramatyzm sytuacji poprzez kontrast barw, nawiązywać będą artyści różnych epok, między innymi Rubens.

Po powrocie z Włoch mistrz maluje tryptyk „Podniesienie krzyża”, w dwa lata później powstaje następny „Zdjęcie z krzyża”. Wpływ włoskiego malarza widoczny jest głównie w stosowaniu mocnych kontrastów, między cieniem a światłem. I tak można by mnożyć przykłady dzieł, które zainspirowała Męka Pańska. Gdy idzie o poezję, to najmocniej przeżywają mękę Chrystusa twórcy średniowiecza, powstają wtedy liczne misteria. Nad cierpieniem Matki Bolesnej pochylają się poeci baroku, a romantycy łączą mękę i śmierć Jezusa z tragedią i przeżyciami narodu polskiego po stracie niepodległości.

Zofia Sitko

Święci gimnazjaliści

Alojzy, Jadwiga, Stanisław, Kazimierz i Karolina

Świętujące w tym roku jubileusz 200-lecia 1 Liceum Ogólnokształcące w Bochni (dawniej Gimnazjum) od 1817 roku kształciło w większości katolicką młodzież. I choć w Bochni i okolicach występowała protestanci, mający swój zbor w Gawłowie, a także Żydzi, stanowiący przed II wojną światową 1/3 społeczności miejskiej, to jednak gimnazjaliści innego (niż katolickie) wyznania byli w zdecydowanej mniejszości. Na mocy ustaw o zewnętrznych stosunkach prawnych Izraelitów (1868, 1869 i 1890) w szkole zorganizowano naukę religii mojżeszowej dla uczniów pochodzenia żydowskiego.

W czasach zaborów sytuacja polityczna wymuszała na dyrekcji i profesorach lojalność wobec władz austriackich. Z pompą obchodzono wszelkie święta państwowe, rocznice cesarskie oraz imieniny Najjaśniejszego Pana i Jego Najdostojniejszej Małżonki. Takiej okazji zawsze towarzyszyła msza św., a po niej uroczysta akademicka. Mszą także rozpoczynano i kończono każdy rok szkolny. Kronika gimnazjalna, obejmująca lata 1817 – 1904, dostarcza szczegółowych informacji na temat udziału uczniów w okolicznościowych mszach, a także uczęszczania do spowiedzi i komunii św. Katecheci polecali młodzież wstawiennictwu św. Alojzego Gonzagi, którego uznano za patrona szkoły. W „Sprawozdaniach gimnazjalnych” niejednokrotnie spotkać można określenie „zakład im. św. Alojzego w Bochni”.

Wspomniany święty pochodził z książęcej rodziny, rezydującej pod Mantuą. Był paziem na włoskich i hiszpańskich dworach. Wbrew woli rodziców wstąpił do jezuitów i jako zakonnik pielęgnował chorych na dżumę. Zmarł, mając niespełna 23 lata. Stał się popularnym patronem studentów (tak też zwano w XIX wieku gimnazjalistów).

Z początkiem XX wieku w bocheńskich szkołach uczyło się łącznie prawie 3 tysiące uczniów. Gimnazjaliści w każdą niedzielę gromadzili się przed gmachem szkoły, formowali w czwórki, a następnie w pochodzie, wraz z wychowawcami, szli w dół ulicą Bernardyńską na mszę do kościoła św. Mikołaja.

Tłum robił się ogromny, zwłaszcza że był to wówczas jedyny kościół w mieście. Zwykle uczniowie, ustawieni klasami, stali na zewnątrz kościoła, ewentualnie pod chórem. Z inicjatywy ks. prefekta Alojzego Nalepy w 1906 r. podjęto starania o wybudowanie kaplicy gimnazjalnej bądź dobudowanie jej do gmachu szkoły (w miejscu, gdzie obecnie jest sala gimnastyczna). Z czasem pomysł ten przerodził się w myśl budowy osobnej świątyni, przeznaczonych głównie dla młodzieży. W sierpniu 1918 r. powstał Komitet Budowy Kościoła Szkolnego (inż. Erwin Windakiewicz – przewodniczący, ks. proboszcz Antoni Wilczkiewicz – zastępca przewodniczącego, dyrektor Gimnazjum Józef Kurowski – zastępca przewodniczącego, katecheta gimnazjalny ks. Michał Pawlus – sekretarz i prefekt ks. Alojzy Nalepa – skarbnik), który skierował *Odezwę* do mieszkańców Bochni, apelując o pomoc w sfinansowaniu budowy. Społeczeństwo bocheńskie odpowiedziało na apel bardzo ofiarnie i do końca 1919 roku zebrano 25 tysięcy koron. Jednak na skutek inflacji kwota ta zdecydowanie zmalała i dopiero pieniądze przekazane przez uczestników zjazdu absolwentów Gimnazjum w 1925 r. pozwoliły na zakup parceli i rozpoczęcie budowy. Na potrzeby nowego kościoła uczniowie organizowali okazjonalne przedstawienia teatralne i patriotyczne oraz jasełka, z których dochód przekazywano Komitetowi Budowy. 18 września 1932 r. odbyła się uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego przez biskupa pomocniczego tarnowskiego ks. Edwarda Komara. Budowa trwała 5 lat. Na podstawie projektu krakowskiego architekta Wacława Nowakowskiego wzniesiono kościół z kamienia i cegły, o przysadzistej bryle, który miał pomieścić 1200 osób. 80 lat temu – 17 maja 1937 r. ks. biskup Franciszek Lisowski poświęcił kościół szkolny pod wezwaniem św. Stanisława Kostki i odprawił pierwszą mszę świętą w tej świątyni.

Wybór patrona wydaje się nieprzypadkowy i pełen wspólnych wątków ze św. Alojzym. Stanisław Kostka herbu Dąbrowa był Polakiem, synem kasztelana zakroczymskiego, Jana. Nie



Św. Alojzy Gonzaga



Św. Stanisław Kostka



Św. Kazimierz Jagiellończyk



Bl. Karolina Kózkówna

pochodził z książęcego rodu (jak Alojzy), niemniej na tyle „dobrze urodzony”, że rodziców stać było na kształcenie syna w Wiedniu. Analogicznie, wbrew woli rodziców, postanowił wstąpić do jezuitów, gdzie po przyjęciu święceń zakonnych zachorował na malarię (tam dżuma) i zmarł w młodym wieku (miał 18 lat, Alojzy 23). W kościele szkolnym jest upamiętniony w płaskorzeźbie w jednym z bocznych ołtarzy.

Kolejnym patronem młodzieży, szczególnie zrzeszonej w Sodalitce Mariańskiej, był królewicz Kazimierz Jagiellończyk, syn Kazimierza IV Jagiellończyka i Elżbiety Rakuszanki. Uczeń Długosza i Kallimacha był wszechstronnie wykształcony i dobrze przygotowany do objęcia rządów. W wieku 17 lat uczestniczył w posiedzeniach rady koronnej. Przez prawie dwa lata był namiestnikiem ojca w królestwie. Miał tytuł "secundogenitis Regis Poloniae". Zmarł na gruźlicę w wieku 26 lat.

Uroczystości kanonizacyjne królewicza odbyły się w 1604 r. w katedrze wileńskiej. Poświęcono wówczas kamień węgielny pod pierwszy kościół ku czci św. Kazimierza przy kolegium jezuitów. W bocheńskim kościele szkolnym jeszcze do lat 90 wystawiona była figura, przedstawiająca św. Kazimierza, obecnie ze względów konserwatorskich nieekspozowana. Dodatkowo królewicz wyobrażony jest w okrągłym witrażu i polichromii.

Wszyscy ww. święci, patronujący młodzieży gimnazjalnej, byli młodzi, szlachećni urodzeni i wykształceni. Wszyscy też byli związani z jezuitami, którzy za jedno z najważniejszych

wartości zawsze uznawali wysokie zalety duchowe oraz mocne predyspozycje intelektualne i osobowościowe.



Królowa Jadwiga, mal. P. Stachiewicz

Inaczej, nie tak jednorodnie, sytuacja wyglądała z patronkami. W historii szkoły (tj. do 1939 roku) pojawia się postać św. Jadwigi. Sprawozdania Dyrekcji Państwowego Gimnazjum w Bochni z lat 20. XX wieku w rozdziale *Wychowanie moralne* podają informacje o drużynie gimnazjalnej im. królowej Jadwigi, prowadzonej przez prof. Emilię Słuszkiewiczównę. Na opiekunkę drużyny wybrano postać wielkiego formatu – córkę królewską z dynastii Andegawenów, starannie wykształconą, znającą języki obce, koronowaną na króla Polski. W kościele szkolnym postać świętej wyobrażono w polichromii. W 1987 roku, w związku z beatyfikacją Karoliny Kózkówny, usiłowano propagować jej kult wśród młodzieży.

Postać błogosławionej była zupełnie inna od dotychczasowych, wspomnianych wyżej, patronów. Była to wiejska dziewczyna spod Radłowa, z podstawowym wykształceniem. Niezwykle pobożna, aktywizowała religijnie lokalne środowisko. Została zamordowana w wieku 16 lat przez rosyjskiego żołnierza. Stała się patronką Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. W kościele szkolnym złożono jej relikwie w bocznym ołtarzu, przedstawiającym postać męczennicy.

Przypisy:

¹ Sodalitka Mariańska - katolickie stowarzyszenie osób świeckich, którego celem było łączenie życia chrześcijańskiego z nauką.

Ewa Rosiek-Buszek

W kręgu rodzinnej tradycji

Wspomnienie o moich rodzicach - Barbarze i Mieczysławie Rośkach

Jak w krótkim tekście opisać i podsumować życie najbliższych? To szalenie trudne zadanie. W długim i ciekawym życiu moich Rodziców było wiele ważnych etapów, a o przyszłości rodziny decydowały niejednokrotnie trudne wybory.

W kwietniu mija druga rocznica śmierci mojej mamy Barbary (1921-2015), Mieczysław (1915-2005) odszedł już jedenaście lat temu. Czas po śmierci Rodziców to okres smutku, porządkowania spraw rodzinnych, czas wspomnień oraz zamykania bardzo ważnych, kolejnych etapów w życiu. Powoli opadają emocje i zaczynamy przyzwyczajając się do wielkiej nieobecności najbliższych. W rodzinnych opowieściach powracają ważne chwile i wspólnie podejmowane decyzje, które decydowały o dalszych losach. Jedną z takich właśnie decyzji sprzed lat był pomysł obecności naszej rodziny w tym magicznym miejscu jakim jest Wiśnicz. Była to decyzja o uratowaniu starego domu

należącego do rodziny Rośków i umożliwieniu zamieszkania w nim. To było marzenie głównie Ojca, aby stworzyć w nim warunki do zamieszkania, zachęcające do wiśnickich powrotów jego dzieci, wnuków i prawnuków. Do pomysłu z właściwą sobie energią zaangażowała się także Mama Barbara - lwowianka.

Po wojnie, ze swoimi rodzicami, a moimi Dziadkami, Kozłowskimi, zamieszkała w Gliwicach. Nigdy nie przestali tęsknić za Lwowem. Pamiętam z dzieciństwa, że zapytana skąd jestem, odpowiadałam: z *kolejnego obozu uchodźców ze Lwowa*. W Gliwicach miał powstać Wydział Architektury Wnętrz przeniesiony ze Lwowa, więc tam zamierzała rozpocząć studia moja 19-letnia wówczas Mama. Niestety nigdy nie otwarto tego kierunku. Powstał we Wrocławiu, a sytuacja rodzinna nie pozwoliła już na kolejną zmianę miejsca zamieszkania. Życie pisało scenariusze nie zawsze zgodne z marzeniami.

Jednak Gliwice jawiły się jako miasto z dużym potencjałem. Niemal 90% społeczności to była inteligencja lwowska, a dla repatriantów było bardzo ważne - być między swoimi. Tworzyło się silne środowisko akademickie. To nowe, budowane na starej lwowskiej kadrze naukowej, przyciągało absolwentów Politechniki Lwowskiej, do jakich należał mój Ojciec. Zarówno Ojciec jak i Dziadek Władysław Rosiek ukończyli tę znakomitą uczelnię. Gliwice, piękne, mało zniszczone miasto, spełniało wszystkie warunki, aby łączyć z nim przyszłość. Jednym z ważnych argumentów była bliskość Krakowa, w którym Barbara i Mieczysław mieli rodziny. Po wojnie rodziny rozjechały się po świecie i po Polsce. Dla mojego Ojca ważna była również bliskość Nowego Wiśnicza.



Barbara Kozłowska-Rosiek - 1941 r.

Tato, urodzony w Makowie Podhalańskim (w czasie ucieczki na Morawy w 1915 roku) powrócił z matką Stefanią do Nowego Wiśnicza i tam czekali na powrót z Syberii dziadka Władysława. Niestety, szalejąca w 1918 roku grypa, zwana Hiszpanką, przerwała życie jego Matki, a mojej Babci i rodzice jego nigdy się już nie spotkali.

Niespełna trzyletni Mieczysław, pod opieką swoich dziadków, czekał dalej na powrót niewidzianego nigdy Ojca. Potem życie małego chłopca potoczyło się dalej. Rozpoczął się okres edukacji szkolnej. Najpierw w szkole powszechnej w Nowym Wiśniczu, a potem w gimnazjum i liceum w Bochni, które niebawem będzie obchodziło swój jubileusz 200-lecia. Mieszkał wtedy na stacji w Bochni i ta szkoła ukształtowała jego charakter.

Po maturze wyjechał do Lwowa i zdał egzaminy na wydział, który ukończył przed laty jego Ojciec. I tak rozpoczął samodzielne życie. Zapisał się jeszcze jako student do Lwowskiego Koła Stowarzyszenia Bochniaków. Karierę zawodową, jaką otwierał dyplom Politechniki, przerwała wojna, która zmieniła bieg historii i zadecydowała o losach wielu tysięcy ludzi.



Barbara i Mieczysław Roskowie - Nowy Wiśnicz- 1985 r.

P o t y m mrocznym okresie, nastąpiły kolej-

ne lata pełne wyzwań. To nowy rozdział w życiu moich Rodziców – młodych ludzi, Barbary i Mieczysława. W Gliwicach okazało się, że we Lwowie mieszkali niedaleko siebie. We Lwowie na spacerach, łyżwy, narty chodzili w te same miejsca, ale wtedy on, pan student Politechniki i ona - panienska, uczennica znanego lwowskiego Gimnazjum imienia Królowej Jadwigi, nie mieli szans się spotkać.



Mieczysław Rosiek - 1937 r.

Spotkali się dopiero, po wojennej zawierusze, w Gliwicach. Środowisko młodych, pełnych marzeń ludzi, budowało powoli przyszłość, starając się zapomnieć o cierpieniach wojny. Po latach poszukiwań do rodziny dołączył ojciec Barbary, Józef Kozłowski, inżynier budownictwa. Barbara uczyła się, pracowała jako scenograf, nauczyciel plastyki, pracownik politechniki. Mieczysław zatrudniony został jako pracownik naukowy na Wydziale Górniczym Politechniki Gliwickiej. Przez wiele lat związany był ze Zjednoczeniem Przemysłu Węglowego oraz KWK Gliwice i KWK Sośnica, tworzył nowatorskie technologie wiertnicze i wydobywcze.

W latach 1949/50 życie potoczyło się zwyczajnie. Spotkanie, miłość, rodzina, dzieci, decyzje na zawsze i do końca życia. Moi Rodzice przez 56 lat byli wspaniałym małżeństwem. Mój brat został absolwentem Politechniki Gliwickiej, a ja poszłam w ślady Mamy i studiowałam Architekturę Wnętrz w Krakowskiej ASP. W moim życiu pojawił się także Wiśnicz. Jestem bowiem absolwentką Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Wiśniczu. Pięć wspaniałych lat w tej niezwykłej szkole zostało cudowne wspomnienia. W chwili, gdy na świat przyszedł wnuczek, odrodziło się dawne marzenie o odtworzeniu rodzinnego gniazda. Lwów to wieczna tęsknota, a ta tęsknota przerodziła się w potrzebę posiadania bezpiecznego miejsca dla rodziny. Takiego na zawsze, bo powrotu do Lwowa już nie ma. Wybór był oczywisty - Nowy Wiśnicz.

Rodzice coraz częściej bywali w tym niezwykle ważnym, magicznym dla Ojca miejscu. Powoli tworzyli nową historię starego domu. Przez kilka lat Ojciec odtwarzał starannie drzewo genealogiczne rodziny. To ważne dla tożsamości wszystkich jej członków. Patriotyzm, wiara, miłość i kontynuacja. I ta niezwykle ważna pewność, że to miejsce na ziemi należy do nas. Moi Rodzice do końca życia pozostali sercem związani z Gliwicami i Nowym Wiśniczem. Nigdy nie zrezygnowali z żadnego z tych miejsc. Angażowali się w życie Nowego Wiśnicza, sekundowali przemianom.

W Galerii Dzwonnica przy kościele parafialnym zaprezentowaliśmy pierwszą z cyklu wystaw rodzinnych pt. „Sztuka Pasją Trzech Pokoleń”. Do nowego domu na wakacje i spotkania rodzinne przyjeżdżały wnuki, a teraz już prawnuki. Drzewo genealogiczne zaczyna się od udokumentowanej daty 1796 rok. 221 lat zobowiązuje, kontynuacja rodzinnej obecności w Nowym Wiśniczu stała się faktem.

Ewa Rosiek-Buszko

Roman Kucharski

Rodzina Serdów rodem z Bochni

Na zabytkowym Starym Cmentarzu w Tarnowie pochowanych jest dużo znanych osób i rodzin, zasłużonych dla miasta Tarnowa i regionu, których korzenie rodzinne wywodzą się z Bochni. Do nich należy rodzina Serdów.

Teodor Serda - doktor praw, urodził się w Bochni. Był synem Teodora Serdy, dyrektora szkoły realnej w Bochni i Justyny z Zygmuntońskich. Po ukończeniu studiów podjął pracę jako adwokat w Tarnowie.

W 1858 r. ożenił się z tarnowianką Aurelią z Kozdrańskich. Mieszkali w kamienicy przy placu Sobieskiego w Tarnowie. Z ich małżeństwa urodził się syn Aureli, nazwany od imienia swojej matki, późniejszy pułkownik c.k. armii austriackiej i generał brygady a później generał dywizji Wojska Polskiego. O nim szerzej za chwilę. Drugim dzieckiem tego małżeństwa była córka Irena, urodzona w 1863 r., absolwentka ASP w Krakowie, uzdolniona malarka. Studiowała malarstwo także w Monachium, w Wiedniu i w Paryżu. Dr Teodor Serda, ceniony adwokat, zmarł 28.03.1869 r. w wieku 49 lat po krótkiej chorobie. Jego żona, Aurelia, jako wdowa samotnie wychowywała dzieci. Prowadziła niewielkie przedsiębiorstwo tj. postój dorożek, w pobliżu swojej kamienicy, przy placu Sobieskiego w Tarnowie. Dorożki były w tamtym czasie bardzo popularnym środkiem komunikacji osobowej po mieście, tak jak dzisiaj taksówki. Nie wiadomo, gdzie Aurelia zmarła. Pochowana została w grobowcu Serdów i Kozdrańskich na Starym Cmentarzu w Tarnowie (kwatery XX), obok swojego męża dr Teodora Serdy.

Wspomniana wyżej córka Irena jako malarka miała wiele wystaw już w okresie przed I wojną światową. Powróciła do Tarnowa w 1895 r. i tu poznała doktora Jana Zbigniewicza, urodzonego w Grybowie, znanego tarnowskiego lekarza. Wyszła za niego za mąż w 1899 r. Po stażu zrobił on specjalizację z położnictwa i ginekologii. Pracował jako lekarz w tarnowskim szpitalu, podejmując też obowiązki lekarza nadwornego w pałacu Sanguszków w Gumniskach. Księżna Konstancja Sanguszkowa darzyła go wielkim zaufaniem. W 1901 r. odbierał poród jej jedyne go syna - księcia Romana. Miał też bardzo dobrze wyposażony prywatny gabinet lekarski w swoim domu. Był zapalonym działaczem społecznym, działał w wielu towarzystwach tarnowskich, był też radnym miejskim i w-ce burmistrzem Tarnowa w 1912 r. oraz naczelnym lekarzem Kasy Chorych od 1921r.

Mieszkając z rodziną w kamienicy przy placu Sobieskiego, dobudował na sąsiedniej parceli nową, efektowną kamienicę z charakterystyczną werandą, gdzie po wojnie do lat 90. mieściła się restauracja „POPULARNA”. Był dobrym myśliwym, lubił polować, zdobył tytuł „króla kurkowego”. Wysoki, przystojny, cieszył się dużym powodzeniem u kobiet. W okresie międzywojennym w Tarnowie krążyła plotka, jakoby on był ojcem księcia Romana Sanguszki.

Z małżeństwa dra Jana Zbigniewicza i Ireny z Serdów było dwóch synów, tj. Henryk, który zmarł w młodym wieku (1900-1918), oraz Stefan Zbigniewicz (1904-1942). Stefan odziedziczył po matce zdolności artystyczne. W 1927 r.

ukończył ASP w Krakowie, gdzie studiował u Ksawerego Dunikowskiego. Wkrótce stał się znanym i cenionym rzeźbiarzem. Studiował też we Włoszech i w Paryżu, doskonaląc swoje umiejętności. Rzeźbił liczne popiersia portretowe, wykonał rzeźby m.in. w kościele OO. Bernardynów w Krakowie. W 1942r został aresztowany przez gestapo i wywieziony do obozu w Oświęcimiu. Tam został rozstrzelany wraz z grupą krakowskich artystów.

Dr Jan Zbigniewicz – zięć Teodora Serdy zmarł po krótkiej chorobie 13.01.1931 r. w wieku 65 lat i pochowany jest w grobowcu Serdów i Kozdrańskich (kwatery XX). Jego żona - Irena z Serdów po II wojnie żyła w Krakowie w opuszczeniu, malując i wystawiając obrazy. Była piękną, ekstrawagancką kobietą. Zmarła w Krakowie, w Domu dla Ubogich im. Helclów w 1954 r.

Teraz trochę więcej informacji o wspomnianym wyżej generale brygady Aureliusz Serda, który był synem dra Teodora Serdy i Aureli z Kozdrańskich. Urodził się 25 kwietnia 1860 r. Gdy miał zaledwie 9 lat, zmarł mu ojciec. Był zdolnym uczniem i ukończył z wyróżnieniem tarnowskie c.k. Gimnazjum. W latach 1879-1881 studiował prawo na uniwersytecie w Wiedniu, jednak z przyczyn materialnych przeniósł się na Uniwersytet Jagielloński. Jego matce trudno było, jako wdowie, utrzymać na studiach dwójkę dzieci. W 1881r. Aureli Serda zdecydował się wstąpić do wojska do 1 pułku ułanów c. k. armii austro-węgierskiej w Krakowie i po roku służby pozostał w wojsku jako żołnierz zawodowy. Awansował na stopień podporucznika, bo znał dobrze język niemiecki z czasów studiów w Wiedniu i miał spore doświadczenie wojskowe. Dzięki temu szybko też awansował na porucznika i osobistego adiutanta dowódcy XIII Korpusu. Za dobre wypełnienie obowiązków w armii odznaczony został Orderem Żelaznym Korony i skierowany do Szkoły wojskowej

w Przemyślu, gdzie szkolił się z organizacji pola walki, zasad użycia różnych rodzajów broni i organizacji wyższych związków wojskowych. Po zakończeniu nauki został dowódcą 4 szwadronu w 3 pułku ułanów w stopniu rotmistrza. Do wybuchu I wojny światowej pełnił służbę w różnych jednostkach na terenie monarchii austro-węgierskiej. W 1905 r. zdał z odznaczeniem egzamin na oficera sztabowego i został wykładowcą w Szkole Wojennej w Wiedniu, prowadząc zajęcia z taktyki i jazdy. W 1909r w stopniu majora został dowódcą szwadronu w 1 pułku ułanów w Wiedniu. W 1912 r. awansował na stopień podpułkownika, a gdy wybuchła I wojna światowa, został dowódcą 12 pułku dragonów w stopniu pułkownika. Jego pułk wchodził w skład 9 Dywizji Kawalerii i walczył na froncie rosyjskim (Galicja, Wołyń, Królestwo Polskie). W bitwie pod Teodorówką i w innych bitwach 12 pułk pod jego dowództwem walczył bardzo dzielnie, za co w połowie 1916 r. płk Aureliusz Serda otrzymał szlachectwo i przydomek Teodorski, który stał się drugą częścią jego nazwiska. Jego pełne nazwisko brzmiało teraz: Aureli Serda – Teodorski. Po wyleczeniu kontuzji, odniesionej w bitwie pod Tobałami nad Stochodem, otrzymał dowództwo grupy przeszkolenia kawalerii 9 Dywizji a potem dowództwo przeszkolenia uzupełnień jazdy całego frontu.

W lutym 1918 r. został komendantem obozu wojskowego w Hunszt na Węgrzech, gdzie internowano legionistów polskich z 2 Brygady Legionów Józefa Hallera, którzy odmówili złożenia przysięgi na wierność monarchii austro – węgierskiej. Za okazywaną przychylność osadzonym tam legionistom, Aureli Serda – Teodorski ukarany został przeniesieniem na niższe stanowisko do innej jednostki na terenie Czech, a w lipcu 1918 r. skierowano go na front włoski. Tam jako dowódca 25 Brygady Strzelców Konnych, 34 Brygady Piechoty, a potem 12 Dywizji Strzelców Konnych wykazał się dużą odwagą i zdolnościami w dowodzeniu. Po załamaniu się frontu, mimo okrążenia przez oddziały włoskie przeprowadził silne uderzenie i dzięki temu wyprowadził swoją dywizję przez góry Alpy do Austrii.

Gdy nadeszły wiadomości do frontowych jednostek o tym, że wojna zakończyła się, Polacy, wcieleni do oddziałów armii austro- węgierskiej zaczęli masowo opuszczać linie frontu i wracać do Ojczyzny. Rzeczpospolita po 123 latach zaborów odzyskała niepodległość. Wraz z żołnierzami powrócił też płk Aureli Serda – Teodorski, który już 10.01.1919 r. podjął służbę w Wojsku Polskim jako dowódca rezerw w armii „Wschód” gen. Tadeusza Rozwadowskiego. W czasie wojny polsko – ukraińskiej dowodził m.in. obroną linii kolejowej Lwów – Przemyśl oraz polskimi oddziałami w walkach pod Kiernicą, Lubieniem Wielkim i Małym, pod Bratkowicami. Dnia 28 lutego 1919 r. został ranny w czasie toczonych walk i przebywał w szpitalu w Krakowie, a potem na urlopie zdrowotnym do 4 czerwca.

W czerwcu 1919 r. awansował na generała brygady i skierowany został do Francji z misją do armii gen. Józefa Hallera, aby sprowadzić ją do Polski, bo dopiero co odzyskana niepodległość była zagrożona. Misja powiodła się a gen. Serda – Teodorski wrócił jako z-ca dowódcy 3 Dywizji Strzelców Konnych w armii gen. J. Hallera i wraz z nią walczył z oddziałami ukraińskimi na froncie wołyńskim m.in. pod Horyniem.

W czasie wojny polsko – bolszewickiej w 1920 r. był generałem do zadań specjalnych przy Naczelnym Dowództwie

jako szef Polskiej Misji Wojskowej przy rządzie Ukraińskiej Republiki Ludowej atamana Semena Petlury. Następnie został powołany na stanowisko Głównego Inspektora Kawalerii, później był z – cą dowódcy Okręgu Generalnego nr VII w Poznaniu. Dnia 31 maja został awansowany na stopień generała dywizji i przeniesiony w stan spoczynku, ale w służbie czynnej pozostał do 1925 r.

W 1922 r. powołany został na Komendanta Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie. Ostatecznie przeszedł w stan spoczynku w 1925 r. Był jednak dalej aktywny, publikował wiele artykułów fachowych z wojskowości, udzielał się w wielu stowarzyszeniach, związanych z obronością i wojskiem. W latach 1925 – 1936 mieszkał w Warszawie i w Poznaniu.

W życiu prywatnym był żonaty z Chorwatką Petronellą Słodovic (ślub w 1893 r). Mieli troje dzieci: córkę Beatę (ur. 1898 r.), która wyszła za mąż za jugosłowiańskiego generała Murkowica, córkę Teodorę (ur. 1899 r.) oraz syna Józefa (ur. 1900 r.). Pełnił on służbę wojskową na okręcie marynarki wojennej „Szent Istvan”. W wyniku storpedowania tego okrętu na Adriatyku w 1918 r., czyli w ostatnim roku I wojny światowej, Józef Serda zginął wraz z całą 80-osobową załogą.

Gen. Aureli Serda-Teodorski w 1936r wyemigrował z rodziną do miejscowości Susak w Chorwacji, skąd pochodziła jego żona. Tam zmarł w 1943 r. Dokładna data jego śmierci nie jest znana. W trakcie służby wojskowej odznaczony został m.in. Orderem Virtuti Militari V kl., czterokrotnie Krzyżem Walecznych, Odznaką Honorową „Orlą” za obronę Lwowa, francuską Legią Honorową III kl., Krzyżem Żelaznym II kl., Wojskowym Krzyżem Karola, Orłem Żelaznej Korony II kl. a także odznaczeniami jugosłowiańskimi i rumuńskimi.

Był gorącym patriotą, zdolnym i energicznym oficerem o dużym poczuciu sprawiedliwości. Swoją postawą, służbą dla Ojczyzny zasłużył na wspomnienie, podobnie jak i jego rodzina, mająca bocheńskie korzenie.

Roman Kucharski

Jarosław Przybyło

Verdun - 100 lat później

Choć od rozpoczęcia tej jednej z najkrwawszych bitew w historii ludzkości upłynęło już sto jeden lat, to tytuł tego artykułu nawiązuje do ubiegłorocznej wyprawy członków Sekcji Historycznej naszego stowarzyszenia: Mariusza Rudnika i autora tekstu – Jarosława Przybyło, której głównym celem był udział w rocznicowych uroczystościach stulecia bitwy pod Verdun we Francji. Francuscy organizatorzy zaprosili między innymi nas oraz kolegów – rekonstruktorów z przemyskiej grupy X D.O.K. Udział w uroczystościach pod Verdun był zakończeniem długiej eskapady szlakiem pól bitewnych I i II wojny światowej na Zachodzie Europy.

W dniach od 21 do 29 maja 2016 r. przemierzaliśmy prawie 5 tys. km przez Niemcy, Holandię Belgię i Francję, byliśmy pod Ypres i pod Passchendaele, pod Arnhem i Bredą, a potem w Normadii: w Arromanches, Pointe du Hoc, Bayeux, kończąc wizytę w tamtym regionie w Falaise i Chambois. Ostatnie trzy dni spędziliśmy w obozie wojskowym powstałym na czas uro-

czystości, w dawnych koszarach Miribel w centrum Verdun. Pierwszym punktem naszej wyprawy było Deutsches Panzermuseum Munster, czyli największe muzeum broni pancernej w Niemczech, położone niedaleko Hamburga w maleńkiej miejscowości Munster, gdzie po II wojnie światowej stacjonowała brytyjska jednostka pancerna. Była to dla nas świetna okazja, aby oko w oko zapoznać się z bronią pancerną III Rzeszy i Aliantów, co przydało się w dalszej podróży, podczas której wszędzie spotykaliśmy ślady bohaterskich walk prowadzonych przez 1 Dywizję Pancerną gen. Stanisława Maczka. Dawało to wyobrażenie, jakim sprzętem dysponowali nasi żołnierze i z jaką techniką wojskową hitlerowskich Niemiec przyszło im się potykać.

Posuwając się na południowy-zachód, dotarliśmy do Arnhem w Holandii, którego nazwa kojarzy się każdemu Polakowi z dramatycznym udziałem polskich spadochroniarzy pod dowództwem gen. Stanisława Sosabowskiego w nieudanej ope-

racji „Market Garden”, której celem było uchwycenie mostów na Renie. Tutaj zwiedziliśmy muzeum „Airborn”, czyli wojsk powietrzno-desantowych, w dawnym dworze Hartenstein. W podziemiach muzeum jest urządzona niesamowita, multimedialna ekspozycja poświęcona walkom spadochroniarzy, w tym również polskich, pod Arnhem. Pomimo że tuż po wojnie brytyjskie dowództwo posądzało Polaków, a szczególnie dowódcę – gen. Sosabowskiego, o wiele zaniedbań podczas operacji, to jednak Holendrzy, tworząc to muzeum, pokazali, że o Polakach się pamięta i traktuje się ich jak bohaterów. Wizytę w Holandii zakończyliśmy na cmentarzu w Oosterbeek, gdzie wraz z innymi poległymi są pochowani również Polacy, którzy zginęli podczas tej bitwy.

Belgia przywitała nas ulewnym deszczem. Gdy wjeżdżaliśmy do Bredy, pogoda nieco się poprawiła i po krótkim błędzeniu znaleźliśmy cmentarz polskich pancerniaków „od Maczka”, którym mieszkańcy tego miasta zawdzięczają tak wiele. Polski cmentarz, jak wszystkie cmentarze wojenne w tej części Europy, jest doskonale utrzymany, na pomniku i przed nagrobkiem generała leżą świeże wieńce. Bardzo bogaty program wyjazdu, którego byłem współautorem, nie pozwalał na zwiedzanie miasta. Być może zabytki Belgii i Holandii będą tematem innej wyprawy? My tymczasem świetnymi, belgijskimi autostradami zmierzaliśmy pod Ypres, gdzie po raz pierwszy zetknęliśmy się z grozą okrutnej wojny pozycyjnej na „Polach Flandrii”.

Ypres jest pięknym, średniowiecznym miastem, o bogatej kupieckiej przeszłości, a źródłem tego bogactwa była produkcja i handel najszlachetniejszym w XIV w. flamandzkim sukniem. Nic więc dziwnego, że w mieście powstało wiele wspaniałych budowli w tym słynne sukiennice – Lakenhal, będące największą w Europie, świecą budowlą w stylu gotyckim. Te wszystkie wspaniałe budowle zostały doszczętnie zniszczone podczas trwającego 4 lata oblężenia miasta w latach 1914 – 1918. Ypres stanowiło centrum tzw. Ypres Salient (łuk Ypres), czyli wybrzuszenia w linii frontu zachodniego, które Niemcy próbowali za wszelką cenę zlikwidować, aby móc dojść do wybrzeża Francji i uniemożliwić zaopatrywanie wojsk Antanty drogą morską przez Kanał La Manche. Miasto było oblegane z trzech stron i ostrzeliwane z najcięższej, niemieckiej artylerii, w tym z moździerzy – tzw. Grubych Bert, o kalibrze 420 mm. Efektem tego było zrównanie miasta z ziemią. Pod Ypres stoczono cztery krwawe bitwy. Podczas drugiej z nich, Niemcy po raz pierwszy

na szeroką skalę zastosowali gaz bojowy – chlor, a miało to miejsce w kwietniu 1915 r. Tutaj też, na wzgórzu zwanym Hooge Crater, po raz pierwszy użyli miotaczy ognia- koszarnej broni do walki w okopach i przeciw załogom bunkrów.

Głównym miejscem upamiętnienia poległych jest Manin Gate, czyli jedna z bram miasta Ypres, mająca kształt łuku. Na ścianach tej monumentalnej budowli wyryto ponad 50 tysięcy nazwisk żołnierzy Zjednoczonego Królestwa, którzy nie wrócili z bitew pod Ypres, a których szczątków nigdy nie odnaleziono. Od 1928 roku, z przerwą podczas niemieckiej okupacji (II wojna światowa), codziennie o godz 20,00 jest grywany sygnał wojskowy „Last Post”, którym trębacze oddają hołd poległym żołnierzom. Owiane ponurą sławą Pola Flandrii na wiosnę rozkwitały czerwienią maków, stąd też właśnie kwiat maku stał się symbolem pamięci o poległych alianckich żołnierzach podczas I wojny światowej.

We wspaniale odbudowanych w latach 30. XX wieku sukienicach znajduje się jedno z najlepszych muzeów poświęconych I wojnie światowej. Jeszcze przed wejściem do muzeum zwraca uwagę spiżowa tablica, a na niej znana odznaka I Dywizji Pancerniej gen. Maczka – skrzydło husarskie, wokół niej nazwiska poległych pancerniaków wyzwalających Ypres spod niemieckiej okupacji. Muzeum „Flanders Fields Museum”, to nowoczesny, multimedialny obiekt, pokazujący I wojnę i wojnę w ogóle, we wszystkich jej aspektach. Cierpienie żołnierzy, cywilów a także zwierząt, np. koni, których setki tysięcy ginęło na błotnistych polach bitew. Z racji tego, że Ypres jest miastem belgijskim, również w tym muzeum wiele uwagi poświęcono udziałowi armii belgijskiej oraz gehennie ludności cywilnej. Okazuje się, że bohaterstwo i danina krwi Belgów, biorąc pod uwagę wielkość tego kraju, była nie mniejsza niż Francuzów, czy Brytyjczyków. Niemcy zaś już wtedy wykazywali się okrucieństwem i represjami wobec cywilów, mszcząc się za dzielny opór stawiany przez Belgów.

Innym muzeum, które odwiedziliśmy niedaleko Ypres, było prywatne muzeum we wspomnianym już miejscu – Hooge Crater. Reklama przed wejściem mówiła, że jest to najlepsze prywatne muzeum. I nie było w tym cienia przesady. Ekspozyty zgromadzone w dawnej kaplicy i szkole, gdzie mieści się muzeum, mogłyby spokojnie zasilić co najmniej kilkanaście tego typu obiektów. Nieopodal muzeum jest cmentarz żołnierzy Zjednoczonego Królestwa poległych w walkach na przebiega-



Mogiła gen. Stanisława Maczka w Bredzie



Fort de Vaux, pole bitwy pod Verdun

jącym w tym miejscu froncie. Cały obszar wokół Ypres usiany jest takimi cmentarzami, na których w równych szeregach stoją białe, marmurowe krzyże, jak żołnierze na defiladzie, a ich liczby są przerażające - pięć tysięcy, osiem tysięcy, czy też dwanaście tysięcy na cmentarzu w Tyne Cot.

Dalej, podróżując śladem walk na Polach Flandrii, docieramy w końcu do Paschendaele. To słynne miejsce krwawej i chyba najbardziej bezsensownej bitwy stoczonej w 1917 r., gdzie Alianci zdobyli kawałek błotnistej, zrujnowanej ziemi kosztem straty ponad 400 tysięcy żołnierzy. I tutaj też wspaniałe muzeum składające się z kilku budynków. Kolejna interesująca kolekcja oryginalnych militariów, wyposażenia, rzeczy osobistych żołnierzy. Ciekawostką głównej ekspozycji była możliwość poznania zapachów podstawowych gazów bojowych stosowanych w walkach na Froncie Zachodnim. Ze specjalnych skrzynek wydobywał się syntetycznie generowany zapach chloru, fosgenu czy też iperytu zwanego popularnie - gazem musztardowym, bo jego zapach przypominał właśnie tę popularną przyprawę. To właśnie pod Ypres Niemcy po raz pierwszy użyli tej strasznej, trującej broni - stąd i taka właśnie nazwa - iperyt. Z głównego budynku zwiedzający mogą zejść do podziemi, gdzie na głębokości 6-7 metrów odtworzono sieć brytyjskich ziemianek, z wszystkimi pomieszczeniami niezbędnymi wówczas do jako takiej egzystencji żołnierzy na pierwszej linii frontu. Na zewnątrz znajduje się ciąg zrekonstruowanych okopów, które jak to napisano na tablicy informacyjnej, odtworzono według technologii i z użyciem materiałów dokładnie takich samych jak 100 lat temu. Niestety nie udało nam się zwiedzić wszystkich wystaw i ekspozycji, między innymi nie zdążyliśmy obejrzeć projekcji filmu o bitwach pod Ypres, wyświetlanego w technologii trójwymiarowej - 3D. Jeszcze tego dnia musieliśmy dotrzeć do Normandii, pokonując kilkaset kilometrów. Po drodze przejechaliśmy nad rzeką Sommą, której nazwa kojarzy się z potężną i krwawą ofensywą Brytyjczyków i Francuzów w II połowie 1916 r.

Normandia to wspaniały region Francji z ciągnącymi się niemal po horyzont polami uprawnymi, ukrytymi w kępach drzew farmami, gdzie ludzie chodzą spać „z kurami”, aby o świcie wyruszyć do prac polowych, gdzie robi się sery camembert, jabłeczny cydr, a z niego destylat, który nazywa się tak samo jak jeden z regionów - calvados.

Mijamy urokliwe, średniowieczne miasteczka z kamienną zabudową, a poza głównymi drogami jedziemy w cieniu słynnych żywopłotów. Naszym celem są między innymi plaże Normandii, jej muzea i zabytki, a szczególnie te, które związane są z wydarzeniami z 1944 r. przede wszystkim z wielką operacją desantową wojsk sprzymierzonych pod nazwą „Overlord”, czyli „lądowaniem w Normandii”. Mamy nadzieję, podobnie jak we Flandrii, czy też w Holandii spotkać ślady naszych pancerniaków, dlatego też dodajemy do programu naszej wyprawy zwiedzenie okolic Falaise i Chambois, gdzie 1 Dywizja Pancerna zamykała pierścień okrążenia kilkudziesięciu niemieckich dywizji. Opisowi miejsc i wydarzeń z tego okresu zostanie poświęcony odrębny artykuł. Po kilku dniach spędzonych w Normandii udajemy się najkrótszą drogą do Lotaryngii, do Verdun, wszak to miejsce jest głównym punktem naszej wyprawy.

Organizatorzy jubileuszu bitwy pod Verdun zaprosili rekonstruktorów historycznych z ponad 10 krajów Europy, a stawiło się około tysiąca osób. Reprezentowano trzy armie biorące udział w bitwie - Francuzów, Niemców i Austriaków, którzy,

o czym niewiele wie, wystawili po stronie cesarza Niemiec niewielki, ale doskonale wyposażony oddział artylerii. Austriacy za pomocą swoich moździerzy marki Skoda, o kalibrze 305 mm mieli rozbijać francuskie bunkry i umocnienia. Bitwa, która rozpoczęła się 21 lutego 1916 r., a zakończyła w grudniu 1916 r., przyniosła obu walczącym stronom straty ponad 700 tysięcy zabitych, rannych i zaginionych. Niemiecki sztab i jego szef - generał Erich von Falkenhayn zakładali wykrwawienie się Francuzów, którzy będą honorowo bronili tej twierdzy. Tak też się działo. Francuzi dokonywali cudów męstwa i wbrew niemieckim obliczeniom nie ginęło ich pięć razy więcej, lecz po otrząśnięciu się z pierwszej porażki, zaczęli zadawać Niemcom coraz cięższe straty i odzyskiwać utracone tereny. Opis samej bitwy przerasta ramy niniejszego artykułu. Zainteresowanych tym tematem odsyłam do bardzo obszernej literatury tego zagadnienia. Wróćmy do czasów współczesnych.

Po przybyciu do Verdun w czwartkowy ulewny wieczór rozbiliśmy swój skromny obóz obok wojsk niemieckich. W piątkowe przedpołudnie na głównym placu apelowym odbył się przegląd wszystkich wojsk, odegranie hymnów państwowych Francji i Niemiec i wciągnięcie na maszt flag, po czym wszystkie pododdziały uformowały się do defilady, która przemaszerowała przez całe miasto pod Pomnik Zwycięstwa, w centrum miasta. Tam na schodach, będących głównym elementem pomnika, ustawili się wszyscy rekonstruktorzy - po prawej ci w mundurach francuskich, po lewej - w niemieckich i austriackich. Pewnym kolorytem w tej niebiesko-szarej armii byli marynarze floty austro-węgierskiej odtwarzani przez grupę z Rumunii oraz oddział francuskich wojsk kolonialnych w czerwonych fezach na głowach. Tutaj odbyła się oficjalna część całej ceremonii, przemówienie prezydenta miasta i zaproszonych gości, odegranie hymnów państwowych oraz zapalenie ogni pokoju przy dźwiękach wojskowych melodii granych przez orkiestrę wojskową i szkockich dudziarzy. Po zakończeniu defilady większość z nas udała się na Bulwary nad Mozą, gdzie przy chłodnym, francuskim piwie nawiązywaliśmy znajomości z kolegami z Francji, Niemiec, Belgii, itd. Piątkowe popołudnie poświęciliśmy na zwiedzanie pola bitwy pod Verdun. Jest to olbrzymi obszar, dziś w większości porośnięty lasem, długi na 10 km, szeroki na 5 km, swego rodzaju rezerwat historyczny, gdzie od czasów bitwy, teren został zachowany w niezmiennym stanie. Po zniszczonych wsiach pozostały tylko nazwy, a tabliczki informują, że np. tutaj stał kościół. Pomimo rosnącego na większości obszaru lasu, doskonale widać leje po pociskach i pozostałości wijących się okopów i tranzei. Właściwie to trudno znaleźć nawet niewielki fragment ziemi, który nie byłby przeorany przez wybuchające niegdyś pociski. Nasze plany zwiedzania zostały nieco ograniczone przez fakt, że niektóre obiekty zostały zamknięte z powodu przygotowań do niedzielnej wizyty prezydenta Francji i kanclerz Niemiec. Fort Douaumont, Fort Vaux, Ossuarium, „Tranzeję bagnatów”, to miejsca, które, będąc na poboju pod Verdun, trzeba koniecznie odwiedzić. Udało nam się dotrzeć do Fortu Vaux, którego w czerwcu i lipcu 1916 r. dzielnie bronił major Raynal i jego francuscy żołnierze. Zewnętrzne umocnienia, kaponiery i strop fortu wyglądają dziś jak porośnięte trawą wyrobisko, to efekt ostrzeliwania obiektu przez niemiecką artylerię, w tym przez najcięższe moździerze 420 mm miotające pociski o masie 930 kg. Pomimo tego, wewnątrz fortu ukryte pod grubą warstwą betonu i ziemi ocalało i można je dzisiaj zwiedzać.

Dzięki temu, że cała nasza grupa występowała w mundurach, mieliśmy zapewniony bezpłatny wstęp do wszystkich tego typu obiektów. We wnętrzu fortu panuje straszna wilgoć, a w niektórych miejscach woda opadowa wręcz spływa po ścianach. Zapewne 100 lat temu tak nie było, bo to właśnie brak wody był ostateczną przyczyną poddania się załogi fortu. W salach przeznaczonych dla żołnierzy do dziś stoją żelazne, piętrowe prycze, można zobaczyć, jak wyglądały podziemne magazyny, a nawet latryny. Na zewnętrznej ścianie fortu jest wmurowana tablica poświęcona ostatniemu gołębiowi, który zaniósł do francuskiego dowództwa rozpaczliwy meldunek majora Raynal'a.

Opuszczamy fort – pomnik i udajemy się na centralny cmentarz żołnierzy francuskich i Ossuarium w Douaumont. Na cmentarzu spoczywa ponad 16 tysięcy żołnierzy w mogiłach opatrzonych marmurowymi krzyżami. Stojąca obok cmentarza monumentalna budowla to Ossuarium czyli kostnica. Jest to wielki, betonowy sarkofag, gdzie złożono kości około 130 tysięcy niezidentyfikowanych żołnierzy francuskich i niemieckich. Gdy po wojnie oczyszczono pole bitwy z ludzkich szczątków i gdy oszacowano ilość poległych żołnierzy, to okazało się, że w tym makabrycznym bilansie brakuje około 150 tysięcy ludzi, którzy „wyparowali”. Co się z nimi naprawdę stało? Gdy uświadomimy sobie, że podczas bitwy wystrzelono 26 milionów pocisków, co daje liczbę 6 sztuk na każdy metr kwadratowy, to mamy odpowiedź. Ci nieszczęśnicy w momencie śmierci albo już po niej zostali porozrywani na kawałeczki, które leżą do dziś porozrzucane i zmieszane z ziemią na dawnym terenie walk. Świadomość tego wszystkiego jest przygnębiająca.

W sobotnie popołudnie udaliśmy się 40 km na południe

od Verdun do miejscowości Troyon, gdzie również istnieje zachowany do dziś jako trwała ruina jeden z francuskich fortów, dający odpór Niemcom podczas I wojny. Fort i spory obszar wokół niego jest prywatną własnością i stanowi obiekt muzealny udostępniony do zwiedzania. Ciekawostką była bardzo duża ilość zachowanych w forcie artefaktów, elementów wyposażenia fortu, fragmentów dział fortecznych, a nawet rzeczy osobistych żołnierzy. Byliśmy ostatnią w tym dniu grupą zwiedzającą i pomimo że czas zamknięcia muzeum dawno już minął, to obecny na miejscu właściciel z uśmiechem zapewniał, że możemy bez pośpiechu zaglądnąć we wszystkie zakamarki fortu, co uczyniliśmy. Wracając do koszar wstąpiliśmy jeszcze na jeden z licznych cmentarzy wojennych, tym razem niemiecki. Co można było zauważyć na pierwszy rzut oka, to zupełnie inną, w porównaniu do francuskich, estetykę tego cmentarza. O ile francuskie cmentarze to rzędy białych krzyży czy też stell, o tyle te niemieckie wyróżniają się surowością i upamiętnieniem miejsc pochówku krzyżami stalowymi w naturalnym bądź czarnym kolorze. Tuż po wejściu na cmentarz naszą uwagę przykuło skupisko krzyży z widniejącymi na nich polskimi nazwiskami: Bukowski, Baranowski, Zieliński itd. To nasi rodacy z zaboru pruskiego wcieleni do niemieckiej armii, którzy z dala od rodzinnych stron ponieśli śmierć w bitwie. Wieczorna wizyta na niemieckim ale i polskim cmentarzu była ostatnim akcentem naszej historycznej wyprawy na pole krwawej bitwy pod Verdun. Ostatnia noc w wojskowym namiocie w koszarach, ostatnia żołnierska biesiada i w niedzielny poranek powrót do domu i do XXI wieku, z głową pełną wspomnień, refleksji i przebiegających przed oczami obrazów.

Janina Struk (Londyn)

Przerazające fotografie wojenne z Bochni w prasie brytyjskiej i amerykańskiej

18 grudnia 1939 roku 51 mieszkańców Bochni zostało pognanych przez nazistów i żołnierzy niemieckich do lasu na Uzbornię, tuż za miastem. Kazano im kopać swoje własne groby, a potem ich stracono.

Egzekucja została przeprowadzona w akcie zemsty za zastrzelenie dwóch niemieckich żandarmerów z posterunku żandarmerii na bocheńskim rynku przez dwóch mieszkańców Bochni. Tego dnia obydwie te osoby odpowiedzialne (za ten atak) zostały powieszane na miejskim Rynku.

Różne etapy tych egzekucji zostały udokumentowane na fotografiach wykonanych przez fotografa niemieckiego. Ukazują one dwóch cywilów powieszonych na słupie lampy ulicznej, akcję aresztowania cywilów podczas łapanek, ofiary w czasie przemarszu w kierunku lasu, potem w trakcie kopania swoich grobów. Inne fotografie przedstawiają niemieckich żołnierzy z bronią wycelowaną w kierunku ofiar i stopy ciał leżących w śniegu.



Fot.1 Powieszeni na bocheńskim rynku

Fotografie te są dobrze znane w Polsce ale dopiero od końca lat 40. XX wieku, kiedy w domu byłego oficera SS w Bawarii alianci odkryli prywatny album fotograficzny zawierający dwadzieścia cztery czarno-białe fotografie zatytułowane: „Sühne für Bochnia 18.12.1939” („Pokuta dla Bochni”). Album zawierał także policyjny raport z „przebiegu akcji”. Został wykonany dla wysokiej rangi nazistowskich oficjeli w Krakowie, prawdopodobnie w celu wykazania, że akcję przeprowadzono skutecznie. Jednakże już przed lutym 1941 roku wiele tych fotografii było w obiegu w Wielkiej Brytanii oraz USA i były zatytułowane: „Nazi Mass Execution in Poland. These Pictures Will Shock the World” („Nazistowska masowa egzekucja w Polsce. Fotografie te wstrząsną światem”).

Nie wiadomo, jak te zdjęcia znalazły się w państwach alianckich, ale polski podziemny ruch oporu posiadał zorganizowaną sieć setek,

jeśli nie tysiacy kurierów, którzy przemycali dokumenty i fotografie z Polski przez Triest lub Belgrad lub korzystali z innej tajemnej trasy. Otrzymały je polskie i żydowskie organizacje w Wielkiej Brytanii i USA, łącznie z rządem polskim na uchodźstwie w Londynie pod wodzą gen. Władysława Sikorskiego. Przez cały okres wojny rząd ten otrzymywał ogromne ilości informacji i fotografii.



Józef Stanisław Broszkiewicz (1920-1977)

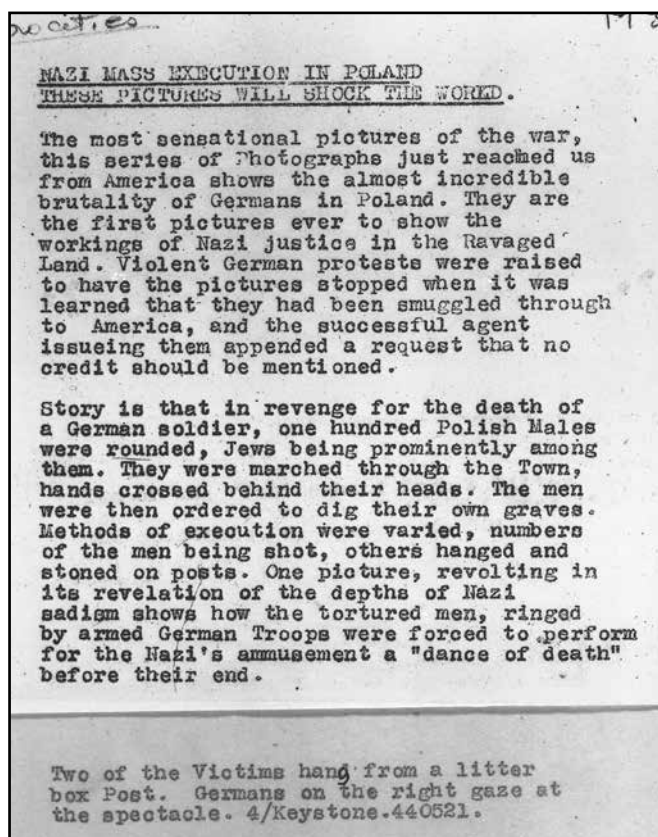
W okupowanej Polsce fotografie wojenne były formą oporu. Mimo to, że Polakom i Żydom zabroniono posiadania aparatów, kupowania filmów i wykonywania zdjęć, niektórzy używali swoich aparatów w celu dokumentowania nazistowskich zbrodni. Wiele przedwojennych zakładów fotograficznych także nadal funkcjonowało pod kuratelą okupanta niemieckiego. Przeważnie byli w nich zatrudnieni Polacy, którzy przed wojną pracowali w przemyśle fotograficznym i filmowym. Zakłady fotograficzne służyły nazistom i żołnierzom niemieckim, którzy przynosili (do wywołania) oficjalne fotografie oraz swoje własne. Niemcy uwielbiali fotografię. Wielu Polaków pracujących w zakładach fotograficznych wspierało ruch oporu, kopiując i pomagając w przemycaaniu obciążających zdjęć i filmów z tych zakładów. W 1941 roku członkowie polskiego podziemia wynaleźli technologię, która pomogła przetworzyć kliszę fotograficzną na małe paski mikrofilmów. To ułatwiło przesyłanie obrazów w koniuszkach piór, w brzytwach, zapalniczkach lub obcasach.

Wiadomym było, że Józef Stanisław Broszkiewicz, który pracował w Bochni w zakładzie fotograficznym K.Gargula, wykonywał fotografie, w celu przemycenia ich do podziemia. Możliwe, że Broszkiewicz także wykonał kopie fotografii z egzekucji i przekazał je dalej. Jedną z fotografii będących w obiegu w 1941 roku przedstawia powieszonych dwóch mężczyzn w Rynku dnia 16 grudnia 1939 roku. Fotografia ta była kolportowana przez „Keystone”, jedną z ówczesnych głównych agencji fotograficznych w Wielkiej Brytanii i USA.

Fotografia ta jest tutaj wydrukowana z oryginalnym podpisem naklejonym na odwrocie. (Fot. 1 i 2) Świadczy to o sytuacji,



Fot. 3.



Fot. 2



Fot. 4

w której wykonano fotografię, ale historia nie jest całkowicie prawdziwa i nigdzie nie ma wzmianki o Bochni.

Przez cały okres wojny myląca i nieprawidłowa interpretacja potajemnie przekazywanych zdjęć była powszechna. Jedynym problemem było przemykanie fotografii w ekstremalnie trudnych okolicznościach, co sprawiało, że czasami było rzeczą niemożliwą, aby wraz z nimi wysłać informację. W rezultacie niektóre były otrzymywane z minimalną ilością informacji lub były jej całkiem pozbawione. W takich okolicznościach osoby umieszczające podpisy pod zdjęciami i wydawcy zwykli byli dodawać swoje własne tytuły. Ponieważ zdjęcia były często szeroko rozpowszechniane przez więcej niż jedną agencję lub organizację, nierzadko te same fotografie były w obiegu z różnymi tytułami i interpretacjami.

Wtedy najważniejszą rzeczą było to, co fotografie przedstawiały lub co „wydawało się”, że przedstawiają i często ta interpretacja była nieprawdziwa. Nie było ścisłych reguł dotyczących używania fotografii. Zakładano, że fotografia może „mówić za siebie”.

Inny problem był taki, że trudne warunki, w których wykonano lub skopiowano wiele zdjęć, powodowały, że ich jakość techniczna była często słaba. W konsekwencji, gdy obrazy powiększono, były „retuszowane”, aby wzmocnić widoczność szczegółów i zastąpić (nowym podpisem) zagubioną definicję. W tamtych czasach metody retuszowania były generalnie prymitywne: sylwetki, budynki i inne detale na fotografiach bywały zakreslane grubym ołówkiem. Rezultat takiego obrysowania mógł sprawić, że fotografia wyglądała jak rysunek - kwestia czasem podkreślana przez osoby zaprzeczające Holokaustowi, usiłujące „udowodnić”, że zdjęcie jest sfałszowane.

Jedno ze zdjęć zrobionych w Bochni było mocno wyretuszowane. Przedstawia ono grupę mężczyzn kopiących swój własny grób. Sylwetki osób są obrysowane ołówkiem, grubymi liniami. Zdjęcie to - razem z innymi zdjęciami zrobionymi w Bochni - jest przechowywane w *Polskim Instytucie i Muzeum Sikorskiego* w Londynie - archiwum polskiego rządu na uchodźstwie. Sugeruje to, że oryginalne zdjęcie przybyło do Londynu i że to jest kopia oryginalna, na podstawie której wykonano inne kopie i je rozpowszechniono.

Podczas wojny fotografie z Bochni były oglądane przez szerokie rzesze społeczeństwa brytyjskiego i amerykańskiego. Były kopiowane w publikacjach, książkach i na wystawach, chociaż żadna z nich nie wzmiankowała o Bochni. Stały się one symbolami zbrodni popełnianych w okupowanej przez nazistów Polsce i używane były jako *uogólnione dowody*, nie

jako *dowody charakterystyczne*.

24 lutego 1941 roku magazyn „Life” w USA opublikował dwie fotografie z Bochni pod tytułem „*Nazis Execute Civilian Poles*” („*Naziści dokonują egzekucji na polskich cywilach*”). Przedstawiają one grupy mężczyzn pędzonych ulicą i mówi się, że zostały wykonane w „pewnym miasteczku na Śląsku”. 22 marca tego samego roku ilustrowany magazyn „*Illustrated London News*” z siedzibą w Londynie opublikował pełną stronę z sześcioma fotografiami pod tytułem: „*Where Germans Rule: Death Dance before Polish Execution*” („*Tam gdzie rządzą Niemcy: taniec śmierci przed egzekucją Polaków*”). Cztery zdjęcia na tej stronie zostały wykonane w Bochni, chociaż towarzyszący tekst o tym nie mówi. (Fot. 4)

W 1942 roku zdjęcia z Bochni zostały wydrukowane w 600-stronicowej książce pod tytułem: „*The German New Order in Poland*” (*Nowy niemiecki porządek w Polsce*), opublikowanej przez Polskie Ministerstwo Informacji w Londynie. (Zdjęcie 3) Ta ważna książka zawierała relacje naocznych świadków, meldunki z masakr, egzekucji, obozów koncentracyjnych oraz prześladowania Żydów. Książka zawiera także 187 fotografii, które służą jako dowody. „Zapotrzebowanie” na książkę było ogromne, szczególnie w amerykańskich miastach z dużą liczbą zamieszkujących tam Polaków łącznie z Chicago, Detroit i Pittsburgh. Tego samego roku kiedy opublikowano książkę, wystawa o identycznej nazwie objechała Wielką Brytanię. Zawierała ona te same fotografie wykonane w Bochni.

Gdy wojna się skończyła, liczne kopie zdjęć z egzekucji w Bochni, które były w obiegu podczas wojny, znalazły się w wielu różnych archiwach i prywatnych kolekcjach w różnych krajach, łącznie z Polską, Wielką Brytanią, Niemcami, USA i Izraelem. Dopiero ostatnio archiwiści zaczęli poprawnie podpisywać te fotografie – jakże długo oczekiwane potwierdzenie ważności fotografii jako dokumentów i jako środków stanowiących dowody.

Copyright: Janina Struk, Styczeń 2017

Tłumaczyła: Anna Londo

Janina Struk jest pisarką, fotografem i autorką dwóch książek: *Photographing the Holocaust: Interpretations of the Evidence* (I.B. Tauris, Londyn 2004) – *Holokaust w Fotografii: Interpretacje dowodów* (Prószyński i ska 2007) oraz *Private Pictures: Soldiers' Inside View of War (Prywatne fotografie. Wojna oczami żołnierzy)*. (I.B. Tauris, Londyn 2004). Mieszka w Londynie.

WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE

KWARTALNIK STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

Redakcja: Stanisław Kobiela – red. naczelny, Janina Kęsek, Dorota Korta, Ewelina Mroczek, Anna Londo, Felicja Wieczorek, Stanisław Mróz, Jan Paluch, Jarosław Przybyło, Marek Chmiel.

Adres redakcji: 32-700 Bochnia, Rynek 2, Dom Bochniaków, tel. (0-14) 612-34-79,

e-mail: w.bochenskie@wp.pl, dochist@wp.pl **Strona internetowa:** www.bochniacy.pl, prowadzi Stanisław Mróz

DTP: Stanisław Mróz, **druk:** Brzeska Oficyna Wydawnicza, 32-800 Brzesko, ul. Czarnowiejska 1,

tel. (0-14) 686-14-70, tel/fax: (0-14) 663-11-91, e-mail: oficyna@brzesko.net.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz zmian redakcyjnych w nadesłanych tekstach.

Stanisław Kobiela

Katastrofa w Rzezawie

AKCJA, KTÓREJ NIE BYŁO

Według relacji Ignacego Haby

Noc z 25 na 26 lutego 1943 r. była wilgotna i mglista.



Ignacy Haba

Była to jedna z tych ponurych i beznadziejnych nocy okupacyjnych, podczas której mogło się wszystko wydarzyć. Na stacji kolejowej w Rzezawie nocną służbę pełnił dyżurny ruchu Ignacy Haba z Bochni i zwrotniczy Jakub Gawlik, mieszkaniec pobliskiego Baczkowa.

Tuż przed północą od strony Przemyśla nadjechał pociąg towarowy, a ponieważ nie miał wjazdu do Bochni, zatrzymał się właśnie w Rzezawie. Skład pociągu był tak duży, że ostatnie jego wagony stały daleko poza

stacją. Widoczność była bardzo zła. Mgła gęstniała i w końcu osnuła stojący pociąg szczelną zasłoną. Po niedługim czasie dyżurujący usłyszeli jakiś ruch na torach.

Zapewne droga wolna i pociąg ruszył dalej

pomyślał Ignacy Haba i w tym momencie popełnił tragiczny w skutkach dla siebie i rodziny błąd, bowiem to nie, czekający na wjazd do Bochni, pociąg ruszył w drogę, ale hałas wywołała lokomotywa przetokowa, która od Bochni tutaj nadjechała i po wykonaniu kilku manewrów zaraz do Bochni powróciła. I znowu zapadła głucha cisza, a pociąg okryty gęstą mgłą czekał nadal na sygnał wjazdu do Bochni. Trudno dzisiaj dokładnie podać godzinę katastrofy. Około 3 nad ranem od Przemyśla nadjechał pociąg towarowy.

Droga wolna!

potwierdził Ignacy Haba i pozwolił na przejazd. Pędzący pociąg runął na ostatnie wagony stojącego od kilku godzin pociągu. Uderzenie było tak silne, że lokomotywa i wagony wyskoczyły z szyn, pociągając za sobą resztę składu pociągu. Ogromne rumowisko zatarasowało także sąsiedni tor. Ogłuszony hukiem i łoskotem łamiącego się żelastwa dyżurny ruchu teraz dopiero uświadomił sobie tragiczną pomyłkę. Nie wolno mu było przepuścić tego pociągu, bo tor był zajęty. Sprawcy katastrofy przemknęła jedyna myśl przez głowę:

Trzeba wiać - ratować siebie i rodzinę.

Za chwilę miał nadjechać pociąg sanitarny od Krakowa. Haba nie dał już żadnego sygnału ostrzegawczego. Może tego uczynić nie zdołał, a może było mu wszystko jedno, bo zdawał sobie sprawę z konsekwencji, jakie go teraz czekały.

Każda sekunda zwiększała szansę na ucieczkę i w chwili gdy do Rzezawy zbliżał się pociąg sanitarny Haba i Gawlik pobiegli każdy w swoją stronę. Gdyby wykolejone pociągi nie zatarasowały sąsiedniego toru, być może pociąg sanitarny przejechałby bez szwanku. Teraz jednak runął on na leżące na torach złomowisko i powiększył tylko rozmiary zniszczenia.

W linii prostej odległość między przystankiem kolejowym w Rzezawie a domem rodzinnym Haby, przy ul. Brzeźnickiej w Bochni¹, wynosi niecałe 5 km. Te dramatyczne chwile zapamiętał do końca życia:

Biegłem we mgle tak szybko, że odległość od stacji w Rzezawie do domu przebyłem w niecałe 20 minut. Drzwi otworzyła mi żona Maria. Na szczęście moje dzieci, synowie. Leszek i Eugeniusz spokojnie spali w łóżeczkach.

Krótkie, urywane słowa wyjaśniły wszystko. Co robić, jak się ratować? Zrzucił przemoknięty mundur kolejowy, który żona ukryła w trocinach. Nie było czasu na obmyślenie precyzyjnego planu ucieczki. W każdej chwili mogli się tu pojawić hitlerowcy. Wtajemniczono w sprawę zaprzyjaźnioną sąsiadkę Mastajową, która zgodziła się przechować go przez najbliższe pół godziny. Żona Maria pobiegła do swoich rodziców, mieszkających na Wójtostwie, powiadomi ich o całym wydarzeniu i poprosi, mieszkającego z rodzicami brata Ferdynanda, aby zaprzągnął konie i furmanką podrzucił jej męża do Brzeska. Stamtąd będzie mógł przedostać się pociągiem w okolice Rzeszowa, gdzie mieszkały jego cztery siostry. W tamtych okolicach mógł liczyć także na pomoc swojego brata Franciszka, który był proboszczem w Przybyszówce.

Czy obmyślony naprędce plan ucieczki miał szanse powodzenia? Drogi mogły już być obstawione, a w związku z katastrofą i przerwą w ruchu dalsza jazda pociągiem była wykluczona. Oczywiście było jedno, że w Bochni Haba nie mógł dłużej pozostać.



Maria Haba



Helena i Andrzej Pudelscy

Rodzina Pudelskich, od lat osiadła na Wójtostwie, gospodarzyła na rozległych terenach położonych między ul. Sąddecką, Wójtostwem, czyli obecną ul. Krasińskiego, i laskiem Uzbornią. Była to znana i zamożna rodzina. Rodzice Marii Habowej, Andrzej i Helena, byli już w podeszłym wieku. Ojciec przed wojną przez wiele kadencji piastował urząd wójta, Matka Helena była młodsza od męża, nie przekroczyła jeszcze 65 lat. Mieli pięć córek i dwóch synów. Oprócz wspomnianej już Marii trzy córki, a mianowicie Zofia Hansowa, Michalina Żabczyńska i Helena Urbańska założyły już swoje rodziny. Przy rodzicach mieszkała tylko 16-letnia Antonina oraz dwaj jej starsi bracia: Józef, w chwili wybuchu wojny student prawa UJ, pracujący w czasie okupacji w tartaku w Kłaju i Ferdynand, na którego barkach spoczywało prowadzenie sporego gospodarstwa.

Wspólnie z sąsiadką Mastajową Ignacy Haba pozacierał szybko ślady swojej nocnej bytności w domu, spojrzawszy jeszcze raz na śpiących synów i w parę minut później już w kryjówce, w sąsiednim domu gotował się do długiej i niebezpiecznej podróży. Kiedy jego żona powróciła do domu, zastała w nim czekających na nią gestapowców. Wyrwane ze snu dzieci płakały i na widok matki rzuciły się w jej objęcia. Jeden z gestapowców brutalnie oderwał je od matki i rozpoczęło się wstępne przesłuchanie. W krzyżowym ogniu pytań odpowiadała niezmiennie, że mąż jest w pracy, ale na pytania, co robiła w nocy poza domem, nie potrafiła dać wiarygodnej odpowiedzi. Musiała podać adres swoich rodziców, ale jakaś wewnętrzna intuicja kazała jej powstrzymać się z podaniem nazwisk i adresów swoich zamężnych sióstr, które mieszkały w innych częściach miasta.

Przesłuchanie zakończyło się jej aresztowaniem i osadzeniem w areszcie sądowym w Bochni. Funkcjonariusze Gestapo szybko dotarli na Wójtostwo. Pudelscy obudzeni zostali łomotaniem do drzwi i okrzykami:

Aufmachen Polizei!

Gestapowcy przeprowadzili rewizję, szukając wszędzie Haby, zarówno w domu jak i w zabudowaniach gospodarczych, i aresztowali Ferdynanda i Antoninę. Rano na drodze aresztowano także Józefa Pudelskiego, który właśnie wracał do domu z nocnej zmiany z tartaku w Kłaju. Zamknięto ich w pomieszczeniu przystosowanym do tego celu, a znajdującym się na podwórzu magistratu przy ul. Kazimierza Wielkiego. Ucierpiało też mocno rodzeństwo Ignacego Haby, jego cztery pełnoletnie siostry mieszkające pod Rzeszowem. Wszystkie zostały aresztowane, a mężom ich obiecano uwolnienie aresz-



Dom Pudelskich na Wójtostwie przy ul. Z. Krasińskiego (nieistniejący obecnie)

towanych, jeżeli wskażą miejsce pobytu Haby. Straty poniosła także rodzina zwrótniczego Gawlika. Aresztowano Marię, Jana i Jakuba Gawlików.

Domy przy ul. Brzeźnickiej i na Wójtostwie były ciągle obserwowane, przesłuchiowano sąsiadów, w okolicznych domach robiono stale rewizje. To był prawdziwy cud, że w pierwszym tygodniu poszukiwań nie odnaleziono Haby, ukrywającego się tak blisko własnego domu. Zagrożenie narastało jednak z każdym następnym dniem. Trudno się dziwić Mastajowej, że chciała się pozbyć niewygodnego i niebezpiecznego gościa. W przypadku schwytania Haby niewątpliwie podzieliła by jego los.



Ferdynand Pudelski

Nie mogąc dłużej ryzykować, zdecydowała się na krok, który mógł doprowadzić do dekonspiracji. Z początkiem marca 1943 r., a więc prawie po tygodniu od pamiętnej nocy lutowej poprosiła do siebie panią Helenę Pudelską, aby omówić szczegóły „przymusowej przeprowadzki” Ignacego Haby. Starsza pani ze łzami w oczach ucałowała zięcia. Ustalono, że przedostanie się on jakimś sposobem w kierunku Rzeszowa. Umówili się za godzinę pod kapliczką na Murowiance. W tym miejscu miała podać mu prowiant na drogę i pieniądze.

Mżył drobny deszcz. Za godzinę było już całkiem ciemno, ale pod kapliczką Haby nie było. Wzięła z domu to, co miała pod ręką, a więc kawał słoniny i pół bochenka chleba. Czekając godzinę, może dwie, ale w końcu doszła do przekonania, że zięć musiał się bardzo spieszyć, może ktoś go spłoszył i nie mógł tutaj czekać, i nie omyliła się. Po wyjściu teściowej Ignacy Haba uświadomił sobie, że pośpiech jest wskazany. Nie miał przecież fałszywego ausweissu, ani kenkarty, mógł więc iść tylko nocą, chociaż to również było niebezpieczne, bo obowiązywała godzina policyjna. Puścił się zatem w drogę zaraz po wyjściu teściowej i tylko z tym, co otrzymał na drogę od Mastajowej.

Szedł szybko skrajem drogi, aby w każdej chwili w razie niebezpieczeństwa zapaść w przydrożne zarośla. Po kilku nieprzespanych dniach i nocach, głodny i przemoknięty dotarł w okolice Rzeszowa. Tu dowiedział się o przeprowadzonych aresztowaniach. Skierował się zatem do brata — proboszcza w Przybyszówce. Brat przyjął go bardzo serdecznie, dał mu zatrudnienie, zażądał zmiany fizjonomii przez zapuszczenie wąsów i obiecał załatwić kenkartę.

Przyszła wiosna, ale Haba nie mógł czuć się w pełni bezpiecznie. Wykolejenie trzech pociągów potraktowane zostało jako sabotaż i ciągle trwały poszukiwania winowajcy, który miał przeżyć niejedną jeszcze mrozącą krew w żyłach sytuację. Otóż pewnego razu we wczesnych godzinach rannych do gospodarstwa, w którym pracował, przybyli Niemcy. Kazali stawić się wszystkim pracownikom, okazali fotografie poszukiwanego Haby i kazali donieść do miejscowego Gestapo, gdyby podobny osobnik kręcił się w pobliżu. Innym razem przybyli w nocy. Gospodarz wezwał Habę i kazał mu zaprzęgać konie do furmanki, którą Niemcy zamierzali dostać się do pobliskiego miasteczka, skąd doniesiono, że pojawił się w pobliżu Ignacy Haba. Tak więc Haba pomagał Niemcom szukać

Haby. Można sobie wyobrazić, co przeżył, gdy w czasie jazdy Niemcy mówili między sobą, że muszą jechać do miasteczka, w którym podobno pojawił się „ten bandyta Haba”.

Tymczasem trwała martyrologia rodziny Pudelskich, Gawlików i czterech siostr Ignacego Haby. Małymi synami Haby zaopiekowała się ich babcia Helena Pudelska. Aresztowanych w Bochni wywieziono w dniu 23 marca 1943 r. do więzienia w Tarnowie. Do Tarnowa także dostarczono siostry Haby, aresztowane w Rzeszowie. Aresztanci nie mieli ze sobą żadnego kontaktu. Bici i maltretowani, indagowani byli stale o miejsce pobytu „groźnego przestępcy”. Nadsyłana od rodziny żywność i pieniądze, zaszywane w dostarczonym Ferdynandowi ubraniu, ginęły bez śladu i do więźniów nie docierały.

Przypadek sprawił, że pani Michalina Pudelska-Żabczyńska była świadkiem przewiezienia siostry Marii Habowej i brata Józefa do obozu w Szebnie. Wspominała po latach:



Józef Pudelski

Co dwa tygodnie woziłam im bieleznę i paczuski z żywnością, które podawałam za pośrednictwem kluczników nie gardzących łapówkami. Często z za więziennego "parkanu" rozmawiałam z braćmi, którzy stali w oknie czwartego piętra. Po sześciu miesiącach aresztowania zwolniono z więzienia ciężko chorą 16-letnią Antoninę pod warunkiem, że wyda kryjówkę szwagra. Ferdek przewieziony został

do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a pozostali do wspomnianego już obozu pracy przymusowej Szebnie — Zwangsarbeiterslager.

Pewnego dnia, kiedy przyjechałam do Tarnowa ujrzałam na stacji transport więźniów pod eskortą Niemców trzymających na smyczach groźne wilczury. Zobaczyłam, że w transporcie jest Marysia i Józef. Nie namyślając się długo wsiadłam do tego samego pociągu, aby zobaczyć gdzie ich wiozą. Przesiadłam się w Stróżach do innego pociągu. Transport wysiadł w Jaśle. W należytej odległości posłam za nimi. Po 7 km. zobaczyłam obozowe baraki tuż przy drodze prowadzącej w kierunku Krosna. To był obóz Szebnie.

Obóz ten wybudowali Niemcy w marcu 1943 r. i istniał on do lutego 1944 r. Przebywali w nim Polacy, Żydzi, Ukraińcy i Cyganie. Egzekucji na ludności cywilnej z okolic Jasła i na więźniach tego obozu dokonywano w lesie w Wawrzykach. Więźniowie pracowali tam ciężko w kamieniołomach. Uwięzieni w Szebnie członkowie rodziny Pudelskich zostali uwolnieni po upływie dalszych 6 miesięcy. Tylko Ferdynand przewieziony został z więzienia tarnowskiego do podobozu KL Auschwitz-Birkenau, następnie do KL Buchenwald. Po uwolnieniu przez wojska amerykańskie przewieziony został w stanie skrajnego wyczerpania do Szwecji. Zapadł na gruźlicę. Dopiero po 10-letnim intensywnym leczeniu powrócił do zdrowia. Ożenił się w Szwecji z Bochnianką Jadwigą Struzikówną. Z tego małżeństwa urodziła się najpierw córka Helena, potem syn Ryszard. Do śmierci utrzymywał kontakty z rodziną Pudelskich w Polsce.

Warto wyjaśnić, dlaczego właśnie on jeden trafił do obozu koncentracyjnego. Według relacji dr Zofii Pudelskiej z Krakowa, córki Józefa Pudelskiego, w chwili, gdy w więzieniu w Tar-

nowie miał dołączyć do transportu więźniów do Szebni, przypomniał sobie, że zostawił w celi ciepłe kalessy. Powiedział bratu Józefowi, że za chwilę wróci i pobiegnie do budynku, z którego już nie wyszedł. Zamiast niego Niemcy dołączyli do transportu kogoś innego, a on pojechał do KL Auschwitz. Dla Niemców najważniejszy był rachunek i wymagana liczba więźniów.

Po wojnie Józef Pudelski ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim i aż do emerytury pracował jako radca prawny w Katowicach i Krakowie. Ożenił się z Janiną z Kronenbergów i urodziła się im córka Zofia (obecnie lekarz stomatolog). Zmarł 26 lipca 2001 r. i spoczywa na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Antonina Pudelska po wojnie wyszła za mąż za Adama Lalikę, maszynistę kolejowego, zamieszkała z mężem w domu przy ul. Proszowskiej. Mieli troje dzieci: dwóch synów: Stanisława i Krzysztofa i córkę Krysztynę.



Antonina Pudelska -Lalik

Ignacy Haba, nierozpoznany do końca wojny przez Niemców, powrócił do Bochni w 1945 r. i podjął pracę na kolei. W wyniku stresu wywołanego ciągłym ukrywaniem się przed Niemcami zupełnie posiwiiał. Zmarł w 1976 roku. Jego żona Maria zmarła w 1992 roku.

I w taki oto sposób można by zakończyć tę dramatyczną historię, jeden z wielu okupacyjnych epizodów, gdyby nie fakt, że w czasach PRL-u, w czasach tworzenia różnych legend dla osiągnięcia celów politycznych, także i temu wydarzeniu nadano znaczenie zgoła niezwykle.

* * *

Manipulacje historyków

Posłuchajmy teraz, jak w czasach PRL-u fałszowano historię i tworzono bohaterów nieistniejących czynów zbrojnych. Opisane wyżej wydarzenie przedstawił w takiej właśnie wersji Józef Zając, dowódca Gwardii i Armii Ludowej w okręgach Kraków i Podhale, w książce pt. *Toczyły się boje*. Ukazała się ona w 1965 r. nakładem „Czytelnika”, w konwencji wspomnień partyzanta Gwardii i Armii Ludowej.

Pisze więc Zając, że w Bochni znalazł się w pierwszych dniach lutego 1943 roku, ponieważ został „spalony” w Krakowie. Zanim wyjechał do Bochni, otrzymał polecenie od dowódcy Obwodu Krakowskiego Antoniego Grabowskiego o treści następującej:

Nie spotkamy się wcześniej, aż zgłosicie, że w terenie leżą, co najmniej cztery rozbite pociągi ze sprzętem wojskowym.

Wspólnie z pracującą na tym terenie komunistką Jadwigą Ludwińską „Helą”² rozpoczął rekoniesans po całym obszarze kolejowym od Bochni po Krzeszowice. Snuje więc dalej swoją opowieść:

Przedstawiłem plan sekretarzowi Komitetu PPR Bochni Stanisławowi Szmajdzie³ i Zbigniewowi Kąckiemu⁴: Do akcji pójdzie cała organizacja z terenu - powiedział Kącki. Ta myśl zrodziła drugą: objęcie uderzeniem całego węzła krakowskiej kolei. Zadaniem gwardzistów bocheńskich było rozbicie przynajmniej jednego transportu. Kolejar-

skie doświadczenie Kąckiego - był palaczem na lokomotywie - gwarantowało dobre przygotowanie i przeprowadzenie akcji. Poradzimy sobie - powiedział Smajda - Urządźmy szkopom ogniowe legowisko na szynach. Po rozważeniu sytuacji ustaliliśmy drugą połowę lutego, jako termin wspólnego uderzenia kilku grup Gwardii Ludowej w transport... Gwardzistom w Bochni sprzyjała gęsta nocna mgła. Dokonali oni największych zniszczeń. Wypadem kierował Kącki: wzięli w nim udział towarzysze bocheńscy. Przygotowali plan działania licząc się z wszelkimi niespodziankami. Dlatego zapewnili sobie pomoc kolejarza pełniącego dyżur w budce nastawniczej tuż przed samą stacją Bochnia. Nie rozkręcali szyn, nie użyli klina. Posłużyli się po prostu semaforem. Pozostawili jego ramię w pozycji poziomej - na "stój" - i z napięciem czekali na efekt tego pociągnięcia. Tuż przed godziną dwunastą w nocy pociąg towarowy jadący od Przemyśla nie mając wolnej drogi, stanął przy malej stacyjce - Rzezawa. Mgła otuliła go szczelnie jak watą. Był prawie niewidoczny.

I teraz Józef Zajac dochodzi do kulminacyjnego momentu, ale uważny Czytelnik od razu zauważy istotne różnice pomiędzy relacją Ignacego Haby a wspomnieniami Zajaca, który pisze:

Po pewnym czasie nadjechał pociąg, idący z Krakowa do Przemyśla, i w pełnym biegu uderzył w ten unieruchomiony i niewidoczny we mgle. Obydwie lokomotywy spięły się ze sobą jak gryzące się złe psy. Rozległ się przeraźliwy gruchot, połamaly się wagony pędzącego pociągu w kierunku Przemyśla na front wschodni i legły roztrzaskane na torach i obok nich. Ale oto nie ustał jeszcze zgrzyt miażdżonych wagonów, gdy nadszedł trzeci pociąg z Krakowa i w tempie pośpiesznego wpadł w rozwalone wagony. Do reszty rozbił stojące jeszcze całe wagony drugiego pociągu uderzając w stojącą na końcu cysternę z benzyną. Impet uderzenia był tak duży, że cysterna pękła i momentalnie eksplodowała, ogarniając ogniem wagony towarowe i pulmanowskie trzeciego składu ze znakami... Czerwonego Krzyża. Po chwili wagony Czerwonego Krzyża poczęły rozsadać wybuchy. Stało się jasne, że nie leżeli w nich ranni czy chorzy, ale że załadowane były amunicją. W rzekomym neutralnym pociągu chronionym przez międzynarodowe prawo, znajdowała się broń. Paliła się cysterna, sterty wagonów, różny sprzęt frontowy i materiały. Paliły się pogruchothane pulmany Czerwonego Krzyża z amunicją. Od silnego żaru poskręcały się nawet szyny. Zamiast jednego poszły z dymem i zostały rozbite trzy transporty. Hitlerowcy nie podjęli akcji represyjnej a kolejarz z budki postanowił więcej do niej nie wracać, (por. s. 85—88).

Po każdym wielkim sukcesie należy dokonać podsumowania odniesionego zwycięstwa. Konsekwentnie czyni to Józef Zajac:

Radosny nastrój panował na naradzie. Moje obawy, które tkwiły gdzieś na dnie duszy, że może coś się nie udać, że któryś z gwardzistów może się okazać nieostrożny, na szczęście nie sprawdziły się. Najbardziej chyba cieszyła się Ludwińska. Ze szczerej radości, że hitlerowcy otrzymali takiego tępnia ucałowała gwardzistów, a szczególnie tych z Bochni.

Tyle pisze pan Józef Zajac. Prawdziwe jest łacińskie przysłowie: *Verba volant, scripta manent* (słowa ulatują, pismo pozostaje). W 1967 r. na zlecenie Wojewódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki w Krakowie Wydawnictwo Artystyczne w Krakowie wydało, oprawione w płótno koloru niebieskiego, folder „Ziemia Bocheńska”, który przez wiele

lat pretendował do miana pierwszej monografii Bochni. Na stronie 35. tego folderu swoistą erudycją popisał się Jerzy Zawistowski autor rozdziału zatytułowanego: „Z postępowych tradycji powiatu bocheńskiego w latach 1772—1945”, który zamieścił tam m.in. taką oto rewelację:

...aktywizacja społeczeństwa bocheńskiego w walce z Niemcami nastąpiła w 1942 r. po powstaniu Polskiej Partii Robotniczej i jej ramienia zbrojnego — Gwardii Ludowej (GL).

Niejako na marginesie dodał wprawdzie, że w oparciu o istniejące wcześniej organizacje zbrojne w 1942 r. powstała tu również Armia Krajowa (AK), ale z kontekstu miało wynikać, że wiodącą siłą narodu od 1942 roku była Polska Partia Robotnicza, poprzedniczka PZPR. Interesujący nas fragment, wiążący się z wykojeniem pociągów, przytaczam w pełnym brzmieniu:

Jedną z pierwszych akcji GL na terenie powiatu bocheńskiego było wykojenie 3 niemieckich pociągów wojskowych na odcinku Bochnia - Rzezawa w nocy z 25/26 lutego 1942 r. Zniszczono wówczas 2 parowozy i 26 wagonów, powodując 20-godzinną przerwę w ruchu kolejowym. Akcją kierowali Zbigniew Kącki, Stanisław Smajda i Andrzej Wiecha.

Według relacji Andrzeja Wiechy

Na łamach „Gazety Krakowskiej” w nr 18 (6504) z dnia 22 stycznia 1969 r. na str.4 jeden z „uczestników akcji” na niemieckie pociągi, tow. Andrzej Wiecha⁵ podzielił się z czytelnikami swoimi wspomnieniami z „akcji sabotażowej” na niemieckie pociągi w Rzezawie, ale w sposób zgoła odmienny od relacji Józefa Zajaca. Obaj panowie byli zgodni jedynie w tym, że hitlerowcy nie podjęli żadnej akcji represyjnej.

Według Andrzeja Wiechy, akcję sabotażową przeprowadziła grupa PPR w nocy 29 stycznia 1943 roku, a więc w zupełnie innym dniu i miesiącu, niż nastąpiło wykojenie pociągów w Rzezawie [czyli w nocy z 25 na 26 lutego 1943 roku – przyp. SK]. Dowódcą grupy sabotażowej był tow. Zbigniew Kącki, wraz z nim wyruszyli do akcji: Feliks Gajewski, Karol Buczkiewicz, i Andrzej Wiecha, a ubezpieczał ich Józef Półgroszek. W relacji Wiechy pełna dynamizmu, perfekcyjnie przeprowadzona, akcja kończy się ogromnym sukcesem:

Najpierw opanowaliśmy posterunek kolejowy zapowiadawczy – między Bochnią, a Rzezawą. Następnie rozkręciliśmy szyny dając znak „wolnej drogi” niemieckim pociągom, których rozkład jazdy znaliśmy. Na uszkodzone tory wjechał najpierw, jadący z kierunku Krakowa, pociąg z transportem węgla, wagony wykojeły się. Zaraz po nim nadjechał z przeciwnej strony – z kierunku Tarnowa, drugi pociąg wiozący m.in. żołnierzy niemieckich, on również się wykojeił. Wreszcie na oba te pociągi wjechał jeszcze trzeci – towarowy. Przerwa w ruchu trwała 14 godzin w ciągu doby pociągi kursowały tylko po jednym torze. Cała akcja odbyła się w sprzyjających warunkach atmosferycznych, przy gęstej mgle. Okupanci doszli najwidoczniej do wniosku, że był to wypadek, stąd nie wszczęli akcji represyjnych, nikt w związku z katastrofą nie został aresztowany.

Dodaje jeszcze Wiecha, że grupa PPR zorganizowała w Bochni w czasie okupacji inne akcje sabotażowe. Nie podaje, na czym one polegały.

Protest rodzin Habów, Pudelskich i Gawlików

Wywiad z Andrzejem Wiechą opublikowany na łamach poczytnej wówczas „Gazety Krakowskiej”, wzbudził o wiele większe zainteresowanie niż publikacje naukowe. Rodziny Ignacego Haby i Jakuba Gawlika, złożyły do redakcji protest, uznając, że ofiary poniesione przez rodzinę Habów, Pudelskich i Gawlików były tak wielkie, że nie można dalej milczeć. Był to, w pełni uzasadniony moralnie, odruch naturalny. Okoliczności protestu i ciąg dalszy są tak interesujące, że warto je dokładnie prześledzić. Otóż redakcja „Gazety Krakowskiej” w dniu 11 marca 1969 r. przesała ten list na ręce towarzysza Mariana Kowala ówczesnego prezesa ZBOWiD-u w Bochni, z prośbą o ustosunkowanie się do niego. Wówczas w środowisku bocheńskich zbowidowców nastąpiła konsternacja i zapadło głucho milczenie. Zdumiewać może dzisiaj fakt, że nikt w Bochni nie zajął się tą sprawą. Można domniemywać, że sprawa stała się swoistym „tabu partyjnym”, którego, bez przykrych konsekwencji, nikt nie odważył się naruszać. Nawet były szef kontrwywiadu ZWZ-AK Jan Kaczmarczyk ps. „Wik”, który zatrudniony na etacie ZBOWiD-u prowadził bardzo płodną działalność pisarską i przygotowywał pogadanki w bocheńskim radiowęźle, w tej sprawie musiał cicho siedzieć.

W audycji nadanej w lokalnym radiowęźle w dniu 6 maja 1969 r. o godzinie 750, a zatytułowanej *Wśród nowych książek* podjął on [Kaczmarczyk – przyp. SK] rzeczywiście ostrą polemikę z Jerzym Zawistowskim. Ośmieszył autora, spod którego pióra wyszła tak wierutna bzdura, że w czasie rzezi galicyjskiej w 1846 r. oddziały chłopskie w okolicach Bochni wycięły w pień szwadron szwoleżerów austriackich, zakwestionował podany dzień urodzin gen. Jana Henryka Dąbrowskiego i liczbę rozstrzelanych na Uzborni, ale na temat „podrzędnej” roli AK w Bocheńskim i „sabotażu Gwardii Ludowej na torach w Rzezawie” milczał.

To milczenie trwało do 1971 roku. Zbliżały się „Dni Bochni”. Z tej okazji miasto postanowiło wydać okolicznościowe wydawnic-

two pt. „Ziemia Bocheńska-Dni Bochni 1971”. Ukazał się w nim artykuł, pióra Mariana Stolarczyka, ówczesnego kierownika Powiatowego Archiwum Państwowego w Bochni, pt. *Zarys dziejów Bochni*. Autor pominął w nim milczeniem wysiłek zbrojny Obwodu ZWZ—AK „Wieloryb” i 12 pułku piechoty Armii Krajowej im. Ziemi Bocheńskiej, natomiast wyeksponował epizod katastrofy kolejowej w Rzezawie. Na str. 22 napisał:

Społeczeństwo miasta odpowiadając na terror okupanta, utworzyło organizacje i oddziały bojowe. M.in. oddziałami Gwardii Ludowej kierowali na terenie Bochni i Bocheńszczyzny tacy działacze, jak Józef Półgroszek, Zbigniew Kącki i Stanisław Smajda. Jedną z najgłośniejszych akcji GL na terenie Bocheńszczyzny było wykolejenie w nocy z 25/26 lutego 1943 r. trzech niemieckich pociągów na trasie Bochnia - Rzezawa. Zniszczeniu uległy dwa parowozy i 26 wagonów.

Artykuł ten był skrótem referatu M. Stolarczyka wygłoszonego na sesji MRN, inaugurującej Dni Bochni w 1971 r. Rodzi się więc pytanie, czy autor wykazał się lojalnością ponad miarę, czy redakcja wydawnictwa, zdominowana przez ówczesny lokalny aparat partyjny, nie dokonała takiego właśnie skrótu, eliminującego wysiłek zbrojny Obwodu ZWZ-AK „Wieloryb”.

Powróćmy jednak do protestu rodziny Habów, Pudelskich i Gawlików. Co działo się z nim w latach 1969-1971?

Z tym pytaniem zwróciłem się w 1993 r. do ówczesnego członka Zarządu Oddziału Bocheńskiego ZBOWiD-u, pana Juliana Migdała, który w latach okupacji niemieckiej był szefem kwatermistrzostwa Obwodu ZWZ-AK „Wieloryb”. Odpowiedział mi:

Kiedy państwo Habowie przyszli, z gazetą w ręce, do naszego lokalu, prezes ZBOWiD-u Marian Kowal kazał się im zgłosić na Komendzie Powiatowej MO w Bochni. Zaprotestowała przeciwko temu energicznie zwłaszcza pani Maria Habowa oświadczając, że przyszła w imieniu rodziny do prezesa organizacji kombatanckiej, a nie do milicjanta, a na żadną milicję nie pójdą, domaga się przeproszenia za wyrażoną krzywdę, za fałszywą publikację prasową i żąda skutecznej interwencji ZBOWiD-u w tej sprawie. Obiecano rozpatrzenie sprawy.

Niebawem Ignacy Haba został zavezwany do bocheńskiej instancji partyjnej, gdzie w obecności I Sekretarza PZPR w Bochni Tadeusza Ziemblińskiego prezes Kowal powiedział: „Wy Haba siedźcie cicho na dupie. Dostaniecie krzyż chlebowy, a żadnego artykułu odwoływać nie będziemy”.

Nie było to rozwiązanie, które mogłoby usatysfakcjonować poniesione ofiary. Rodzina zwróciła się ponownie do prasy. Kierownik Działu Łączności z Czytelnikami ponaglał ZBOWiD, domagał się odpowiedzi i, ... po dwóch latach w nr 69 *Gazety Krakowskiej* z dnia 23 marca 1971 r. ukazało się „Uzupełnienie Kartki z przeszłości”, w którym podano nazwiska 10 osób aresztowanych z rodzin Habów, Pudelskich i Gawlików. W celu złagodzenia atmosfery „dokooptowano do grupy konspiracyjnej Ignacego Habę, pisząc, że:

...bezpośrednio po katastrofie Ignacy Haba dał znak "wolnej drogi" dla trzeciego niemieckiego pociągu, który nadjeżdżał do Rzezawy. Ten trzeci pociąg najechał na wykolejone już wagony, co zwiększyło rozmiar katastrofy.

W taki sposób udało się zachować walor akcji sabotażowej Gwardii Ludowej. Dopuszczając, partyjno-zbowidowsko-salomonowym rozstrzygnięciem, Ignacego Habę do współudziału w tej akcji, próbowano zakończyć całą nieprzyjemną sprawę. Byli partyzanci ZWZ-AK Obwodu „Wieloryb”, zrzeszeni w szeregach ZBOWiD-u, wiedzieli dobrze o całej mistyfikacji. Na zebraniach ZBOWiD-u najbardziej jeszcze w tej sprawie awanturował się Julian Migdał, twierdząc, że:

w Bocheńskim żadnego GL-u nigdy nie było.



Po tych awanturach Julian Migdał opuścił zbawidowskie szeregi. O tym, że żadnej akcji partyzantów z Gwardii Ludowej nie było w 1943 r. w Rzezawie, świadczy podpisana przez ówczesnego pracownika etatowego ZBOWiD-u Jana Kaczmarczyka ps. „Wik”, opinia do wniosku o nadanie Krzyża Grunwaldu dla Andrzeja Wiechy w dniu 2 czerwca 1957 r., w której nie wykazał jego udziału w „tej” tak przecież „ważnej i bohaterkiej” akcji. Pomysł na legendę o dokonaniach Gwardii Ludowej na terenie Ziemi Bocheńskiej zrodzić się musiał zatem dopiero w latach 60. podobnie jak wszystkie inne legendy puszczane w świat przez szefa bocheńskiego ZBOWiD-u.

Monografia Bochni o katastrofie kolejowej w Rzezawie

Prawie dziesięć lat później w 1980 r. ukazała się monografia Bochni: *Bochnia. Dzieje miasta i regionu* pod red. Feliksa Kiryka i Zygmunta Ruty. Musiała ona mocno rozczarować byłych gwardzistów, bowiem ich wyczyn pominięty został całkowitym milczeniem. Wprawdzie dr Alina Fitowa, autorka rozdziału o ruchu oporu w Bocheńskim, omówiła działalność PPR i GL, wymieniła nazwiska członków władz bocheńskiego podokręgu PPR i nawet wspomniała, że wśród kolejarzy wyróżniła się grupa sabotażowa, to jednak nie dość, że nie napisała o wykolejeniu pociągów w Rzezawie, to nie wymieniła żadnej akcji przeprowadzonej przez bocheńskich gwardzistów. Każdy przyzna, że w zestawieniu z całym kalendarium akcji sabotażowo-dywersyjnych bocheńskiej organizacji ZWZ-AK, NOW-ODB i Batalionów Chłopskich, w którym zamieszczono nie tylko takie akcje, jak np. uwolnienie więźniów z więzienia hitlerowskiego w Wiśniczu, ale i akcje drobniejsze, jak likwidowanie konfidentów gestapo czy nawet strzyżenie kobiet, utrzymujących poufale stosunki z Niemcami, sukcesy gwardzistów polegały głównie na ciągłym ukrywaniu się.

A przecież jeszcze w tym czasie ZBOWiD w Bochni miał się zupełnie dobrze, a nikt z tego środowiska nie protestował. Co więcej - ujawniła ona na stronie 452 szczegół, który całkowicie deprecjonuje wiarygodność opisów wydarzeń podanych przez panów Zająca, Zawistowskiego i Stolarczyka. Dotyczy on daty aresztowania przez Gestapo sekretarza Podokręgu PPR i GL Bochnia Stanisława Smajdy, który, według słów tych panów, miał kierować akcją:

Został on aresztowany w dniu 12 lutego 1943 roku [czyli na 13 dni przed rzekomą „akcją” – przyp.SK], a Półgroszek i Kącki zostali „spaleni” i musieli Bocheńskie opuścić.

Wprawdzie kierowanie akcją nie oznacza bezpośrednio uczestniczenia, ale każdy przyzna, że kierowanie nią zza murów więziennych czy drutów obozu koncentracyjnego było raczej niemożliwe. Bardziej dociekliwych mogłyby jeszcze zastanowić inne fakty przywołane w relacji Józefa Zająca. Wg niego pierwszy pociąg nadjechał do Rzezawy od Przemysła, drugi od Krakowa. Jak to się stało, że pociągi zderzyły się z sobą, skoro jechały po innych torach, a gwardziści nie zmieniali zwrotnicy, a tylko ustawili ramię semafora w pozycji poziomej i czekali, co z tego wyniknie. Jest to, co najmniej, zastanawiające i należało to czytelnikom wyjaśnić.

Następne pytanie brzmi: ile parowozów zostało zniszczonych? W relacji Józefa Zająca można doliczyć się trzech kompletnie zniszczonych parowozów. Jeżeli pan Zająca pisze, że *obydwie lokomotywy spięły się ze sobą jak gryzące się złe psy*

to oznacza to, ni mniej ni więcej, że przy takim impecie obie uległy zniszczeniu, zaś trzeci pociąg uderzył w cysternę z benzyną. Impet uderzenia był tak duży, że cysterna pękła i momentalnie eksplodowała. Eksplodować też musiałyby lokomotywa trzeciego pociągu. Takie są chyba niezbite prawa logiki! Czemu zatem J. Zawistowski i M. Stolarczyk piszą o zniszczeniu tylko dwóch parowozów? Czyżby „niezbitych” relacji o akcji sabotażowej było więcej niż samych „uczestników”?

W zamieszczonej w nr 18 „Gazety Krakowskiej” relacji „uczestnika akcji sabotażowej” Andrzeja Wiechy, zamienione zostały nie tylko daty (29 I zamiast 25/26 II) i ludzie (Gajewski, Buczkiewicz i Półgroszek zamiast Smajdy), ale wprowadzony został, obok wątku semafora, wątek walki („najpierw opanowaliśmy posterunek kolejowy”) i dywersji („rozkęciliśmy szyny”). Jadący pociągiem żołnierze niemieccy (relacja Wiechy) pomieszali się z benzyną i amunicją (relacja Zająca), nawet trasy kolejnych pociągów okazały się inne. Relacja jednego gwardzisty wykoleiła relację drugiego.

Dzisiaj nie ma nikt monopolu na prawdę, a wiele różnych mitów legło w gruzach. Fałszywych bohaterów można znaleźć na różnych szafkach. Patologiczny przypadek cwaniaka, który twierdził w 1991 r., że uratował się w 1944 r. ze strąconego nad Bochnią „Liberatora”, rozszyfrowaliśmy bardzo szybko (zob. „Wiadomości Bocheńskie” nr 2/91 artykuł „Błagier czy hiena”), ale przecież przez ponad tydzień udało mu się wodzić za nos czołowego działacza Światowego Związku Żołnierzy AK w Bochni, który go fetował i woził na miejsce tragedii w Nieszkowicach.

Opisany tutaj przypadek zafalszowania fragmentu historii Bochni jest tym bardziej przykry, że usiłowano objąć znową milczenia tragedię, jaką przeżyli w tym czasie trzy bocheńskie rodziny, a stworzono pseudoboherów z ludzi, którzy także przeszli gehennę obozów koncentracyjnych i niektórzy tam rzeczywiście zginęli. Dla pamięci przyszłych pokoleń można było im tego zaoszczędzić. Wykoleiły się nie tylko pociągi ale także chęć poszukiwania prawdy historycznej.

Według relacji Franciszka Szymańskiego – współsprawcy katastrofy

50 lat temu na torach w Rzezawie rozegrał się dramat, który dla rodziny Pudelskich, Habów i Gawlików rozpoczął pasmo prześladowań i udręczeń, a dla innych stał się źródłem nieuzasadnionej, przyszłej chwały i zaszczytów. Opisując późną jesienią 1993 r. na łamach „Wiadomości Bocheńskich” w numerze 4/1993 tę historię, złożoną ze strzępów rodzinnych wspomnień i kulisy całej polityczno-historycznej prowokacji i manipulacji, nie przypuszczałem, że dzięki tej publikacji uda się jeszcze dotrzeć do pana Franciszka Szymańskiego (1922-1997) z Chodenic, bezpośredniego świadka tamtych wydarzeń, a, jak się później okaże, faktycznego nieumyślnego współsprawcy całej tej katastrofy, który zgłosił się do „Domu Bochniaków” niedługo po opublikowaniu artykułu.

Relacja ta różni się w kilku zasadniczych sprawach od opisanego przez Ignacego Habę biegu wydarzeń (kolejności przyjazdu drugiego i trzeciego pociągu), niemniej jednak istota rzeczy pozostaje ta sama. Przytaczam ją teraz nie tylko z poczucia obowiązku, ale z pełną dziennikarską satysfakcją, że udało się dotrzeć do wiarygodnego źródła i wydobyć wiadomości, rzucające światło na wiele niewyjaśnionych jeszcze kwestii.

Mówił więc pan Franciszek Szymański, że krytycznej zimowej nocy z 25 na 26 lutego 1943 r., jako młody świeżo przeszkolony telegrafista, pełnił służbę na stacji kolejowej

w Rzezawie. Przełożonym jego na tej właśnie zmianie był dyżurny ruchu pan Ignacy Haba. W niewielkim budynku nastawni, oddalonym od budynku stacyjnego o dobry 1 kilometr, czuwał zwrotniczy Jakub Gawlik.



Franciszek Szymański ps. „Duraj” „Zbigniew”

W tym czasie Niemcy szkolili wielu przyjętych do zawodu uczniów. W zdecydowanej większości przypadków byli to uczniowie, a może nawet absolwenci, szkół średnich. Pan Szymański pamięta, że podobne szkolenie w różnych innych zawodach, związanych z kolejnictwem, przechodzili razem z nim inni młodzi ludzie: Zdzisław Gnoiński, Mieczysław Jonak, Augustyn Gregorowicz, Stanisław Karol Dziurzycki. Gnoiński i Jonak po wojnie ukończyli studia medyczne, Gregorowicz został dyspozytorem ruchu PKP, a Dziurzycki geodetą. Intensywne szkolenia przeprowadzano z myślą o wysłaniu młodych kadr na wschód w celu objęcia różnych stanowisk w kolejnictwie. W opinii naczelnika stacji kolejowej w Bochni, Niemca Bohlendera, Szymański uchodził za jednego ze zdolniejszych *ausbilderów*. Otrzymał więc samodzielne stanowisko obsługi telegrafu na stacji w Rzezawie. Franciszek Szymański wspominał:

Pełnił tam służbę w systemie zmianowym (12 godzin pracy - 24 godziny odpoczynku). Przeszedłem do pracy na godzinę 19-tą. O 7.00 rano dnia następnego dyżurnego Habę miał zastąpić o ile dobrze pamiętam Józef Róg. W tajemnicy przed przełożonymi z Bochni ułożyliśmy się z panem Habą tak, że on czuwał zawsze do godziny 24.00 i obok swoich czynności obsługiwał także telegraf, a ja w tym czasie odpoczywałem, mogłem się nawet zdrzemnąć. Po północy zamienialiśmy się rolami. Zwrotniczy Jakub Gawlik musiał niestety zawsze czuwać, gdyż przebywał sam w budynku nastawni; przekładał zwrotnice, i zmieniał semafor zgodnie z poleceniami, które od nas otrzymywał.



Antonina Pudelska za kratami aresztu w bocheńskim magistracie w 1943r.

Po obu stronach torów przełotowych znajdowały się tzw. mijanki umożliwiające ruch na stacji w przypadku zajęcia torów głównych. Musiało być grubo po północy, może nawet około 1- szej kiedy od strony Bochni nadjechał pociąg z węglem, a ponieważ nie miał wolnej drogi zatrzymał się tu - na stacji w Rze-

zawie. Tej nocy była rzeczywiście bardzo gęsta mgła i pociągu prawie nie było widać. Niedługo później nadjechał z Bochni parowóz przetokowy i po mijance pojechał do Słotwiny, gdzie zapewne podstawić miał wagony do browaru Okocim, co czynił każdej nocy.

To ja miałem wtedy czuwać a nie pan Haba. Zapamiętałem ruch na torach i tak sobie to skojarzyłem, że to pewnie pociąg węglowy ruszył w dalszą drogę. Może w godzinę po parowozie, gdzieś między 2.00 a 3.00 miał nadejść pociąg z Bochni w kierunku wschodnim.

Był to pociąg pospieszny ze znakami Czerwonego Krzyża (»Schnezzug für Fronturlauser«). Jechał pusty na wschód po żołnierzy Wehrmachtu z frontu wschodniego - rannych i urlopowanych. Z całym spokojem i pewny tego, że tor jest pusty powiadomiłem telegraficznie stację „Bochnia”: Zug Nr XY ist hier, der nächste kann kommen (Pociąg Nr XY jest tutaj, następny może nadjechać) i dałem sygnał Gawlikowi. Z ogromną siłą uderzył w ostatnie wagony pociągu węglowego. Wagony wyskoczyły z szyn i zatarasowały sąsiedni tor. W tym samym czasie nadjechał pociąg od Tarnowa wiozący pogruchothane czołgi samochody i inny sprzęt wojskowy zniszczony podczas walk na froncie wschodnim — zapewne w celu naprawy lub złomowania i przetopienia. Sygnalizację wolnej drogi dla tego pociągu podałem jeszcze przed pierwszą katastrofą ja, ponieważ semafor od tej strony stacji był koło budynku stacyjnego, a Gawlik obsługiwał semafor wyjazdowy w kierunku Bochni. Uderzenie było tak silne, że wagony wyskoczyły z szyn i zatarasowały tory.

Potwierdza Franciszek Szymański, że pociągi nadjechały „w tym samym czasie”. W gęstej mgłę prawdopodobne są zatem obie wersje: zarówno: Haby wg którego pierwszy i drugi pociąg nadjechały od strony Tarnowa, a trzeci z przeciwnej strony wpadł na złomowisko, jak i odwrotna wersja Szymańskiego.

Byłem całkiem oszołomiony. Zobaczyłem, że dyżurny ruchu poderwał się z miejsca, w którym odpoczywał, wybiegł przed budynek bez czapki i latarki, nie wiem, czy zdołał ogarnąć rozmiary podwójnej katastrofy, ale wiem, że rozpląnął się we mgłę i do budynku stacyjnego już nie wrócił. To samo uczynił chyba Jakub Gawlik, bo telefonowałem do niego, ale telefon nie odpowiadał. Haba jako dyżurny ruchu ponosił pełną odpowiedzialność za wszystko, co się tutaj wydarzyło i nie miał żadnych szans w konfrontacji z Gestapo. Dlatego też nie dziwiłem się jego postępkowi, bo będąc na jego miejscu zrobiłbym to samo. Ale ja byłem tylko telegrafistą mogłem, więc liczyć - jak mi się wydawało - na pewne względy.

Trzeba w tym miejscu dodać, że sytuacja rodzinna Szymańskiego, skomplikowana dodatkowo w przeddzień katastrofy, (o czym będzie niżej) nie pozwalała mu na ucieczkę i utratę pracy. Zawiadomił więc telefonicznie naczelnika Bohlendera w Bochni, prosząc go o natychmiastowy przyjazd i rozesłał telegramy do sąsiednich stacji: *Alle Züge halten in Rzezawa ist Unfahll gefallen* (Wszystkie pociągi zatrzymać, w Rzezawie jest wypadek) i zwrócił się do Płaszowa i Tarnowa, by przysłały pociągi pomocnicze i ratownicze (*Gerde i Hilfszüge*).

Od strony Bochni można było podjechać parowozem na odległość ok. 1 kilometra od stacji, a następnie trzeba było przejść pieszo. Może właśnie dlatego, a może wskutek licznych czynności, jakie musiał jeszcze wykonać Bohlender, pierwsze na miejscu zjawili się tarnowskie Gestapo.

Ustawili mnie pod ścianą budynku stacyjnego i chcieli rozstrzelać na miejscu, ale na czas zdążył Bohlender, który jakoś wy tłumaczył

gestapowcom, że to dyżurny ruchu zbiegł, a ja jestem ausbilderem i pozostałem sam na posterunku. Potwornie zmęczony, przerażony, w stanie skrajnego wyczerpania nerwowego dotrwałem do godziny 7.00 kiedy to parowozem nadjechał zastępca Bohlendera Vogelle i Julian Smajda urzędnik kolejowy znający dobrze język niemiecki.

Kiedy Franciszka Szymańskiego odwożono do Bochni, na miejscu w Rzezawie były już pociągi techniczne do likwidacji skutków katastrofy. Przy pomocy długich żurawi zdejmowano wykolejone wagony i zrzucano je poza nasyp kolejowy. Mimo intensywnej pracy, do godziny 16.00 udało się uruchomić przejazd tylko po jednym torze.

Przesłuchanie Szymańskiego rozpoczęło się około 8.00 rano w budynku stacji kolejowej w Bochni. Komisja złożona z wysokich, niemieckich urzędników kolejowych przeprowadziła skrupulatne przesłuchanie. Naczelnik stacji w Bochni Bohlender w nim nie uczestniczył, ale kiedy zakończyło się, podszedł na osobności do Szymańskiego i szepnął mu: *Herr Szamański passen sie auf- sagen sie immer dasselbe.* (Panie Szymański, niech pan zawsze mówi to samo). O dziwo, wypuszczono go z budynku stacyjnego, więc udał się do domu rodzinnego w Chodenicach, umył i położył spać, ale około 10.00 przyjechali gestapowcy, skuli w kajdanki i zabrali do swojej siedziby, która mieściła się przy ul. Białej (duży piętrowy budynek za Oratorium św. Kingi). Tu wrzucono go do piwnicy i niebawem rozpoczęto przesłuchania, bijąc dotkliwie kolbą karabinu i gumową pałką. Zarzucono mu sabotaż, żądano wyjawienia współników. Przesłuchiwany, pomny wskazówek Bohlendera, powtarzał stale to samo:

Nie wiem gdzie uciekinierzy się ukryli, bo cały czas siedziałem na posterunku przy telegrafie. Na drugi dzień ponowiono przesłuchanie i ordynarne, chamskie bicie wskazujące na to, że przesłuchującym bardzo się spieszyło. Pytano stale o Habę i Gawlika. Kiedy nie potrafili ze mnie nic wydobyć, a nabrali pewności, że więcej wiedzieć nie mogą zabrali mnie do magistratu przy ul. Kazimierza Wielkiego i umieścili w pakamerze, która służyła za tymczasowy areszt. Po pięciu dniach drzwi otworzyły się, stanął w nich naczelnik Bohlender w towarzystwie gestapowca i powiedział do mnie po niemiecku: *Chodź jesteś wolny!*

Naczelnik Bohlender był już starszym człowiekiem. Niemieckiego wzrostu, zawsze z fajką w zębach, był dobrym człowiekiem chociaż nosił w klapie znaczek NSDAP. Dbał o swoich pracowników, zarówno Niemców jak i Polaków. Chyba był katolikiem. Uchodził za człowieka bardzo konkretnego, nawet służbistę, który lubił porządek i dyscyplinę. Sprawa wyszkolenia kadry kolejowej leżała mu szczególnie na sercu.

Zależało mu bardzo na sprawnych kasjerach, telegrafistach itp., a mnie lubił bo uważał za takiego właśnie wyszkolonego przez siebie fachowca. To jemu zawdzięczam życie i możliwość dalszej pracy na kolei, bo jak mi później opowiadali koledzy słyszeli liczne rozmowy telefoniczne, jakie Bohlender przeprowadzał w mojej sprawie. Nie mógł mnie ponownie zatrudnić w ruchu, więc dał mi pracę w kasie towarowej.

Obecny był przy naszej rozmowie w „Domu Bochniaków” pan Aleksander Bugajski, syn przedwojennego naczelnika stacji kolejowej w Bochni. Pracował on podczas okupacji jako praktykant w nastawni kolejowej w Bochni i również

pamięta Bohlendera jako uczciwego człowieka, który nawet ostrzegwał go przed dyżurnym ruchu (nazwisko znane redakcji) — hitlerowskim sługusem i donosicielem. Podał nam nawet charakteryzujący świetnie Bohlendera szczegół, że kiedy dowiedział się, iż pracownikowi stacyjnemu Dziadoszczukowi w ramach kontyngentu zabrano krowę, to na drugi dzień osobiście tę krowę właścicielowi przyprowadził.

Wypada w końcu wyjaśnić okoliczności, jakie skłoniły Szymańskiego do pozostania po katastrofie na posterunku przy obsłudze telegrafu. Otóż ojciec Franciszka Szymańskiego, Robert, podczas okupacji był bez pracy. Jedynymi żywicielami rodziny byli jego synowie, Franciszek i Jan. Obaj pracowali na kolei i należeli do Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW). Jan Szymański (ps. „Rylski”) był kierownikiem pociągu, Często prowadząc pociąg towarowy z pogruchotanym sprzętem wojskowym penetrował wagony i niejednokrotnie znajdował tam broń, która mogła się przydać organizacji młodzieżowej NOW. Właśnie w przeddzień opisywanych przez nas wydarzeń, podczas takich poszukiwań broni pośliznął się przy przeskakiwaniu na kolejny wagon i wpadł pod pędzący pociąg. Na szczęście złamał sobie tylko obojczyk i dostał się do szpitala w Tarnowie, ale w dniu wypadku nikt z rodziny nie wiedział jeszcze, czy wyjdzie on z tego cało. Jedynym żywicielem całej rodziny mógł więc zostać tylko Franciszek Szymański i świadomość tej właśnie odpowiedzialności skłoniła go do pozostania na miejscu.

W działalność konspiracyjną zaangażowany był od lutego 1942r. Po przeszkoleniu dywersyjno-wojskowym w czerwcu 1944 r. wstąpił do oddziału partyzanckiego NOW-ODB „Szczerbiec”⁶ i niedługo później był już zastępcą komendanta oddziału. Nosił pseudonimy „Duraj” i „Zbigniew”. 5 stycznia 1945 r. zakończył walkę z Niemcami zdobyciem niemieckiej kasy polowej w Wiśniczu⁷. Po wyzwoleniu, zagrożony aresztowaniem, znalazł się już w marcu 1945 r. w oddziale partyzanckim „Pogrom”⁸. Brał udział w różnych akcjach przeciwko funkcjonariuszom UB i milicji. Przy zdobywaniu posterunku Milicji Obywatelskiej w Dobczycach został ciężko ranny. Kula przeszła przez jego klatkę piersiową. Od września 1945 r. ukrywał się, następnie nielegalnie przez okupowane Niemcy przedostał się do II Korpusu, stacjonującego we Włoszech. Do kraju wrócił w lipcu 1946 r. Po amnestii ujawnił się, złożył broń a w 3 miesiące później, w dniu 13 lipca 1947 r., został aresztowany na dworcu kolejowym w Krakowie. Śledztwo w jego sprawie trwało dwa lata. W tym czasie występował jako świadek w słynnym procesie Doboszyńskiego w 1949 r.⁹ W więzieniu dowiedział się o wyrokach, jakie zapadły na jego kolegów z bocheńskiej organizacji NOW-ODB. Proces Franciszka Szymańskiego odbył się przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie, a wyrok skazujący go na karę 9 lat więzienia, zapadł w dniu 30 maja 1950 r. (sygn. akt Sr. 611/50).

Po śmierci Stalina, w wyniku amnestii, wyszedł z więzienia w dniu 13 lipca 1953 r., a więc po 6 latach odbywania kary, ale kara dodatkowa w postaci utraty praw publicznych trwała o wiele dłużej. Mówił:

Wypuszczenie mnie z więzienia nie oznaczało wcale pełni wolności. Poddawany był różnym szykanom. Obok kłopotów z pracą bardzo dotkliwym obowiązkiem było meldowanie się u oficera UB, który urzędował na parterze w budynku przy ul. Brackiej (gdzie obecnie jest przedszkole). Dwa razy w tygodniu poświęcał mi parę godzin

na rozmowy, które trwały od 19.00 do 23.00. Za każdym razem musiałem opowiadać mój życiorys. Po jego uważnym wysłuchaniu usiłował w prymitywny sposób werbować mnie do współpracy. Mówił do mnie: „dostaliście 9 lat, z tego Partia darowała wam 3 lata, powinniście być za to wdzięczni i nawiązać z nami ścisłą współpracę”.

Kiedy nadszedł Polski Październik 1956 r. i nadarzyła się okazja, Franciszek Szymański wyjechał do Wrocławia, tam skończył studia i podjął pracę. Aktywnie pracował też w Oddziale Wrocławskim Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej¹⁰. Po przejściu na emeryturę wrócił do Bochni i tutaj zamieszkał w rodzinnym domu. Zmarł w 1997 r. i spoczywa na cmentarzu komunalnym w Bochni.

Należy dodać, że Sąd Wojewódzki w Warszawie, postanowieniem z dnia 1 lutego 1993 r. sygn. akt VIII Ko 349/92, stwierdził nieważność wyroku sprzed 43 lat, skazującego Franciszka Szymańskiego na karę 9 lat więzienia i ustalił, że z treści przypisanych mu czynów, popełnionych w latach 1945-47, wynika, powiązanie ich z działalnością na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego. Kończył swoje wspomnienia pan Franciszek Szymański:

Kontaktów z Ignacym Habą i Jakubem Gawlikiem nie miałem. Na emeryturze może miałbym więcej czasu na wspomnienia, ale wtedy oni już nie żyli. Nawiązałem jednak kontakt z żoną i siostrą Gawlika i dowiedziałem się od nich, że nachodzono go w domu, proponowano pieniądze i odznaczenia w zamian za ustalenie innej wersji wydarzeń, ale żadnego takiego fałszywego dokumentu o heroizmie gwardzistów bocheńskich Gawlik nie podpisał.

Pan Franciszek Szymański z prawdziwym żalem mówił o martyrologii rodziny Pudelskich, Habów, Gawlików i stwierdził, że budowanie na nieszczęściu tych rodzin bohaterskiej, a całkowicie niezasłużonej, sławy innych ludzi było świadectwem wyjątkowej obłudy.

Ja sam, choć byłem wtedy związany z moją organizacją konspiracyjną NOW, nigdy bym się nie ośmielił podciągnąć pod maskę akcji dywersyjnej wypadku, który był wynikiem mojego błędu w pełnieniu służby telegrafisty i błędu dyżurnego ruchu Ignacego Haby, który może mi zbyt zaufała i nie przewidział tak ciężkich konsekwencji.

W przedstawionych relacjach pojawiło się nazwisko Stanisława i Juliana Smajdy. Ma prawo Czytelnik zapytać czy przypadkiem nie pomyłono imion, czy może byli braćmi lub łączyło obu jakieś inne pokrewieństwo. Julian Smajda podczas I wojny walczył w legionach, należał do Związku Legionistów w Bochni, przed wojną pracował na kolei jako dyżurny ruchu. Podczas okupacji przeniesiony został na inne stanowisko urzędnicze na stacji w Bochni z tego m. in. względu, że znał biegle język niemiecki. Jak już wspomniałem, przybył on bezpośrednio po katastrofie do Rzezawy razem z następcą

Bohlendera Vogelle w celu zbadania okoliczności wypadku. Stanisław Smajda był jego bratem o zupełnie innym obliczu ideologicznymi i światopoglądowym. Poza faktem, że byli braćmi, niewiele ich łączyło. Kiedy jednak Stanisław Smajda był II sekretarzem PPR w Bochni w 1946 r. to on jeden kwestionował pomysł pochowania zastrzelonych w Łapanowie milicjantów pod pomnikiem Czynu Legionowego w Bochni, za co zapłacił utratą stanowiska.

Relacja Stanisława Smajdy

Jakież było moje zdziwienie, kiedy w 1994 r., a więc prawie rok po opublikowaniu mojego artykułu, zapukał do mojego domu starszy pan i przedstawił się:

Nazywam się Stanisław Smajda. To pan o mnie pisał w „Wiadomościach Bocheńskich”.



Jadwiga Ludwińska „Hela”



Stanisław Smajda

Przyjechał do Bochni z Krakowa. W czasie ciekawej rozmowy opowiedział mi okoliczności jego aresztowania przez gestapo prawie dwa tygodnie przed rzekomą akcją w Rzezawie. Wyraził zadowolenie, że o całej sprawie napisałem, bo wreszcie prawda wyszła na jaw. Przyznał, że nie miał żadnych możliwości kierowania akcją z drutów kolczastych KL Auschwitz. Przedstawił także przedwojenne i okupacyjne losy bocheńskiej organizacji PPR, założonej 15 września 1942 r. przez Jadwigę Ludwińską ps. „Hela”. W porównaniu z ZWZ-AK Obwód „Wieloryb” organizacja PPR była nieliczna i nie zdobyła się na żadną akcję zbrojną. Wiąże z nią Smajda nazwiska Krzyszkowskiego i Piątkowskiego, a także Dreścika, który rozstrzelany został na Uzborni w grudniu 1939 r. Mówił także w jaki sposób rozpracowano bocheńską organizację, przez wprowadzenie prowokatorów Naklera i Staweckiego. Stanisław Smajda nosił pseudonim „Blady”. Aresztowany został 12 lutego 1943 r. w bocheńskiej drukarni, trafił do więzienia Montelupich, przesłuchiwany był w siedzibie gestapo na Pomorskiej, następnie wywieziony do KL Auschwitz, a w sierpniu do KL Neuengamme pod Hamburgiem. Dzięki pomocy E. Lizaka z Bochni przeżył, a w transporcie więźniów z obozu nie dojechał już do Lubeki, bo zajęli ją Amerykanie. Po aresztowaniu Smajdy Józef Półgroszek i Zbigniew Kącki ps. „Zbyszek” musieli niezwłocznie z Bochni uciekać. Zdaniem Smajdy, Kąckiego nie było już w Bochni, kiedy nastąpiło wykolejenie pociągów w Rzezawie. Józef Półgroszek aresztowany został w Krakowie przy ul. Długiej 5 stycznia 1944 r. w mundurze przewodnika policji granatowej. Przewieziony został do więzienia Montelupich, a po 8 miesiącach do KL Gross-Rosen. Tam, w lutym 1945 r., zastrzelono go w baraku w czasie przygotowań do ewakuacji więźniów. Zbigniew Kącki aresztowany został w czerwcu 1943 r. w Krakowie w warsztacie szewskim Kazimierza Makowskiego, gdzie Niemcy urządzili „kocioł”. Rozstrzelany został

na Wzgórzach Krzesławickich. Właściciel warsztatu i jego żona zginęli w KL Auschwitz-Birkenau. Po odejściu z Bochni Półgroszka i Kąckiego kierownictwo organizacji przejęła Jadwiga Popławska ps. „Jadźka”, która nierozważnie nawiązała znajomość z oficerem niemieckim, rzekomo zdeklarowanym „antyhitlerowcem”. On zobowiązał się dostarczyć im broń na bocheński cmentarz. W umówionym dniu na cmentarzu czekali ukryci za grobami Niemcy, którzy otoczyli ją i towarzyszącego jej Franciszka Raczyńskiego. Aresztowana, dostała się do więzienia w Tarnowie, gdzie była torturowana. Zdecydowana na samobójstwo, przyjęła przemyconą do więzienia truciznę, która jednak nie zadziałała. Wywieziona do obozu koncentracyjnego, zginęła. Także w obozie koncentracyjnym zginął Franciszek Raczyński. Organizacja pozbawiona kierownictwa już w 1943 r. nadal nie podejmowała żadnych akcji. Rozpracowano pozostałą na wolności grupę 10 osób: Feliksa Gajewskiego, Andrzeja Wiechę, Karola Buczkiewicza, Józefa Mikę, Stanisława Międzika, Jana Międzika, Józefa Majtę, Wojciecha Siodlarza i żonę Józefa Półgroszka (była siostrą Walentego Stusa). Z tej grupy aresztowanych przeżył tylko Andrzej Wiecha i żona Półgroszka, która znalazła się w Szwecji. Stawecki został zastrzelony w lipcu 1945 r. Zginął także, przebywający w jego domu w Bochni, major Armii Czerwonej.

Nie miała więc bocheńska PPR żadnych sukcesów na swoim koncie, natomiast same porażki. Czyżby z tych powodów postanowiono przedstawić wykolejenie pociągów w Rzezawie jako największą w Małopolsce akcją zbrojną Gwardii Ludowej?

Przypisy:

¹ Ignacy i Maria Habowie mieszkali we własnym domu z czerwonej cegły w wąwozie przy ul. Brzeźnickiej. Dom ten znajduje

się koło wybudowanego w latach 90. XX w. kościoła św. Jana Nepomucena. ² Jadwiga Ludwińska (ps. „Hela”) — działaczka KPP, podczas okupacji hitlerowskiej organizowała PPR, GL i AL. W dniu 15 IX 1942 r. w mieszkaniu Józefa Miki założyła bocheńską organizację PPR, później była przedstawicielem KC PPR w Płockiem.

³ Stanisław Smajda (ps. „Blady”) — był sekretarzem PPR w Bochni od chwili powstania tej organizacji. 12 lutego 1943 r. aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego. Po wojnie spisał swoje wspomnienia i przekazał do Archiwum KW PZPR w Krakowie pod sygn.519. W 1994 r. przekazał je także do zbiorów SBiMZB.

⁴ Zbigniew Kącki (ps. „Szary”, „Zbyszek”, „Kleszczyński”) - maszynista kolejowy, był komendantem GL w Bochni. Po aresztowaniu Stanisława Smajdy wyjechał z Bochni wraz z Józefem Półgroszkim do Krakowa, w czerwcu 1943 r. wpadł w kocioł w Krakowie przy ul. Pańskiej i został ujęty, następnie rozstrzelany na Wzgórzach Krzesławickich w 1943 r.

⁵ Andrzej Wiecha ps. „Garbusek”, maszynista kolejowy, członek komórki PPR w Bochni. Po wojnie pracownik polit. KP PPR, odznaczony Krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Grunwaldu i innymi wysokimi odznaczeniami.

⁶ Dowódcą „Szczerbca” był Lech Masłowski ps. „Jerzy”, mieszkający po wojnie w Krakowie.

⁷ Wykaz akcji dywersyjnych NOW-ODB w powiecie bocheńskim podaje Stanisław Gałka ps. „Jarecki” w pracy: Narodowa Organizacja Wojskowa w szeregach Armii Krajowej Obwodu Bochnia — rkps w zbiorach Muzeum im. prof. Fischera MB-H/4033.

⁸ Dowódcą oddziału „Pogrom” był Emil Szostak ps. „Kosiński”

⁹ Stenogram procesu Doboszyńskiego

¹⁰ Dokumentacja Oddziału Wrocławskiego Stowarzyszenia Bochniaków, zb. SBiMZB.

Michalina Pięchowa

Z pamiętnika bocheńskiego nauczyciela

Dwieście lat mija od założenia w Bochni szkoły, w której murach pobierało naukę dziesiątki i setki uczniów, w której spędziło część swego życia wielu pedagogów nie tylko przekazując wiedzę, ale i wychowując młodych ludzi. Gimnazjum, a następnie liceum wycisnęło swoje piętno na życiu niejednego ze swych wychowanków. Rok po roku szli więc w świat absolwenci, a w ich pamięci pozostawały niezatarte przeżycia. Na nie i na obraz samej szkoły złożyła się praca nie tylko nauczycieli, ale przede wszystkim uczniów, szczególnie uzdolnionych. Brali oni udział w dodatkowych zajęciach, poza samym procesem dydaktycznym – wychowawczym. Za interesowania uczniów posiadających określoną pasję oraz nasza praca pozalekcyjna nabierała systematycznie swoistego charakteru. Poza olimpiadami, konkursami recytatorskimi i krasomówczymi, których uczestnicy nagradzani i wyróżniani pozostawali w stałym kontakcie z takimi instytucjami kulturalnymi miasta: jak biblioteka powiatowa, muzeum - istotną rolę spełniały sesje popularnonaukowe poświęcone Kochanowskiemu, Żeromskiemu, Norwidowi, Miłoszowi i innym pisarzom. Po otrzymaniu tematu i bibliografii uczniowie pisali referaty i wygłaszali je na pamięć. Każda sesja miała odpo-

wiednią oprawę poetycką, każda też była wysoko oceniona przez nadzór pedagogiczny.

Moją pasją było prowadzenie zespołu recytatorskiego, przygotowywanie różnego rodzaju programów słowno-muzycznych. Praca ta dawała mi ogromną satysfakcję, zbliżała do uczniów, ale też i im przynosiła korzyści. Poznawali wielką poezję, czerpali z niej naukę, uczyli się pięknej, polskiej mowy na określonych, wybranych wzorcach. Tego typu zajęcia wytwarzały nie przyjaźni, życzliwości, wzajemnego zrozumienia. A oto wypowiedź jednej z absolwentek, umieszczona w miejscowej prasie: *Ze słowem poetyckim szliśmy wszędzie tam, gdzie mogło ono oddziaływać, wywołać wzruszenie, zadumę i refleksję. To obcowanie z poezją i nas uszlachetniło i stworzyło atmosferę przyjaźni, serdeczności i ciepła.*

Najintensywniej pracował zespół mojej ostatniej klasy (matura 1993r.). Szczególnie wielkie powodzenie miały programy związane tematycznie z Bożym Narodzeniem. W świątecznym nastroju, w atmosferze powagi i skupienia padały słowa: *„Jest taka noc, jedna z tysięcy nocy, kiedy stajemy obok siebie z chlebem bielszym od grudniowego śniegu.”*

Spląnął na ziemię pierwszą gwiazdę promień,

Szronem na szybie kolędę napisał,
łamią opłatek już matczyne dłonie -
To pora wspomnień, pora ukotyssań.

Ktoś inny z uczestników mówił:

Śpiewają chmury nad głową
Że Ciałem stało się Słowo
Zwiastują nowinę, witają dziecięcę
Zeslaną nam na świat.

Piękny solowy śpiew wyjątkowo wzruszał:

Biała noc, święta noc kolędy gra,
gdzieś znowu spadła niejedna łza.
Tęskni ktoś, myśli ktoś
Tam jest mój dom,
Skąd biegnie kolędy znajomy ton.

Świąteczny, zimowy, wyjątkowy nastrój pogłębiała skoczna pastorałka:

Pastorałko w czapie białej
Nasypało tego roku
I na ziemię osowiała przynieś
Pokój, pokój, pokój!

Program ten prezentowaliśmy w Stowarzyszeniu Bochniaków, Służbie Zdrowia, w Domu Spokojnej Starości, i dla niewidomych. Występowali w nim maturzyści, absolwenci i studenci UJ - Wydziału Prawa: Kinga Banach, Łucja Kokoszka, Wydziału Muzykologii: Renata Mikłas, Wojtek Wnęk, Joanna Grandys, Maciej Kozłowski i inni. Misterium to oparte na recytacji współczesnej poezji, śpiewie mało znanych kolęd i pastorałek przy akompaniamencie skrzypiec, organów i gitar spotykało się z gorącym przyjęciem widzów.

Obok takich programów jak: pożegnanie maturzystów, zjazd absolwentów były też i inne, które pozwalały młodym „artystom” wystąpić. Mam tu na myśli program „Kobieta i miłość w poezji oraz piosence”. Wprowadzająca w temat stwierdziła: *Od początku kobieta jest obiektem westchnień, marzeń, motywem pieśni i poezji [...] struna erotyczna w naszej poezji przez kilka wieków brzmiała różnymi tonami. Od żartów i swawoli renesansowych i barokowych, poprzez ckliwe pastersko – arkadyjskie kwilenie poetów sentymentalizmu, wiersze miłosne romantyków, pierwsze tomiki Tetmajera, miniatury Pawlikowskiej i gorzkie strofy Haliny Poświatowskiej.* Oczywiście te sformułowania zilustrowane były odpowiednią poezją i piosenką. Całość wywołała duże wrażenie. Nie można pominąć programu, który stał się przeżyciem nie tylko dla biorących w nim udział: „Litwa w myślach i wyobraźni po-

etów.” Uczniowie prezentowali go na scenie teatralnej Szkoły Muzycznej w Bochni. Przy kawiarnianych stolikach siedzieli lub stali uczniowie – aktorzy. Dziewczęta w sukniach i kapeluszach z okresu 20-lecia międzywojennego.

Zaczęło się już dawno i do dzisiaj trwa.
Zaszumiły sylaby, jak liście na wietrze
I wzruszenie nad słowem wibruje i drga,
Jak nad kwiatami latem rozgrzane powietrze” -

powtarzała za A. Słonimskim Uśka Kokoszka, dziś pani notariusz.

Co mnie tutaj przywiodło?
Z kartek pożółkłej książki
Patrzy stare Wilno “

dziwiła się Ela Noga - obecnie pani sędzina

W tym występie brało udział 17 uczniów z II d - klasy humanistycznej, która w 2013 roku obchodziła uroczystość 20 – lecia otrzymania dyplomu dojrzałości. Przy takiej okazji rozmowy wracają do tamtych dni, niezapomnianych przeżyć i wspólnych chwil. Nie brak było też występów o tematyce patriotycznej. Okres niewoli narodowej był niezwykle ciężki dla Polaków. Krwawo tłumione powstania, represje, zsyłki nie pozbawiły ich jednak siły i wiary w ostateczne zwycięstwo. Wolę przetrwania uciemnzonego narodu wyrażali poeci, między innymi Hemar mówił:

Nie sprowadzaj nas cudem na Ojczyzny łono

Spraw, by wstała o własny, wielki trud oparta,
Biała z naszego żaru, z naszej krwi czerwona,
By drogo kosztowała, drogo zapłacona,
Byśmy już wiedzieli, jak wiele jest warta.

By już na zawsze była w każdej naszej trosce
I już każdej czułości, lęku i rozpacz,

By wnuk, zrodzony w wolności, wiedział, co to znaczy
Być wolnym, być u siebie - być Polakiem w Polsce.”

Padają więc najpiękniejsze słowa poezji Mickiewicza, Wyspiańskiego, Tuwima, Hemara. Na prośbę Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej dla uczczenia pamięci prof. Jana Kota, działacza podziemia i jego Żony Wiesławy Kotowej, biorącej udział w tajnym nauczaniu, daliśmy program w kościółku szkolnym w dniu 13 grudnia 1992 roku zadedykowany: „Żołnierzom polskim walczącym na wszystkich frontach świata, więźniom politycznym, zesłańcom syberyjskim, uwięzionym w obozach hitlerowskich i łagrach sowieckich - ofiarom II wojny światowej, wszystkim, którzy odeszli i tym, którzy są wśród nas”. Kiedy padły słowa z ust



Obchody 170-lecia powstania Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego - zb. pryw. M. Pięchowej



Spotkanie pokoleń 1977-1988 - zb. pryw. M. Pięchowej

recytującego ucznia, Alka Rzepeckiego, słowa uwięzionego poety: „*Córeczko miła ja z więzienia do ciebie piszę list. . .*” oczy córki represjonowanego Profesora (pani Wandy Kotówny – Wątorskiej) napelniły się łzami. Te łzy stały się dla nas najwyższą zapłatą, nagrodą i uznaniem. Wśród recytowanej poezji Karola Wojtyły i Anny Kamińskiej znalazła się i modlitwa obozowa Urszuli Wińskiej – polonistki uczącej w Liceum:

Wierzę w Polski zmartwychwstanie
I narodu odrodzenie.
Wierzę Stwórcu nasz i Panie,
Bo przez mękę i cierpienie
Duch się coraz w górę, zbliża.
A do Ciebie droga krzyża
Nas prowadzi!

Uczniowie wzięli też udział w odsłonięciu tablicy poświęconej absolwentowi naszej szkoły Dowódcy AK „Gen.

Leopoldowi Okulickiemu . I znowu poezja wyraziła uczucia młodego pokolenia i starszego. W liście wystosowanym przez Prezesa Światowego Związku Żołnierzy AK czytamy: *Patriotyczna poezja wychowanków szkoły, oddając hołd Generałowi, dała i nam, Jego podkomendnym, żołnierzom Armii Krajowej, wiele satysfakcji.*

Wyjątkowym programem był ten, w którym wykorzystaliśmy poezję Karola Wojtyły, Jana Twardowskiego, Romana Brandstaettera, Anny Kamińskiej.



Otwarcie kącika patrona szkoły Kazimierza Wlk., uroczystość związana z 170 leciem LO. Na zdjęciu od lewej: Kłopotowski, Piotr Kępa, Tomasz Janik, Michał Wątorski -zb. pryw. M. Pięchowej

Nosił tytuł: „*Mysząc Ojczyzna*”. Obok piosenek były wiersze:

Teraz wiem, że musisz być wieczny i nieśmiertelny
nierozpoczęty i nieskończony zbawiający i umiejący słuchać
skoro nie lękałeś się umierać z miłości
skoro nie bałeś się być słabym
oddychać ciężko po każdym złudzeniu
być zbitym na kwaśne jabłko.

(ks. Jan Twardowski)

Przez cały czas celem i ambicją uczniów i moją było podtrzymać więź pokoleniową, stąd zespół wokalnie - recytatorski wiele razy uświetniał swym występem zjazdy absolwentów Liceum Ogólnokształcącego. Spotkania te przeżywali wszyscy - ci, co po latach wracali w te mury, moi uczniowie i ja. Najbardziej wzruszającym momentem był zjazd w 1993 roku, spotkanie po 20 latach, ze świeżo upieczonymi absolwentami, których wypuszczałam w świat. „Wczoraj jeszcze uczniowie, dziś już absolwenci pragną uświetnić Waszą uroczystość, poprzez słowa poezji cofnąć czas, byście mogli znowu czuć i przeżywać to, co wtedy, gdy niebo było dla Was bezchmurne, a wszystko sprawiało radość”. Tak witali moi wychowankowie moich byłych, sprzed 20 lat wychowanków. A potem piosenki i poezja stworzyły miły nastrój, dzięki któremu wszyscy z sentymentem powrócili myślami w minione czasy. I tak było, ilekroć po latach w mury naszej staruszki wracali dawni uczniowie, a wtedy padały słowa: „A może by tak jeszcze raz?”

Na to już chyba nie stać nas:

Już ściągci poszły w kosz,
Wszystkiego mam już dość,
Już nie te lata – nie ten czas!

Przez te kilkanaście lat naszym celem i ambicją było dzieł się poezją i piosenką, ale nie tylko. Poza uświetnianiem różnorodnych okazji uczniowie zespołu recytatorskiego systematycznie oddziaływali na środowisko lokalne. Między innymi wyjątkowe znaczenie miał jubileusz szkoły 170 – lecie jej istnienia. Centralnym punktem zjazdu stała się uroczystość w murach Liceum. Jej historia zamknięta dwiema datami 1817–1987 zilustrowana została pieśniami chóru, baletem i pokazem gimnastycznym. Istotną rolę spełniła poezja i słowo wiążące, dzięki czemu powstała jedna, wielka całość, hymn na cześć tej instytucji, która wydała tak wielu świątliwych ludzi.

Tadeusz Hargesheimer

Moje Jasełka

W nawiązaniu do artykułu zamieszczonego w „Wiadomościach Bocheńskich” nr 4 zima 2016, w części przypominającej jasełka w Bochni w 1958 roku chciałbym dorzucić trochę osobistych wspomnień, jakie zachowały się w mojej pamięci po prawie 50 latach. Brałem w nich udział jako aktor, więc można uznać, że będą to wiadomości z pierwszej ręki.

Jasełkom tym patronowała parafia w Bochni, której proboszczem był wówczas ksiądz Michał Blecharczyk. Było to istotnie niezwykle wydarzenie, zarówno pod względem artystycznym jak i organizacyjnym.

Wymagało pokonania różnych trudności, np. zezwolenia wydanego przez ówczesną władzę, której wszystko co

miało wydźwięk religijny było nie na rękę, a jasełka takie właśnie były.

Pan Emil Reguła, członek chóru parafialnego, podjął się tego zadania i na kolejne zebranie organizacyjne przyniósł takie zezwolenie, które załatwił w sobie tylko znany sposób i teraz było wiadome, że przedstawienie się odbędzie.

Podzielono zadania, kto i za co odpowiada i przystąpiono do pracy. W moich prywatnych zbiorach zachowała się robocza kartka, z której wynika, że osoby odpowiedzialne to: reżyseria - p. Antonina Maniakowa i p. Stanisław Wójcik orkiestra - p. Mieczysław Peter i p. Stanisław Chodorowski, stroje-p. Władysław Stawiarski i p. Stanisław Dobranowski -

z teatrów krakowskich, z dostępnych źródeł z terenu Bochni, przygotowanie chóru - p. Tadeusz Hargasheimer balet i tańce - p. Stanisław Dobranowski dekoracje - p. Kasprzyk i p. Samolej światło - p. Jan Szewczyk, sufler - p. Jarski (w tym miejscu przypomnę, że na proscenium była wystająca z podłogi osłona w kształcie muszli, a w niej widoczna od strony sceny głowa suflera, który podpowiadał aktorom zapomniane kwestie).

Ustalono daty przedstawień, a były to : 8, 15, 22, 29 stycznia 1958 roku, każdego dnia odbywały się dwa przedstawienia pierwsze o godzinie 16.00 i drugie o 19.00.

Wiadomo było, że spektakle odbędą się w sali kina „Jutrzenka”. Sala kina, jak na owe czasy była duża (największa w Bochni), natomiast zaplecze sceniczne - żadne. Jedyne pomieszczenie, tzw. garderoba to była mała klatka mająca kilkanaście metrów kwadratowych, w której wszyscy aktorzy powinni się przygotować do wyjścia na scenę. Wymagało to wyrozumiałości, zrezygnowania z wygod i szybkiego przebijania się, aby inni mogli zdążyć. Ciasnota była tak ogromna, że korzystano z mieszkania państwa Katlewiczów oraz klatki schodowej wiodącej na zaplecze kina. Komunikacja pomiędzy prawą a lewą stroną sceny to było bardzo wąskie przejście (około 1 metra) oddzielone od sceny kotarą, która przy szybkim kroku przechodzącego aktora falowała w sposób widoczny z sali. Tych przemieszczeń się z prawej na lewą stronę sceny w każdym akcie było sporo i każde z nich wymagało wielkiej ostrożności. W pierwszym akcie, w którym wchodzący z lewej strony anioł (p. Anna Urbańska) głosił pasterzom nowinę narodzenia Dzieciątka „*Christus. Christus natus est nobis*”, skrzydła miał przypinane przed samym wejściem na scenę, bo gdzie indziej nie mieścił się. Za tymi kulisami z lewej strony stała również fisharmonia, na której grał p. Stanisław Katlewicz.

Nikt z biorących udział w jasełkach nie był aktorem. Wszyscy byli amatorami, występującymi pierwszy raz na scenie. Zaledwie kilka osób miało udane występy w wystawianych wcześniej w Bochni sztukach. Jedynym zawodowo związanym z teatrem był pan Stanisław Dobranowski, tańczący w balecie Krakowskiej Opery i Operetki.

Próby odbywały się w różnych miejscach na terenie Bochni. Małe grupy w prywatnych domach, chór w Bursie i „Szufładzie” (sala kopalni soli), zbiorówki w sali ze sceną w Cechu Rzemiosł Różnych przy ul. Białej. „Żółtodzioby” sztuki aktorskiej uczyli się od tych bardziej doświadczonych. Nas pastuszków (byłem jednym z nich), wymowy gwarą wiejską, tzw. „mazurzenia”, uczył bardzo cierpliwy, uśmiechnięty ale wymagający p. Stanisław Wójcik. Na wszystkich próbach kładł nam do głowy, że każde wypowiedziane słowo ma być słyszane i zrozumiałe przez widza siedzącego w ostatnim rzędzie, na balkonie i pod nim. Po wielu próbach cząstkowych i próbie generalnej w sali kina przyszedł czas na pierwsze przedstawienie.

Jasełka rozpoczynały się prologiem. Grupa pasterzy z gwiazdą wchodziła na salę przez główne drzwi, śpiewając „*Po kolędzie zacni goście do Was spiesznie idziemy...* ”. Po wejściu na scenę Bartosz (T.Hargasheimer) po przywitaniu wszystkich zapowiadał, co będzie się działo na scenie i kończył słowami: „*Zgoła wszystko ujrzycie, jakbyście tam byli*”.

Akt I. Na środku sceny pali się ognisko, wokół pasterze w góralskich strojach słuchają z niedowierzaniem opowia-

dania Wojtka (p. S.Wójcik), jak obronił owce przed atakiem wilka. Przekomarzania przerywa Bartosz i każe im spać, ale zezwala jeszcze na taniec, oczywiście góralski. Wreszcie pasterze zasypiają, a na straży zostaje Maciek (Andrzej Hargasheimer -mój brat), który śpiewa nastrojową piosenkę „*Szczęśliwy pastuszek przy swojej prostocie...*”. Potem zjawia się anioł i budząc pasterzy wypowiada wcześniej wspomnianą kwestię. Pasterze postanawiają pójść do Betlejem i ofiarować Dzieciątka zabrane ze sobą dary. Schodzą ze sceny, śpiewając „*Hola, hola pasterze z pola...*”. Kończy się akt pierwszy.

Stroje góralskie każdy z pasterzy przygotowywał we własnym zakresie. Nie było możliwości wypożyczenia ich, a nawet gdyby takie były, to nikt nie miał na to funduszy. Mój strój to były grube białe kalessony z naszytymi na nogawki parzenicami (nic pamiętam, skąd je miałem), biała koszula przyozdobiona kokardkami, na głowie ciemny kapelusz z naszytymi muszelkami przywiezionymi z bałtyckiej plaży, w rękę ciupaga (pamiętka z Krupówek). Na stopach miałem brązowe tenisówki (woryginałe białe - zapastowane na brązowo!). Stroje były weryfikowane przez kierownictwo, mój udało się przemycić.

Akt II. Jesteśmy w pałacu króla Heroda. Rozgrywane tu akcje wymagały od aktorów doskonałego przygotowania warsztatowego. Pan Władysław Stawiarski, który wcielił się w postać Heroda, pani Antonina Maniakowa jako Mara, pani Irena Pyciakowa - Miriam-żona Heroda, pani Wanda Kobielowo - Salome-siostra Heroda, odegrali swoje role perfekcyjnie. Bogata dekoracja sali tronowej, stroje i odpowiednie światło były dopełnieniem tej wspaniałej sceny, którą widzowie oglądali w kompletnej ciszy. W akcie tym miałem również ja swój udział. Kiedy na polecenie Heroda mieli się stawić kapłani, aby wyjaśnić zapisane w księgach proroctwa, to właśnie my - mój ojciec jako arcykapłan, brat i ja jako kapłani -wchodziliśmy na scenę nagradzani brawami, zapewne za prezencję.

Byliśmy wszyscy jednymi z młodszych wykonawców. Dotychczasowe moje doświadczenie sceniczne ograniczało się do występów z chórem górniczym, który prowadził mój tato. Teraz mogłem się przyjrzeć prawdziwej sztuce aktorskiej, doświadczając, ile pracy i wysiłku wymaga zorganizowanie takiego przedsięwzięcia. Było to możliwe nie tylko dzięki zaangażowaniu tych starszych grających główne role, ale wszystkich biorących udział w przygotowaniach oraz innych życzliwych osób, pomagających w załatwianiu różnych spraw. Jestem dumny, że brałem w tym wszystkim udział. Przeżycia związane z jasełkami na tyle utrwaliły się w pamięci mojej i moich najbliższych, że jeszcze wiele lat później przy okazji Świąt Bożego Narodzenia wracaliśmy do kolęd i pastorałek oraz tekstów z przedstawienia. Do dzisiaj, przy rodzinnym świątecznym stole, potrafimy je śpiewać i cytować z pamięci.

P.S. Wszystkie cytaty zawarte w tekście pochodzą z oryginalnego scenariusza, w którego jestem posiadaniem. Nazwisk wielu osób, które brały udział w przedstawieniu, niestety już nie pamiętam. Może zachowały się w archiwach innych rodzin zdjęcia lub dokumenty związane z jasełkami, które warto byłoby przypomnieć.

Wiesław Zajac

Podniebne historie

O braciach Stachowiczach, Romańskich i pułkowniku Karasiu

W Wielkiej Brytanii co roku odbywają się uroczystości upamiętniające słynną Bitwę o Anglię, w której ogromną rolę odegrało polskie lotnictwo. Warto więc i w Bochni z dumą przypomnieć, że miasto nasze ma swoich bohaterów z tych dywizjonów: pułkownika Adama Dąbrowę, dowódcę Dywizjonu Bombowego 301 i jego podkomendnych, pochodzących z Chodenic, braci Stachowiczów i braci Romańskich. Rodziny te znane są w Chodenicach, ale mniej znane są wojenne losy: Tadeusza, Edwarda i Antoniego Stachowiczów oraz Edwarda, Bronisława i Zbigniewa Romańskich, jak również majora Edwarda Karasia, który jest patronem jednej z ulic osiedla Chodenice w Bochni.

Przed wojną dwóch braci Stachowiczów pracowało w lotnictwie. Najstarszy z braci Tadeusz, urodzony w 1908 r., pracował w randze sierżanta na stanowisku szefa Sekcji Radio w II Pułku Lotniczym w Krakowie. Edward (ur. 1913), po uzyskaniu kwalifikacji mechanika lotniczego, na stanowisku montera silników w tym samym pułku lotniczym. Antoni (ur. 1916) ukończył w służbie wojskowej szkołę mechanika, a od 1938 roku pracował przy prototypach myśliwskich samolotów „Jastrząb” i „Sum” w Instytucie Badań Lotniczych w Warszawie.

Po wybuchu II wojny światowej, dla braci Stachowiczów i Romańskich rozpoczął się okres wojennej tułaczki. Wszyscy internowani zostali w Rumunii, ale dalsze ich losy były już różne. Najbardziej powikłane były losy Edwarda Stachowicza. W Rumunii zachorował na malarię i ciężką anginę. Po odzyskaniu zdrowia, poprzez Jugosławię i Grecję dotarł do Marsylii, potem do Paryża, gdzie jako Maquis walczył we francuskim ruchu oporu. Po pewnym czasie, w grupie uciekinierów, przez Pireneje, przedostał się do Hiszpanii. Była to ciężka, pełna niebezpieczeństw przeprawa w trudnych zimowych warunkach. Niektórzy padli z wycieńczenia i nie dotarli do celu. Inni doznali rozległych odmrożeń. Podupadł na zdrowiu Edward, ale w Barcelonie polska organizacja zapewniła tym, którzy się przedostali, opiekę medyczną oraz ubrania i ułatwi-

ła przerzut tej grupy do Gibraltaru, a następnie przez Portugalię do Algieru, potem ponownie do Gibraltaru i do Anglii. Dopiero we wrześniu 1944 roku zgłosił się do RAF-u i został wcielony do jednego z polskich dywizjonów jako mechanik silnikowy. Ukończył kurs „Tabloid Cours” i otrzymał angielski stopień ACI, a w 1946 roku został awansował do stopnia plutonowego. Posiada odznaczenia „Polska swemu obrońcy”, medal króla Jerzego VI, „1939-1945 Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie (Krzyż-Działania bojowe lotnictwa)”, „Za udział w wojnie obronnej 1939”.

Tadeusz Stachowicz z bratem Antonim przekroczyli 17 września 1939 r. granicę rumuńską. Przez Jugosławię i Grecję dostali się do Marsylii. Tam w styczniu 1940 r. wcieleni zostali do oddziału lotniczego, który po upadku Francji przerzuciono do Anglii i od 27 czerwca 1940 roku służyli w polskich eskadrach w Glowcester.

Tadeusz latał na Lancasterach jako radiotelegrafista. Ze względu na stan zdrowia przeniesiony do służby naziemnej, od 1943 roku znalazł się w brytyjskiej bazie lotniczej w Brindisi na Sycylii. Praca personelu naziemnego nie była ani łatwa, ani bezpieczna. Po przygotowaniu samolotu musieli go testować i wykonywać loty próbne, które nie zawsze kończyły się szczęśliwie.

Antoni Stachowicz pracował w Dywizjonie Bombowym 301 jako mechanik silnikowy przy czterosilnikowych Lancasterach latających nad Niemcami. W 1943 roku na prośbę rządu polskiego w Londynie, wielu polskich lotników przeniesiono do bazy w Brindisi we Włoszech, z której startowały „Liberatory”, głównie z polskimi załogami nad powstańczą Warszawę ze zrzutami amunicji, uzbrojenia, lekarstw i opatrunków. Były to długie loty przez okupowane kraje (Jugosławię, Węgry i Czechosłowację) bez możliwości lądowania w rejonie Warszawy, ponieważ nie zgodził się na to Stalin. W Brindisi Antoni Stachowicz otrzymał angielski stopień ACI w specjalności Fitt TE, a następnie stopień LHC tej specjalności.



Bracia Stachowiczowie: od lewej - Edward, Tadeusz, Antoni (1945 r) Zdj. zb. rodz.



Bracia Romańscy: Bronisław, Emil, Zbigniew - Zdj. zb. rodz.

Podczas niemieckiego nalotu na Brindisi, Antoni został ciężko ranny. Po wyleczeniu w Anglii awansowany został do stopnia plutonowego, skierowany na kursy Bristol Hero School i w 1946 roku przeniesiony do innego dywizjonu. Antoni Stachowicz odznaczony został przez rząd polski w Londynie Medalem Lotniczym za udział w wojnie i obronę Ojczyzny w 1939 r. i medalem Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie (1939-1945), francuskim krzyżem kombatanckim Croix des Combattants Volontaires.

Bracia Romańscy, po wybuchu II wojny światowej z Rumunii trafili do Palestyny i dalej do Francji. Po upadku Francji w 1940 roku przedostali się do Anglii, gdzie służyli w sformowanych polskich dywizjonach myśliwskich i bombowych, Emil Romański jako radiotelegrafista, Bronisław i Zbigniew jako mechanicy silnikowi.

Po wojnie bracia Stachowiczowie powrócili do kraju. Najwcześniej powrócił Tadeusz. W Bochni spotkał się z żoną Marią w 1945 roku. Następnie Antoni, kawaler, przyjechał do Polski w kwietniu 1947 roku. Najpóźniej powrócił do Chodonic Edward. W 1947 roku, spotkał się z żoną Marią i 8. letnią córeczką Barbarą.

Musieli szukać pracy, o którą nie było łatwo. Tadeusz dostał się na krótko do Zakładów Lotniczych w Mielcu jako brakarz. Potem, wraz z Antonim, znaleźli zatrudnienie w Krakowie w Zakładach Mechanicznych Zieleniewskiego (Szatkowskiego) przy produkcji pomp i sprzężarek. Tadeusz zmarł w 1960 roku. Antoni, po założeniu rodziny (dzieci Bronisław, Janusz, Teresa), wybudował dom przy ul. Wodociągowej z cegły przez siebie wypalanej. Pracował do emerytury. Zmarł w 1990 roku.

Edward tylko przez rok pracował w Zakładach Lotniczych w Mielcu. Następnie prowadził warsztat w firmie elektrycznej kuzyna Jana Szewczyka. Zajmował się też hodowlą królików i ogrodnictwem. W latach 90-tych, pasjonując się lotnictwem wykonał wiele drewnianych modeli samolotów z II wojny światowej, które eksponował przed domem w swoim ogródku przy ul. Trinitatis. Tę niezwykłą wystawę odwiedzali licznie mieszkańcy Bochni.

Edward Stachowicz zmarł w 2003 roku. Uroczysta żałobna msza miała charakter patriotyczny i uświetniona została pięknym solowym śpiewem ulubionej pieśni Edwarda „O Boże, któryś jest na niebie”, którą poznał podczas internowania w Rumunii.

Edward, Tadeusz i Antoni Stachowiczowie należeli do wielodzietnej rodziny założonej przez Józefa i Antoninę z domu Szewczyk.

Z braci Romańskich, po zakończeniu wojny, do kraju powrócił Emil do żony Janiny i syna Leszka (8 lat). Rozpoczął pracę w Krakowie w firmie „Telpod” w 7-osobowym składzie przy ul. Grodzkiej 13. Po przeniesieniu firmy na Zabłocie Emil Romański, kierownik Działu Rezystorów, opracował nowatorską technologię nawęglania rezystorów. Opracował również kilka rozwiązań urządzeń technicznych chronionych patentami. Emil był świetnym szachistą. W wolnym czasie rozgrywał zacięte boje z kolegą Tadeuszem Stachowiczem. Zmarł w 1981 roku.

Bronisław pozostał w Anglii, pracował jako konserwator aparatury w Politechnice. Ożenił się z Angielką, nie mieli potomstwa. Zbigniew z Anglii wyjechał do Francji. Wrócił do kraju w 1948 roku i mieszkał w Sławnie na wybrzeżu. Pracował w fabryce autobusów „Bałtyk” w Koszalinie. Po likwidacji fabryki został taksówkarzem. Zmarł w 1986 roku.

* * *

Na Osiedlu Chodenice jest ulica imienia pułkownika Edwarda Karasia. Szczególnie młode pokolenie powinno dowiedzieć się kim był Edward Karaś i z jakiego powodu władze samorządowe Bochni uznały go za patrona ulicy.

Płk Edward Karaś urodził się w 1892 roku w Trymile koło Bochni. Ukończył szkołę realną w Krakowie i podjął studia. Od 1912 roku należał do Związku Strzeleckiego w Bochni, od 1914 roku walczył w 2 pp a następnie w 3 pp Legionów Polskich i w brygadach legionowych przeszedł wszystkie kampanie legionowe. Od 1918 roku walczył na Ukrainie w składzie II Korpusu gen.Hallera.

Internowany przez Niemców po bitwie pod Kaniowem, zbiegł i przedostał się na daleką północ do Brygady utworzonej przez płk Waleriana Czumę, która toczyła walki z bolszewikami. Z częścią Brygady przedostał się do Francji i wstąpił do Błękitnej Armii gen. Hallera.

Od 1919 r. służył w 580 eskadrze wywiadowczej Salmsonów tej Armii, kiedy polscy lotnicy zastąpili francuski personel latający. Na terenie Polski Eskadra ta weszła w skład Grupy Lotniczej armii gen. Hallera, późniejszej V Grupy. Polscy lotnicy latali na samolotach Salmson 2A2.

Gdy Błękitna Armia znalazła się na ziemiach polskich, uczestniczył w przejmowaniu przez Wojsko Polskie Pomorza Gdańskiego, potem walczył na froncie litewsko-białoruskim. W randze porucznika obserwatora został dowódcą eskadry przemianowanej na 18. eskadrę wywiadowczą, która, jako 18. eskadra myśliwska, po wojnie polsko-bolszewickiej weszła w skład 1. Pułku Lotniczego w Warszawie.

W latach 1922-1929 Karaś był kolejno: dowódcą eskadry wywiadowczej, dowódcą II-go, następnie I-go dywizjonu w wreszcie zastępcą dowódcy 2-go Pułku Lotniczego w Krakowie. W 1933 roku objął komendę nad poznańskim 3. Pułkiem Lotniczym i pełnił swoje obowiązki do 1937 roku. W chwili wybuchu wojny ponownie pełnił służbę w II Pułku Lotniczym w Krakowie, z którym ewakuował się do Rumunii, a następnie prawdopodobnie przez Palestynę do Francji, a po jej upadku w 1940 roku przedostał do Anglii i służył tam w polskich dywizjonach lotniczych, do zakończenia wojny. Płk Karaś, z uwagi na swoje bezpieczeństwo w powojennej Polsce wrócił do kraju, do żony, dopiero w latach 60-tych i zamieszkał w swojej pięknej willi, którą przed wojną wybudował przy ul. Trinitatis. Zmarł w 1977 roku. Pochowany został na cmentarzu komunalnym w Bochni przy ul. Orackiej. Posiada odznaczenia: Krzyż Srebrny Orderu Wojskowego Virtuti Militari, Krzyż Walecznych (czterokrotnie), Krzyż Niepodległości, Srebrny Krzyż Zasługi, Polową Odznakę Obserwatora.

Trzeba przypomnieć, że w trudnych czasach bezrobocia przed II wojną światową płk Karaś pomógł aż siedmiu mieszkańcom Chodonic w zdobyciu pracy w lotnictwie. Karaś darzył dużym szacunkiem rodziców Stachowiczów i Romańskich, a ponadto wiedział, że są to ludzie solidni i nie zawiodą go.

W opracowaniu powyższego tekstu pomógł mi bardzo artykuł p. Wandy Liguzińskiej w „Wiadomościach Bocheńskich” z 1996 roku, . Korzystałem także ze strony internetowej www.infolotnicze.pl oraz z informacji przekazanych mi przez Bronisława Stachowicza, syna Antoniego, Leszka Romańskiego, syna Emila, oraz Stanisława Kufy, mieszkańca ul. Trinitatis, którym serdecznie dziękuję za pomoc.

Wiesław Zajac, jest siostrzeńcem braci Stachowiczów.

Antoni Siewiński

Po co żyjemy?

Prof. zw. dr Antoni Siewiński (1926-2007) polski chemik, twórca nowego kierunku badań naukowych –biotransformacji był uczniem i absolwentem bocheńskiego gimnazjum i liceum. Jego ojciec zamordowany został w Katyniu. Podczas okupacji niemieckiej działał w Obwodzie ZWZ-AK „Wieloryb” w Bochni. Nosił pseudonim partyzancki „Flisak”. Był uczniem prof. Urszuli Wińskiej w Offentliche Handelschule, po jej aresztowaniu uczył się na tajnych kompletach. Egzamin dojrzałości złożył w Bochni, w 1945 roku. Po odbyciu studiów chemicznych na Politechnice Wrocławskiej pracował naukowo prowadząc badania w dziedzinie chemii bioorganicznej, wykorzystując żywe organizmy do prowadzenia kontrolowanych reakcji chemicznych. Dzięki tej metodzie mógł śledzić losy wybranych substratów w organizmach drobnoustrojów i roślin wyższych. Kontrolowany laboratoryjnie metabolizm pozwolił na uzyskanie trudno dostępnych na innej drodze produktów o działaniu m.in. antybiotycznym, androgennym. Aż do emerytury w 1996 r. kierował Katedrą Chemii Akademii Rolniczej we Wrocławiu. Napisał ponad 180 prac naukowych i jest autorem kilkadziesiątu wynalazków. Wykładał we Włoszech, Hiszpanii, Niemczech i Politechnice Wrocławskiej.

Przez wiele kadencji był wiceprezesem Oddziału Wrocławskiego Stowarzyszenia Bochniaków, otrzymał członkostwo honorowe SBiMZB. Odznaczony był Krzyżem Armii Krajowej przyznawanym przez władze RP w Londynie w 1991 r. Wiele jego wspomnień dotyczących lat szkolnych, obyczajów i patriotycznych tradycji w Bochni opublikowaliśmy na łamach „Wiadomości Bocheńskich”. W jednym z ostatnich wspomnień z 2006 r. opowiadających o nauczycielach z lat wojny Urszuli Wińskiej, prof. Ślebodzińskim wysiedlonym z Poznania i jego córce prof. Zofii Maciejewskiej, którzy uczyli go jak pozostać mimo wojny Polakiem i człowiekiem zadał pytanie po co żyjemy?

* * *

Każdego z nas nurtuje myśl, po co żyliśmy, po co robiliśmy tyle różności, czy były komu potrzebne? Czy znaleźliśmy dla siebie opokę, na której można się oprzeć? Rozmawiałem



niedawno z naszymi absolwentami sprzed trzydziestu laty. Zapytałem się, jaki mają cel w życiu: więcej pieniędzy? więcej widocznego sukcesu? kolejny samochód? wreszcie bycie kochanym? A na końcu poszukuje się spokoju, którego się nigdy nie znajdzie. Gdzie zatem szukać szczęścia – spokoju? Naprawdę nie wiem. Wieczne wakacje? To Goethe kiedyś powiedział, że *Nichts ist schwerer zu ertragen als eine Reihe der schoenen Tagen*, co znaczy mniej więcej: Nie ma nic cięższego niż tylko ciąg pięknych dni i nic poza tym. Czasami jednak uczestniczymy w zdarzeniach, które nasuwają myśli o sprawach ostatecznych. Przeżywałem kiedyś takie zdarzenie.

Było to w Wielkim Tygodniu Anno Domini 1970. Właśnie Amerykanie wysłali znowu na Księżyc statek z trzema ludołotcami: „Apollo 13”. Tak się złożyło, że uszkodzony pojazd nie mógł wrócić na ziemię. Było w niebezpieczeństwie życie trzech młodych Amerykanów. Skupiono i zmobilizowano całą ludzką wiedzę i najnowocześniejszą technikę, aby ich uratować – sprowadzić na Ziemię. Pracowałem wtedy na Politechnice Federalnej w Zurychu. Widziałem po raz pierwszy na Zachodzie pełne kościoły, świątynie wszystkich wyznań. To społeczeństwo przeżarte dobrobytem, spokojem szukało pomocy tam, gdzie do tej pory nie widziano powodu, aby się zwracać o nią.

Mój zuryski gospodarz zaprosił mnie w Wielki Czwartek po południu, abym razem z nim przed telewizyjnym ekranem oglądał na żywo wodowanie Apolla 13.

Ocean Spokojny, wzburzone fale, pokład lotniskowca amerykańskiego, grupy marynarzy, helikoptery, admiralicja. Spiker nerwowym głosem zapowiada wodowanie statku. Za chwilę spoza chmur pojawił się na horyzoncie stalowy kształt pojazdu, uderzył w wodę. Helikoptery zrzuciły grupę nurków, którzy zakładali balony z powietrzem, mające chronić pojazd przed zatonięciem. Obraz niewyraźny. Ale kamera pokazuje teraz pokład lotniskowca: kompania honorowa marynarki, orkiestra wojskowa, jacyś ludzie a admiralicji. Napięcie rośnie, otwiera się luk w pokładzie, wychodzą nań trzej Amerykanie, jeszcze nie zdjęli części swoich skafandrów. Kompania prezentuje na baczność broń, orkiestra gotowa do odegrania hymnu Stanów Zjednoczonych. Przecież to ich tryumf nauki i techniki nad przyrodą.

A właśnie wtedy spoza stojących na baczność marynarzy wyszedł skromny duchowny w koloratce pod szyją i w ciszy zupełnej zaczął mówić: *Our Father, who art in heaven, hallowed by Rhy Name*. Są to dwa pierwsze zdania z dziewięciu, które zostały przekazane naszej kulturze dwa tysiące lat temu. W naszym języku zaczynają się słowami: *Ojciec Nasz*.

Starałem się odtworzyć filozofię ostateczności przekazaną dla świata.

Zob. Artykuły Antoniego Siewińskiego w „Wiadomościach Bocheńskich”: *Dwie dzwonnice*, nr 3/1994, *Ulica Czackiego raz jeszcze* nr 3/1996, *Myśli Bochniaka o przeżytych półwieczu we Wrocławiu*, nr 2/2001, *Świętowanie 3 Maja w latach 30-tych w Bochni*, nr 1/2001, *Curriculum vitae*, nr 2-3/2003, *Bochnia z oddali*, nr 3/2006,

BOCHNIANA

O Dywizjonie Bombowym 301 i Bochniakach, którzy w nim służyli

Nigdy w dziejach ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym. Przez cały ten czas, noc w noc, miesiąc po miesiącu, nasze dywizjony bombowe wyruszają daleko w głąb Niemiec, odnajdują swe cele w ciemnościach (...)przeprowadzają ataki, często w ciężkim ogniu, często ponosząc poważne straty (...) zadając druzgocące ciosy całej technicznej i wojennej strukturze nazistowskiej potęgi.

Winston Churchill

Z tego fragmentu przemówienia premiera Wielkiej Brytanii wygłoszonego 20 sierpnia 1940 r. pamięta się pierwsze zdanie odnoszące się do polskich

dywizjonów myśliwskich 302 i 303. Drugie zdanie dotyczące o wiele liczniejszych dywizjonów bombowych 300 i 301 sformowanych w lipcu 1940 r. do obrony Anglii pozostaje w zapomnieniu, a przecież dywizjony te odegrały szczególnie ważną rolę w tym czasie. Podczas Bitwy o Francję dywizjony bombowe straciły 145 załóg, a więc prawie połowę swojego stanu, zanim nastąpiło uderzenie na Anglię. W obliczu zagrożenia niemiecką ofensywą powietrzną, sformowanie

dwóch polskich dywizjonów bombowych stało się koniecznością. W całym Bomber Command RAF stały się one najsilniejszymi jednostkami.

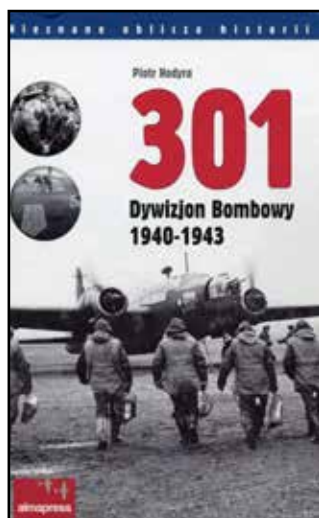
Dywizjon bombowy 301 w ciągu trzech lat 1940-1943 przeprowadził prawie 300 operacji bojowych i zapisał piękną kartę w Bitwie o Anglię i dalszym operacjach przeciw niemieckiej potędze lotniczej III Rzeszy. W tym roku mija 115 lat od urodzenia się w Bochni w domku, przy ul. Kowalskiej Adama Dąbrowy, dowódcy tego dywizjonu, odznaczonego Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari, który osobiście odbył 22 loty bojowe na obszar III Rzeszy. Może właśnie z tej okazji ukazała się pod koniec 2016 r. znakomita książka Piotra Hodyry pt. *Dywizjon Bombowy 301 (1940-1943)*. Autor dziękując wielu osobom za pomoc w udostępnieniu materiałów kieruje te słowa przede wszystkim do syna Adama - dr Andrzeja Dąbrowy z Los Angeles, dzięki któremu ta praca w ogóle powstała. Pan Andrzej Dąbrowa przekazał dla naszego Stowarzyszenia kilka lat temu mundur pułkownika, jego polskie i brytyjskie odznaczenia bojowe łącznie z Krzyżem Virtuti Militari dokumentację archiwalną angielską dotyczącą lotów bojowych tego dywizjonu.

W nocy z 14 na 15 sierpnia 1940 r. po ogłoszeniu alarmu inwazyjnego załogi z 300 i 301 Dywizjonów postawione

zostały w stan gotowości bojowej. Wzięły udział w bombardowaniu portów inwazyjnych po drugiej stronie Kanału La Manche : Boulogne, Calais, Dunkierka i Ostenda, w których znajdowało się mnóstwo małych statków do transportu wojsk na Anglię. Przy sprzyjającej pogodzie samoloty tych dywizjonów bezbłędnie wykonywały swoje zadania. Po ostatnim bombardowaniu Boulogne w poł. października 1940 r. samoloty Fairey Battle zastąpiły dwusilnikowe Vickers Wellington.

Autor książki szczegółowo przedstawia wszystkie loty na tych samolotach, zarówno te szczęśliwe jak i te tragiczne, a także składy załóg samolotów. Omawia dokładnie zmasowane i systematyczne bombardowanie ośrodków przemysłu zbrojeniowego, które miało doprowadzić do załamania potęgi militarnej Niemiec. To fascynująca bogato ilustrowana dokumentalnymi fotografiami historia. Przetworzyłem ją z dużym skrócie na łamach „Wiadomości Bocheńskich” w nr 4/2010r. Flight Lieutenant (kapitan) Adam Dąbrowa przejął dowodzenie dywizjonem bombowym 301 „Ziemi Pomorskiej” 23 września 1942 r. Był jednocześnie ostatnim jego dowódcą do chwili rozwiązania w kwietniu 1943 r. W tym czasie dywizjon prowadził intensywne minowanie niemieckich portów w rejonie wybrzeża francuskiego i Wysp Fryzyjskich, bombardował Krefeld, Akwizgran i Osnabrück, a później cele bojowe wyznaczone na terenie Włoch. Wiele samolotów nie zdążyło zniknąć za osłoną chmur, dostawało się w środek stożka reflektorów i było zestrzeliwanych przez obronę przeciwlotniczą.

Autor wśród licznych not biograficznych przedstawia także postać Adama Dąbrowy ur. 24 grudnia 1902 r. w Bochni, absolwenta Wyższej Szkoły Realnej w Tarnowie, działacza tarnowskiego POW, który wstąpił do formującego się w Bochni 4 pp LP pod dowództwem swojego wuja Feliksa Jędrzychowskiego, uczestniczył w obronie Lwowa i walce na froncie litewsko-białoruskim w wojnie bolszewickiej, następnie zdobył wykształcenie w Centralnej Szkole Karabinów Maszynowych i Broni Specjalnej w Chełmnie i Szkole Obserwatorów i Strzelców Lotniczych w Toruniu, i odbył służbę w 3 Pułku Lotniczym w Poznaniu i 64 Eskadrze Linijowej 6 Pułku Lotniczego we Lwowie. Od 1935 r. dowodził Eskadrą Szkolną, a od stycznia 1939 r. IV Dyonem Towarzyszącym. Jako d-ca zgrupowania samolotów szkolnych prowadził ewaluację na lotniska polowe. 17 września 1939 r. przekroczył granicę z Rumunią. Następnie przedostał się do Francji do polskiej bazy w Lyon-Bron, a następnie ewakuowany z całą bazą do stacji RAF Insworth Lane. Stamtąd do Centrum Lotnictwa Polskiego w Blackpool, gdzie objął dowodzenie zgrupowaniem oficerów. Po trzech kursach szkolenia bombowego 12 czerwca 1942 r. dostał przydział do 301 Dywizjonu Bombowego. Po odejściu dowódcy Henryka Kołodziejka objął dowodzenie dywizjonu od 23 września 1942 roku aż do rozwiązania dywizjonu w kwietniu 1943 r. Następnie był komendantem Initial Training Wing w Brighton, a od 18 czerwca 1944 r. komendantem stacji RAF Faldingworth, na której stacjonował wtedy



dywizjon bombowy 300. Od 4 marca 1946 r. służył jako oficer ds. administracyjnych w sztabie Bomber Command w High Wycombe. Służbę w polskim lotnictwie w Wielkiej Brytanii zakończył w październiku 1946r. w stopniu pułkownika (Wing Commander). Po wojnie nie wrócił do Polski. Działał w Stowarzyszeniu Lotników Polskich, pełniąc ważne funkcje społeczne m.in. był wiceprezesem Stowarzyszenia i prezesem Koła Seniorów Lotnictwa i sekretarzem Koła Generałów i Wyższych Dowódców. Mieszkał w Londynie. Zmarł 14 stycznia 1988 roku. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari, trzykrotnie Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem Niepodległości, trzykrotnie Medalem Lotniczym oraz angielskim Distinguished Flying Cross.

Autor podaje także wykazy personelu technicznego i pomocniczego tego dywizjonu w latach 1940-1943. Personel ten

podzielony był na sekcje mechaników samolotowych, mechaników silnikowych, mechaników przyrządów pokładowych oraz wydzieloną sekcję uzbrojenia. Wśród 466 nazwisk wymienienia Antoniego Stachowicza nr sł. 792692, LAC, mechanika silnikowego i Tadeusza Stachowicza nr sł. 781132, F/Sgt, elektryka oraz Zbigniewa Romańskiego nr sł. 780616, LAC, mechanika silnikowego.

Książkę Piotra Hodyry nadesłał do naszych zbiorów z dedykacją pan dr Andrzej Dąbrowa z Los Angeles. Serdecznie dziękujemy.

Stanisław Kobiela

Piotr Hodyra. 301 Dywizjon Bombowy 1940-1943. Almapress. Oficyna Wydawnicza Alma-Press, Warszawa 2016

Historia regionalna

W XIII tomie rocznika „Małopolska. Regiony-regionalizmy-małe ojczyzny” wydanym w Krakowie w 2011 roku przez



Małopolski Związek Regionalnych Towarzystw Kultury ukazał się interesujący artykuł pióra prof. dr hab. Henryka Samsonowicza pt. *Historia regionalna*. Warto poświęcić mu więcej uwagi, aby porozmawiać o Ziemi Bocheńskiej, czym ona jest dla nas Bochniaków, jaki jest jej obszar i jakie są jej granice w czasie i przestrzeni.

Profesor Samsonowicz podejmując ten temat zadaje fundamentalne pytanie, jak można zdefiniować region. Czy określony jest on grani-

cami administracyjnymi, językiem, kulturą, czy wreszcie swoją historią. Odpowiedź nie jest prosta, bo Autor pokazuje różne spojrzenie wielu znakomitych uczonych. Dla jednych regionami są terytorialne jednostki mające wspólną przeszłość czyli regiony definiowane przez historię, dla innych obszary o wiele większe jak np. strefa śródziemnomorska, strefa alpejska, Europa środkowo-wschodnia, czy Ameryka Łacińska. Mogą być to jednostki definiowane geograficznie (Skandynawia), językowo (Słowiańszczyzna, kraje romańskie), wyznaniowo (kraje islamu) czy cywilizacyjnie (kraje cywilizacji europejskiej).

Autor podkreśla, że dla zrozumienia współczesnej rzeczywistości, konieczne jest poznanie przeszłości najbliższej, a więc „małej ojczyzny”, a dzieje regionalne pozwalają na dodatkowe samookreślenie wspólnot ludzkich. Podział na „my” i „oni” jest najbardziej pierwotnym podziałem społecznym. Dawno temu był to podział na „ziemca” i „cudzoziemca”, a więc mieszkańca tej, i innej ziemi. To świadomość zbiorowa mieszkańców decyduje o ich odrębności. Może ona wynikać z cech geograficznych,

kulturalnych a także z różnych wydarzeń godnych zapamiętania. Za wyjątkiem Ślązaków (z Górnego Śląska) – zdaniem Profesora - inne nazwy jak np. kujawiak, warszawiak, pomorzanin czy małopolanin nie służą dzisiaj do prezentacji człowieka.

Te rozważania Autora kierują nas oczywiście do Bochni, w której każdy wie, że jest Bochniakiem, niezależnie od tego czy należy do Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej czy nie należy. Duży, z mosiężnych liter składający się napis DOM BOCHNIAKÓW w rynku, na elewacji budynku Stowarzyszenia o tej właśnie nazwie, przypomina każdemu przechodniowi, że w tym mieście mieszkają Bochniaci. Próbowano z mizernym skutkiem dokonać podziału i przeciwstawienia Bochniaków – Bochnianom, ale jakoś nic z tego nie wyszło, poza kręgiem redakcji „Kronika Bocheńska”, która taki podział chciała kiedyś wprowadzić.

Pan Ryszard Piekarczyk rok temu rzucił pomysł na facebooku identyfikowania się z Bochnią napisem czy plaketką „Jestem z Bochni” i zaopatrzył ją herbem naszego miasta. Wielu, łącznie z piszącym te słowa uznało ten pomysł za genialny, i podobnie identyfikowało się na tym samym portalu internetowym, chociaż podobno magistrat „straszył” procesem sądowym, rzekomo za prywatyzowanie herbu naszego królewsko-górniczego miasta, który ma służyć „wyższym” celom. Ktoś inny wydrukował podobny napis na koszulkach sportowych i kiedy młodzi ludzie pokazali się w nich poza Bochnią, to „obcy” z uznaniem mówili „Tak trzymać!!!” Sam byłem tego świadkiem.

Ta identyfikacja z miastem swojego urodzenia czy zamieszkania trwa od dziesiątków lat. Nawet na cmentarzu komunalnym w Bochni na starych 19. wiecznych inskrypcjach nagrobnych pod nazwiskami szacownych mieszkańców królewsko-górniczego grodu znajdują się napisy: „obywatel miasta Bochni”, które faktycznie oznaczają to samo - „Jestem z Bochni”.

W nazwie naszego Stowarzyszenia wymieniona jest Ziemia Bocheńska. To pojęcie jest dla nas o wiele szersze, niż obecny powiat bocheński. Obwód bocheński, który w 1863 r. udzielał ogromnej pomocy powstańcom zza Wisły, o czym interesująco pisze Janina Kęsek w książce *Bochnia i obwód bocheński w latach 1863-1864* rozciągał się wtedy od krakowskiego Podgórze, aż po Dunajec. Od Królestwa Polskiego na północy oddzielała

go graniczna rzeka Wisła, a na południu obejmował Gdów. Po podziale administracyjnym kraju w 1975 r. demolującym nasze tradycje i związki regionalne okrojony już mocno powiat bocheński przecięty został na pół. Wschodnia jego część z Bochnią wciśnięta została do nowoutworzonego województwa tarnowskiego. Niepołomice, Kłaj, Wola Batorską tak silnie powiązane ekonomicznie i kulturowo z Bochnią, zostały oderwane od stolicy Ziemi Bocheńskiej. Ktoś, dla którego niewiele znaczy tradycja i historia, nie zrozumie krzywdy jaką Ziemia Bocheńskiej wyrządzili decydenci z lat 70. XX wieku.

Wystarczy sięgnąć do znakomitej 700. stronicowej pracy Jana Świątka *Lud nadrabski od Gdowa po Bochnię. Obraz etnograficzny* wydanej w 1893 r. aby poznać, mieniący się barwami tęczy, koloryt Ziemi Bocheńskiej, jej zwyczaje, kulturę materialną i społeczną tego ludu nadrabskiego, teksty i melodie 550 pieśni, urok 81 gadek, 800 przysłów i zwrotów przysłowiowych, wierzeń, podań i słownik wyrazów gwarowych, a więc to wszystko, co z tej Ziemi wyrosło, co tutaj powstało, dzięki temu ludowi, na przestrzeni tylu lat i co składało się na jej istotę.

Z Ziemi Bocheńskiej pochodzili Roman Stopa z Woli Batorskiej i Franciszek Bujak z Maszkienic. Z Bochnią wiąże się postać gen. Jana Henryka Dąbrowskiego z Pierzchowca i gen. Waleriana Czumy z Niepołomic. W wielu wspomnieniach identyfikują się oni z Bochnią i Ziemią Bocheńską, bo tutaj biło serce Bochni - gimnazjum i liceum, nazwane później imieniem króla Kazimierza Wielkiego. Stąd wyruszyli w bój o Polskę w 1914 młodzi bocheńscy legionści, tutaj kształtowały się charaktery i miłość do Ojczyzny, kiedy trzeba było iść na odsiecz Lwowa, w bój z bolszewikami w 1920 r. czy walczyć z okupantem hitlerowskim.

Tak właśnie postrzegamy Ziemię Bocheńską, która jest w naszych sercach, a nie w sztucznie ustanowionych granicach administracyjnych. I, nawet dzisiaj do tej Ziemi Bocheńskiej lgną ci, którzy urodzili się czy mieszkają poza tymi granicami.

Profesor Samsonowicz pokazuje wartości wynikające z uprawiania historii regionalnej. To wielkie pole działania dla grona miłośników historii, które umożliwia aktywizację intelektualną środowisk, pobudza zainteresowania historią narodową i powszechną. Pozwala ukazać miejscową społeczność w skali wydarzeń

ogólnonarodowych czy powszechnych i daje poczucie wartości obywatelom...a jednym z ważniejszych czynników tworzących społeczeństwo obywatelskie jest pamięć o swej przeszłości.

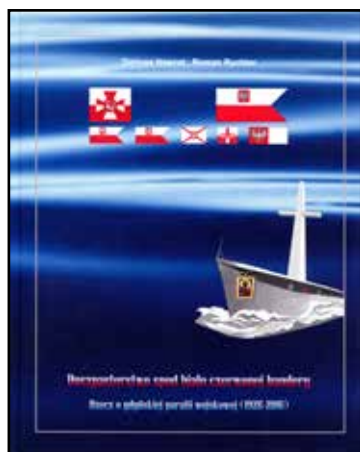
Tematyka prezentowana na łamach naszego kwartalnika „Wiadomości Bocheńskie” w taki właśnie sposób stara się docierać do Czytelnika i dawać mu komfort dotknięcia historii, właśnie tej dziejącej się tu, najbliżej, w naszej „małej ojczyźnie”. Może dlatego tak wielkim zainteresowaniem cieszą się coroczne konkursy, które organizujemy razem z Katolickim Stowarzyszeniem „Civitas Christiana” w Bochni pod patronatem starosty bocheńskiego. Poświęcone historii Ziemi Bocheńskiej wciągają młodzież szkół średnich z powiatu bocheńskiego. Dzięki uprzejmości księdza proboszcza konkursowe finały rozgrywane są w Oratorium św. Kingi przy wypełnionej młodzieżą sali. Były już tematy dotyczące udziału Bochniaków w powstaniu styczniowym, w legionach w latach 1914-1918, w bocheńskiej Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), a ostatni temat dotyczył ucieczki rotmistrza Witolda Pileckiego z KL Auschwitz do Bochni i Wiśnicza. Po szkolnych eliminacjach w finałach występuje 10. zawodników. Pytania nie są łatwe, a odpowiedzi są tak dobre, że czasem po zadaniu 150 pytań trudno jest wyłonić tego najlepszego.

Żydowska Trasa Pamięci, którą tworzyliśmy w jesieni 2015 r. wspólnie z UM Bochni na obszarze naszego miasta, na którym w latach okupacji było getto pokazuje, że holokaust dokonywał się nie tylko KL Auschwitz ale m.in. także na ulicach Bochni. Porównanie dokumentalnych fotografii z dzisiejszym wyglądem domów i ulic i zachowanymi detalami topografii bądź architektury, pozwoliło na dokładne wskazanie i opisanie miejsc tych dramatycznych wydarzeń. Takie spojrzenie na historię jest najciekawsze i pozostanie na długo w pamięci.

Bochnia jest miastem o bogatej historii i tradycji, ale z podanych zaledwie kilku przykładów, możemy wyciągnąć wniosek, że historię regionalną warto uprawiać, że rozbudza ona zainteresowanie i wyobraźnię młodzieży, jej wrażliwość na to wszystko, co przed laty się tutaj rozgrywało. Łatwiejszy i ciekawszy jest jej odbiór, może właśnie przez ową bliskość i łatwość identyfikacji.

Stanisław Kobiela

Duszpasterstwo spod biało-czerwonej baddery. Rzecz o gdyńskiej parafii wojskowej (1926-2016)



„Wiadomości Bocheńskie” pozostają w stałym kontakcie

z profesorem dr kpt.ż.w. Danielem Dudą, Honorowym Ambasadorem Miasta Bochni i aktywnym członkiem naszego Stowarzyszenia. Jemu zawdzięczamy, że tematyka morska i polska tradycja z nią związana często pojawia się na łamach naszego pisma. Tym razem przedstawimy naszym czytelnikom najnowszą książkę Wydawnictwa Akademii Marynarki Wo-

jennej Gdynia 2016 o powyższym tytule. Autorzy książki: kmr dr profesor Wyższej szkoły Administracyjnej i Biznesu im. E. Kwiatkowskiego w Gdyni Dariusz Nawrot i kmr dr inż. Roman Rychter - znawcy zagadnień morskiej gospodarki i obronności, są cenionymi i wyróżnionymi wieloma odznaczeniami badaczami zagadnień morskich w różnych ich aspektach - również biografistyki. Publikacji patronowali Sławoj Głódź Arcybiskup Metropolita Gdański i Wojciech Szczurek Prezydent Gdyni. W zamieszczonych we wstępie listach do czytelników podkreślili szczególne znaczenie gdyńskiej parafii na Oksywiu.

W latach budowy Gdyni, tworzenia i rozwijania polskiej gospodarki morskiej oraz jej osłony; sił obronnych Wybrzeża, parafia i jej księża - kapelanie z oddaniem wypełniali zadania opiekuńcze, integrujące, a nawet wychowawcze w środowisku przybyszów z różnych stron odrodzonej Rzeczypospolitej. Parafia przeżyła ciężkie doświadczenia wojny i okupacji

niemieckiej. Niemcy zamienili w magazyn wojskowy, piękny klasycystyczno-modernistyczny garnizonowy kościół zbudowany wysiłkiem środowisk wojskowych wg. projektu Mariana Lalewicza i konsekrowany 1 VII 1939 roku. Po wojnie przyszło powtórzyć zadania i doświadczenia z lat dwudziestych. Kościół, długo nieczynny decyzją nieprzychylnych władz, odzyskano dopiero w 1981 roku. Podźwignięty z upadku i zaniedbania znowu łączy ludzi i dodaje blasku i religijnej treści dniom zwykłym i uroczystym, w odmianie szczególnych rocznic, jubileuszy tradycji religijnej i patriotycznej.

W tej popularnej opowieści o ludziach i zdarzeniach wyróżnia się postać bł. ks. kmr ppor. Władysława Miegonia pierwszego kapelana Marynarki Wojennej. (o ks. Miegoniu sporo informacji znajduje się w nr (80) 2009 *Wiadomości Bocheńskich*.)

Rzecz o gdyńskiej parafii na Oksywiu poprzedzona jest rysem historycznym duszpasterstwa wojskowego, począwszy od 1103 roku. Wtedy to, wg Galla Anonima, w przeddzień ataku na Kołobrzeg kapelan księcia odprawił nabożeństwo do Najświętszej Panny Maryi, w którym wzięło udział całe zgromadzone tam rycerstwo.

Z kolejnych dwóch rozdziałów dowiadujemy się o powstaniu i działalności gdyńskiej parafii garnizonowej w latach II Rzeczypospolitej i od roku 1945 po 2016 już pod nazwą parafia Polskiej Marynarki Wojennej na Oksywiu. Akcent bocheński

w 3 rozdziale, to fotografia z przekazania przez abp. Józefa Henryka Nowackiego, nuncjusza na kraje skandynawskie, relikwii Jana Pawła II dla kościoła garnizonowego na ręce ks. kmr. por. Zbigniewa Rečki, 8 marca 2016r.

Uszczegółowieniu i uplastycznieniu *Rzeczy o gdyńskiej parafii wojskowej* służy Suplement, rozwinięty na 100 stronach tej 219 stronicowej książki. Suplement zawiera kalendarium parafii i listę proboszczów i kapelanów z krótkimi notami biograficznymi. Ta część jest bogato ilustrowana fotozestawami. Szczególnie interesujący wydaje się być fotozestaw 6-ciu pamiątkowych tablic upamiętniających postać i dokonania bł. ks. W. Miegonia. Umieszczone w różnych miejscach w Polsce są potwierdzeniem rozwoju kultu Jego osoby, zaliczonej w poczet błogosławionych przez papieża Jana Pawła II z grupą innych duchownych tragicznych ofiar terroru hitlerowskiego. W książce odnajdujemy kpt.ż.w. Daniela Dudę, aktywnego inicjatora i uczestnika w budowaniu pamięci o ludziach i wydarzeniach również w temacie parafii i kościoła na Kępie Oksywskiej.

Książka jest pięknie wydana, druk czytelny na kredowym papierze. Uwagę przykuwa projekt okładki Jolanty Łańczak oparty na motywach symboliki nowego wystroju prezbiterium garnizonowego kościoła.

Zainteresowanym lekturą publikacji podajemy kontakt z wydawnictwem: wydawnictwo@amw.gdynia.pl

Ewelina Mroczek

Roman Rychter (Gdynia)

Honorowi reprezentanci Bochni Obywatel i Ambasador na spotkaniu w Gdyni

Gdyński Oddział Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej zorganizował niezwykłą uroczystość. Na terenie wojskowej parafii garnizonowej w Gdyni zorganizowano spotkanie dwóch znamienitych przedstawicieli naszego miasta: Honorowego Obywatela Królewskiego Miasta Bochni Jego Ekscelencję Księdza Arcybiskupa Henryka Nowackiego, Nuncjusza Apostolskiego na Szwecję, Danię, Norwegię, Finlandię i Islandię oraz Honorowego Ambasadora Królewsko-Górniczego Miasta Bochnia kpt. ż. w. prof. Daniela Dudy.

Okazją ku temu była finalizacja podjętych przed dwu lata starań – przez kol. Romana Rychtera członka działającego przy parafii Stowarzyszenia bł. ks. kmr ppor. Władysława Miegonia – o pozyskanie relikwii Świętego Jana Pawła II oraz chęć odnowienia kontaktów towarzyskich. Spotkaniu patronowała Prezes Oddziału Pani mgr S. Dudowa, która niestety nie uczestniczyła w uroczystości ze względu na stan zdrowia.

W minionym roku zarówno Gdynia jak i parafia Marynarki Wojennej obchodziły swoje jubileusze. Ta pierwsza 90. lecie uzyskania praw miejskich i początków dynamicznej rozbudowy Tymczasowego Portu Wojennego na Oksywiu i Przystani dla rybaków w Gdyni. Ta druga, utworzenia - na terytorium podległym Dowództwu Floty - rzymskokatolickiej parafii wojskowej pod

wezwaniam Najświętszej Marii Panny Królowej Polski z siedzibą w Gdyni Oksywiu / ówczesna parafia swym zasięgiem obejmowała miasta: Gdynię, Puck i Gdańsk oraz powiaty pucki i wejherowski/.

Pozyskanie relikwii Jana Pawła II dla kościoła garnizonowego, w roku wspomnianych jubileuszy, dynamizuje działalność stowarzyszeń osób personalnie z nim związanych i dobrze rokuje na budowę stosownego ołtarza z relikwiami świętego. Ponadto jest to swoisty element wdzięczności bochniaków i sympatyków naszego Oddziału, dla tej świątyni i środowiska ludzi morza, którzy nas doceniają za pracę na rzecz gospodarki morskiej i służbę dla Ojczyzny.

Wspomniane Stowarzyszenie podjęło działalność po odzyskaniu kościoła garnizonowego przez Ordynariat Polowy WP, a celem jego jest propagowanie nie tylko błogosławionego W. Miegonia i rozwijanie materialnych dokonań; ale i przywrócenie „Esperit de Corps” w Marynarce Wojennej RP. Wybudowany w drugiej połowie lat 30. kościół garnizonowy, ze składek marynarzy i portowców oraz staraniem Ligi Morskiej i Rzeczej, z chwilą przejścia Oksywia przez Niemców został zamieniony na magazyn portowy.

Odzyskanie niepodległości nie zmieniło wojennego statusu kościoła, aż do połowy lat 80. ubiegłego wieku. Dopiero wte-



dy, usilne starania: sąsiedniej parafii św. Michała Archanioła, stoczniowej Solidarności i rodzin marynarskich; pozwoliły przywrócić tę świątynię kultowi bożemu, a od początku lat 90. wróciła ona do prawowitych właścicieli tj. Marynarki Wojennej RP. Nie trzeba chyba uzmysławiać jaki stan był tej świątyni po jej odzyskaniu. Zarówno budynek kościoła jak i otoczenie wymagało gruntownego remontu, podobnie jak odzyskany teren marynarskiej nekropoli, który Niemcy zrównali z ziemią przy okazji wysadzenia w powietrze Pomnika Mauzoleum gen. dyw. Gustawa Orlicz – Dreszera.

Dziś zarówno personalna parafia jak i dzieło materialne bł. ks. kmdr ppor. Władysława Miegonia - wyniesionego na ołtarze przez Jana Pawła II - odzyskuje blask i jest rozwijane przez kolejnych dziekanów i wiernych w marynarskich mundurach. Marynarska świątynia jest bliska bochniakom jeszcze z innego względu. Kolejny Proboszcz, a zarazem Dziekan Marynarki Wojennej / jest to największy dekanat w Polsce, od Świnoujścia do Krynicy Morskiej, prawie 10 % powierzchni kraju/, od początku darzy sympatią bochniaków, którzy w rozwój parafii i propagowanie bł. ks. kmdr ppor. W. Miegonia wnieśli nie mało energii i mają swój znaczący udział. Zresztą wielu z nich związanych z gospodarką morską spotyka się tutaj na okolicznościowych mszach, a szczególnie na tradycyjnej Pasterce. Ta wielostronna sympatia /stowarzyszeń i kapelanów w marynarskich mundurach/, trwa od początku odzyskania świątyni. Ona też sprawiła, że to właśnie dla tego kościoła, poprzez przyjaźń z lat szkolnych z abp. J.H. Nowackim, części gdyńskich bochniaków udało się pozyskać wspomnianą relikwię.

Zachowując wszelkie testamentowe życzenia Jana Pawła II i związane z tym procedury, abp. J. H. Nowacki uzyskał od ks. kard. Stanisława Dziwisza relikwię w postaci kropli krwi, którą przekazał 8 marca ubiegłego roku do depozytu Dziekana MW RP ks. prał. kmdr Zbigniewa Rećko. I tak, marynarska świątynia /p.w. Matki Bożej Częstochowskiej/, w Międzynarodowy Dzień Kobiet wzbogaciła się o relikwię człowieka, którego duch związany jest z miastem /Gdynią – 1987.06.07/, a nawet z Kępą Oksywia, na której lotnisku wylądował samolot papieski.

Pierwszego dnia wizyty, Abp. J.H.Nowacki w towarzystwie rektora kmdr prof. dr hab. Tomasza Szubrychta oraz niektórych członków i sympatyków Stowarzyszenia Bochniaków; odwiedził Akademię Marynarki Wojennej, gdzie zapoznał się z procesem szkolenia i doskonalenia kadr marynarskich oraz zwiedził niektóre obiekty tej uczelni. Żywe zainteresowanie wzbudziły laboratoria wyposażone w symulatory oraz тренаżery i inne unikalne urządzenia, na których to adepci sztuki wojennej doskonalą swe umiejętności. Podobne zainteresowanie dostojnego gościa wywołało zapoznanie się z nowoczesnymi obiektami, bogato wyposażonej bazy sportowej, której zadaniem jest kształtować ciało po trudach pracy umysłowej. I na koniec Nuncjusz odwiedził Kaplicę Akademicką w której zarówno podchorążowie jak i cywilni studenci znajdują chwile wytchnienia, refleksji i wsparcie duchowe, a niekiedy otrzymują tam nauki przedmażeńskie lub niezbędną pomoc sakramentalną /chrzest dzieci, śluby, pokuta i Eucharystia/. Pobyt w Uczelni zakończyło spotkanie przy skromnym, żołnierskim obiedzie i podzielenie się refleksjami z niektórymi misji Abp. J.H. Nowackiego w Ameryce Południowej i Afryce.

Ten dzień wizyty naszego gościa zakończyła kolacja u przyjaciela z lat wspólnych studiów i pracy we Francji i Watykanie, Jego Ekscelencji Abp. Sławoja Leszka Głódzia Metropolity Gdańskiego. Zresztą Abp. Sławoj Leszek Głódź, przez cały czas trzydniowej wizyty zapewniał dostojnemu gościowi doskonałe wa-

runki do pobytu i wypoczynku w swoim odrestaurowanym pod nadzorem konserwatora i tym samym uchronionym od kompletnej dewastacji; Pałacu Biskupim w Gdańsku Oruni.

Drugi dzień wizyty przewidywał dopołudniowy relaks połączony z poznaniem ciekawych miejsc w Gdyni, a następnie zapoznanie ze stanem odzyskanego dzieła materialnego bł. ks. kmdr ppor. W. Miegonia, tj. kościoła garnizonowego i Cmentarza im. Marynarki Wojennej RP oraz wybudowanej plebani i domu „Dobrego Samarytanina” (w których to zadaniach aktywnie partycypowali Bochniaczy z marynarskich rodzin). Końcowe spotkanie odbyło się na plebanii i dotyczyło przekazania w depozyt relikwii Świętego Jana Pawła II.

Na finał uroczystego przekazania relikwii zjawił się poprzednik obecnego Dziekana MW /ks. prałat kmdr Bogusław Wrona z diecezji tarnowskiej pilotujący sprawę przez dwa lata/, który wyraził pełne uznanie i radość z szczęśliwego uzyskania świętej relikwii w postaci kropli krwi Jana Pawła II. Podobnie zresztą swą radość wyraził gospodarz spotkania, obecny Dziekan MW RP ks. prałat kmdr Zbigniew Rećko, który oznajmił, że uroczyste wprowadzenie relikwii do świątyni zostanie dokonane w późniejszym czasie i na które już dziś zaprasza Jego Ekscelencję Abp. J.H.N. Nowackiego.

Abp. J.H.Nowacki zaskoczył i ogromnie wzruszył wszystkich zebranych na tej uroczystości bochniaków i ich sympatyków, bowiem każda obecna bocheńska rodzina otrzymała bezcenny dar tzn. relikwię II stopnia w postaci kawałka sutanny Jana Pawła II umieszczoną na pięknym zdjęciu Świętego wraz z certyfikatem potwierdzającym jej autentyczność. Wdzięczności za ten indywidualny dar nie sposób było wyrazić, o czym wspomniał w swym wystąpieniu prof. Dariusz Nawrot, dziękując w imieniu zebranych, za otrzymaną pamiątkę.

Kpt. ż. w. prof. D. Duda w swoim wystąpieniu przypomniał o tragicznej śmierci 25 marynarzy /w tym 12 Polaków/ z statku M/S Wigry w 1942r. na Islandii, których ciała spoczywają na cmentarzu Fossvogi w Reykjaviku. Wspominał o tamtejszej Polonii /będącej w jurysdykcji Nuncjusza/, a która zaczyna przejawiać coraz większą aktywność otaczając pieczę wspomniany cmentarz.

Drugi dzień pobytu Abp. J.H.Nowacki, zakończył w towarzystwie Metropolity Gdańskiego S.L. Głódzia udzielając sakramentu Bierzmowania w jednej z Trójmiejskich parafii i odwiedzając jeden z zakonów.

Kolejny dzień pobytu na Wybrzeżu, poświęcił Abp. J.H.Nowacki spotkaniu i wymianie doświadczeń z Metropolitą Gdańskim i w godzinach popołudniowych odleciał do miejsca pełnienia swej posługi duszpasterskiej, do Sztokholmu.

Wizyta Abp. J. H. Nowackiego i spotkanie z Gdyńskim Oddziałem Bochniaków oraz Stowarzyszeniem „Pro Mari et Fide” i sympatykami, przybliżyło obie ciekawe postacie honorowych obywateli naszego miasta i pozostawia trwałe ślady w Parafii i Dekanacie Marynarki Wojennej RP. Dziękujemy za życzliwą obecność obu przedstawicieli, ich naturalność, uśmiech i szczerść dialogu. Wydarzenie to jest tym donioślejsze, że abp. J.H. Nowacki kończy swą działalność w krajach nordyckich i wraca do kraju. Jest nadzieja, że przybliżenie dostojnemu gościowi problematyki archidiecezji gdańskiej i Marynarki Wojennej RP sprawi jego częstsze wizyty w tym regionie.

Gdyńskie Oksywie ma jeszcze jeden element, który łączy go z Bochnią, a jest to 1253 rok. Bowiem w tym właśnie roku został erygowany najstarszy kościół w Gdyni i podobnie jak nasze miasto świętuje, okrągłe rocznicowe jubileuszowe.

Marek Chmiel

Spotkanie z profesorem Janem Stycznem

O protonowej bezinwazyjnej metodzie zwalczania raka w świetle badań naukowych

Na zaproszenie Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej interesujący wykład pt. „Od mikroświata - jądra atomowego do makroświata – kosmosu” wygłosił 21 lutego 2017 r. prof. dr hab. Jan Styczeń, absolwent bocheńskiego gimnazjum i liceum i członek naszej sekcji bur-saków działającej przy Stowarzyszeniu. Zapraszanie na wykłady w Domu Bochniaków znanych i zasłużonych ludzi nauki, kultury i sztuki, a szczególnie, jeśli wywodzą się oni Ziemi Bocheńskiej jest naszym miłym obowiązkiem.

Prof. dr hab. Jan Styczeń jest emerytowanym pracownikiem naukowym Instytutu Fizyki Jądrowej Polskiej Akademii Nauk im. Henryka Niewodniczańskiego w Krakowie. Urodzony w Dziewinie koło Bochni. Po maturze w Liceum Ogólnokształcącym w Bochni, w 1957 r. skierował swoje kroki, po namowie pani prof. Ogarek nauczycielki fizyki, na Uniwersytet Jagielloński na Wydział Fizyki. Po ukończeniu studiów podjął pracę na Uniwersytecie Jagiellońskim gdzie uzyskał tytuł doktora nauk fizycznych i doktora habilitowanego, a w roku 1987 tytuł profesora nauk fizycznych. Jest również profesorem honorowym Uniwersytetu Warszawskiego. Prace naukowe prowadził w Instytucie Fizyki Jądrowej Polskiej Akademii Nauk w Krakowie. Był kierownikiem dużego oddziału naukowego, a przez osiem lat wicedyrektorem tegoż Instytutu. Zasiadał w wielu gremiach i komisjach w Polsce i za granicą. Był przedstawicielem Polski do organizacji NUPECC sterującej badaniami w zakresie fizyki jądrowej i jej zastosowań w Europie. Przez ponad 20 lat koordynował współpracę pomiędzy Polską i Francją w zakresie fizyki jądrowej i cząstek elementarnych.

Badania, jakimi zajmuje się prof. Jan Styczeń polegają na obserwacji promieniowania jądrowego powstającego podczas przeprowadzanych w warunkach laboratoryjnych reakcji jądrowych. Promieniowanie to niesie informacje o procesach zachodzących w jądrze w czasie reakcji, jakie ona wywoła, np. o powstaniu nowego jądra o nieznanych własnościach.

Profesor dokonał szeregu odkryć w badaniach struktury jądra atomowego, wprowadzając i wykorzystując przy tym nowe metody, techniki i urządzenia badawcze. Wykorzystując metody jądrowe, prowadził również badania oddziaływań nadsztywnych w pewnych związkach, badania próbek geologicznych i biologicznych metodą PIXE (Proton Induced X-ray Emission), a także z wykorzystaniem Mikroskopu Sił Atomowych. Szczegółowe badania nad erytrocytami doprowadziły do ważnych konkluzji o związku „sztywności“ erytrocytów z chorobami cukrzycowymi.

Dużą zasługą Profesora jest jego zaangażowanie w zakończonej w 2015 r. budowie, urządzenia z wykorzystaniem akceleratora do niszczenia komórek rakowych w oku. Wielką zaletą tej metody protonowej jest zwalczanie raka bez niszczenia komórek

zdrowych danego organu, w przeciwieństwie do znanych i powszechnie stosowanych metod radiologicznych.



W pierwszej części wykładu prof. Jan Styczeń przedstawił, podstawy teorii budowy atomowej materii z podstawowymi elementami jakimi są jądro atomowe z neutronami i protonami oraz krążące po orbitach wokół jądra elektrony, jak również o siłach jakie panują w jądrze. Naukowcy fizyki jądrowej odkrywają stale nowe elementy i cząstki wchodzące w skład atomu, mając świadomość, że poznanie tajników budowy atomowej jest bardzo trudne, pracochłonne, i niezwykle kosztowne, a pełne poznanie jest być może niemożliwe.

Dużą część wykładu poświęcił prof. Jan Styczeń badaniom budowy i struktury atomów. Głównym obiektem badań jest jądro atomowe.

Jedynym sposobem poznania jego budowy jest rozbitcie go i obserwacja wyników jego rozpadu. W procesie rozbicia jądra zostają uwolnione neutrony i protony, jako główne elementy składowe oraz dzięki istnieniu między nimi dużych sił atomowych wyzwala się ogromna energia. Przy tych zderzeniach, rozbiciu ulegają również protony i neutrony, wynikiem czego są jeszcze mniejsze elementy czy cząstki atomowe będące obiektami odkryć naukowców i mające wpływ na poznanie tajników budowy materii, czyli otaczającego nas świata i wszechświata. Do procesu rozbicia jąder atomowych używane są ciężkie cząstki atomowe, np. protony, które należy przyspieszyć i nadać im odpowiednią prędkość. Do nadania im stosownej energii kinetycznej służą akceleratory, które generują pola elektrostatyczne i magnetyczne. Akceleratory są głównymi członami Ośrodków Badań Jądrowych.

Dalej został krótko przedstawiony największy na świecie Europejski Ośrodek Badań Jądrowych CERN w pobliżu Genewy, a położony na terenie Francji i Szwajcarii. Elementy tego obiektu umieszczone są w tunelu o długości ok. 27 km położonym na głębokości od 50 do 175 m pod ziemią, gdzie panuje próżnia i temperatura bliska zeru absolutnemu. Ośrodek ten posiada największy na świecie kompleks połączonych ze sobą akceleratorów (przyspieszaczy cząstek) i odpowiednie detektory (urządzenia rejestrujące i analizujące otrzymane cząsteczki). Przyspieszając cząstki do bardzo dużych energii i rozbijając je o wyznaczone tarcze, lub siebie nawzajem, fizycy mogą poznać oddziaływania, występujące pomiędzy tymi cząsteczkami.

Akceleratory wykorzystują natężenie pola elektrycznego, by nadać energię wiązce cząstek. Pola magnetyczne służą do utrzymania zwartości wiązki cząstek, a w urządzeniach kołowych do kierowania jej po okręgu, po każdym okrążeniu zwiększając energię.

W tym miejscu pozwolę sobie na małą dygresję, a mianowicie od 1985 r. pracowałem jako główny projektant przemysłowych układów hydrauliki siłowej w firmie Integral Hydraul-

lik w Düsseldorf-Niemcy. W 1991r Ośrodek Naukowy CERN podpisał z firmą Integral Hydraulik umowę na opracowanie i wykonanie elektrohydraulicznego układu napędowego i sterowania do otwierania i zamykania dwupłatowych drzwi do tunelu akceleratorów. Każdy płat ważył 360 ton, co stanowiło dużą trudność w rozwiązaniu tego problemu. Opracowałem koncepcję i projekt elektrohydraulicznego układu napędowego i sterowania do krokowego mechanizmu przemieszczania drzwi. Tym sposobem miałem możliwość choć w minimalnej skali przyczynić się do budowy tego Ośrodka naukowego.

W dalszej części wykładu prof. Jan Styczeń przedstawił prototypowe onkologiczne urządzenie do niszczenia komórek rakowych metodą protonową. Metoda protonowa polega na bezinwazyjnym zwalczaniu chorób nowotworowych wykorzystując energię rozpędzonych protonów atakujących i niszczących komórki nowotworowe. Bardzo istotnym było przedstawienie przez Profesora istoty tej metody i opisu zjawiska wnikania rozpędzonych protonów przez zdrową warstwę tkanek do tkanek i komórek nowotworowych.

Dotychczasowa standardowa metoda naświetlania radiologicznego powoduje niszczenie komórek rakowych z równoczesnym niszczeniem tkanek i komórek, które są na drodze kierowanej wiązki naświetlającego promieniowania. Przyczyną tego jest stałe natężenie promieniowania, przed, w komórkach rakowych i za nimi. Czyli zostaje uszkodzony cały obszar komórek i tkanek zdrowych, które miały często zasadniczy wpływ na funkcjonowanie danego organu ciała ludzkiego. Przykładem tego może być rak oka. Przy naświetlaniu zostają zniszczone komórki rakowe, ale równocześnie pacjent tracił wzrok.

Opracowany i zbudowany prototyp urządzenia do zwalczania komórek rakowych w Instytucie Fizyki Jądrowej PAN w Krakowie, bazuje na nieliniowej zależności dawki względnej rozpędzonych protonów od głębokości i wnikania w tkanki ludzkiego ciała. Rozkład dawki wiąże się ściśle ze zdolnością hamowania protonów w tkankach i jest funkcją ściśle związaną z głębokością wnikania w tkankę. Do pewnej głębokości wnikania dawka względna protonów jest funkcją stałą o małej wartości, po przekroczeniu tej głębokości powstaje wyraźny wzrost wartości funkcji, czyli kilkakrotnego wzrostu dawki względnej protonów, po czym następuje spadek natężenia do zera. Zjawisko to znane jest pod nazwą piku Bragga i jego istnienie wykorzystywane jest skutecznie w tzw. terapii protonowej.

Zasadniczą zaletą tej metody jest to, że z dużą dawką względną protonów atakowane są komórki rakowe, natomiast tkanki przed i za nimi nie zostają uszkodzone z uwagi na małą

lub zerową dawkę protonów. Dzięki temu w przypadku leczenia raka oka zostają bombardowane komórki rakowe, bez niszczenia zdrowych komórek przed i za komórkami rakowymi, co sprawia, że oko nie zostaje uszkodzone i pacjent nie traci wzroku. Głównym problemem jest ustalenie głębokości występowania tkanek, czy komórek rakowych, a następnie bardzo dokładne ustawienie chorego oka od źródła rozpędzonych protonów, czyli akceleratora.

W Instytucie Fizyki Jądrowej PAN w Krakowie został zmodernizowany cyklotron czyli akcelerator cykliczny w którym protony są przyspieszane polem elektrostatycznym o napięciu rzędu 100 kV i wysokiej częstotliwości. Dzięki istnieniu stałego prostopadłego do płaszczyzny przyspieszenia pola magnetycznego oraz wspomnianego wcześniej pola elektromagnetycznego, protony poruszają się po torach spiralnych powiększając swoją energię i naturalnie prędkość. Został on adoptowany do celów leczniczych oraz wyposażony o dodatkowe podzespoły gwarantujące wymaganą dokładność lokalizacji komórek rakowych metodą radiologiczną oraz pozycjonowania pacjenta w stosunku do akceleratora. Urządzenie to zostało uruchomione z powodzeniem i obecnie służy do leczenia raka oka i trwają prace wykorzystania go do leczenia w innych organach ciała ludzkiego.

Po przedstawieniu podstaw i wybranych fragmentów fizyki jądrowej czyli natury mikrokosmosu i jej zastosowaniu w przemyśle i lecznictwie prof. Jan Styczeń przeszedł do omawiania zagadnień związanych makrokosmosem. Makrokosmos, z jego galaktykami, gwiazdami i planetami krążącymi po orbitach do złudzenia przypominają budowę atomu, czyli świata mikrokosmosu. Szczególnie zainteresowany jest Profesor problemami wieku wszechświata oraz zagadnieniem jego powstania, czyli tzw. "wielkim wybuchem"

Po zakończonym wykładzie Profesor odpowiedział na kilka pytań zadanych przez licznie zgromadzonych słuchaczy, w dużej mierze uczniów Liceum Ogólnokształcącego. Po zakończeniu oficjalnej części wykładu, mieliśmy również przyjemność wspólnego spędzenia czasu z Profesorem w miłej atmosferze przy kawie i ciasteczkach.

Dr inż. Marek Chmiel absolwent LO w Bochni i AGH w Krakowie, pracownik naukowo-dydaktyczny AGH i Uniwersytetu w Algierii oraz na stanowisku głównego projektanta w znanym koncernie Bosch Rexroth w Niemczech jest członkiem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej.

Janina Kęsek

Kariery chłopskich synów

Ziemia Bocheńska wydała wielu zdolnych chłopskich synów, którzy, zrobili karierę, różną: naukową, polityczną, artystyczną. Wymienić tu należy licznych **naukowców, polityków i wybitnych księży**. Szczególnie urodzajną była pod tym względem północna część dawnego powiatu bocheńskiego obszar pomiędzy Bochnią-Niepołomicami-Wisłą i Brzeskiem.

Spośród naukowców profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie czy Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, pracowników instytutów naukowych lub członków Akademii Umiejętności, należy pamiętać o pochodzących z tej Ziemi Bocheńskiej, niżej wymienionych postaciach:

z **Mikluszowic prof. Jan Ptaśnik (1876-1930)** (matura w Bochni 1896) absolwent UJ, wybitny historyk kultury,

zwłaszcza kultury włoskiej, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i *Franciszek Bardel (1869-1941)*, (matura w Krakowie 1888) absolwent UJ, prawnik, adwokat i polityk. W latach 1919-1920 był ministrem rolnictwa i dóbr państwowych, z **Dziewina** (par. Mikłuszowice) *ks. Jan Twardowski (1973-1953)*, (matura w Bochni 1894) absolwent UJ kapłan i nauczyciel gimnazjalny (polonista i filolog klasyczny), z **Zaborowa Jędrzej Cierniak (1886-1942), (matura w Bochni 1908), absolwent UJ polonista i filolog klasyczny, twórca teatrów ludowych, z **Maszkienic Franciszek Bujak (1875-1953), (matura w Bochni 1894) absolwent UJ, a potem prof. UJ i Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, historyk dziejów gospodarczych i społecznych Polski. Prezes Polskiego Tow. Historycznego w 1920 r. minister rolnictwa i dóbr państwowych z **Ispiny Adam Pichór (1878-1941)** (matura w Bochni 1899) absolwent i pracownik naukowy UJ, nauczyciel gimnazjalny w Krakowie i Wieliczce, inicjator i współzałożyciel szkolnego obserwatorium astronomicznego w Niepołomicach, z **Baczkowa Jan Czubek (1849-1932)**, (matura w Krakowie 1869), absolwent UJ, polonista, historyk literatury, filolog klasyczny i bibliotekoznawca, członek PAU, ze **Smykowa k/Bochni** (par. Krzyżanowice) *Paweł Mucha (1901 -1991)* (matura w Bochni 1921) absolwent UJ, prawnik i ekonomista, dyrektor Banku Rolnego w Warszawie, poseł na sejm w latach 60-tych XX w., z **Woli Batorskiej prof. Roman Stopa (1895-1995)** (matura w Bochni 1914) absolwent UJ, językoznawca, badacz języków afrykańskich, profesor Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, potem UJ, z **Targowiska Jan Świętek (1859-1926)**, (gimnazjum niższe w Bochni ok. 1876, matura w Krakowie ok. 1880) z zawodu inspektor kolejowy, folklorysta amator, inicjator i pierwszy prezes Towarzystwa Ludoznawczego w Krakowie w 1898 r. członek Komisji Antropologicznej AU, autor licznych prac z zakresu kultury ludowej.****

Oczywiście to nie wszystkie nazwiska, jednak nie chodzi tu o ich wyliczanie i przedstawianie biogramów, raczej warto pokazać środowisko, z którego Ci ludzie wyszli, pragnienie wiedzy, trudy i bariery jakie trzeba było pokonać, by dojść do celu. Często cytowane są tu wspomnienia, publikowane i te, które z rękopisach znajdują się w zbiorach muzealnych, w archiwach i bibliotekach. Większość z nich zasługuje na wydanie drukiem, bo nie tylko pokazuje dzieciństwo i młode lata znanej i popularnej postaci, ale ukazują wieś, jakiej dziś już nie ma, ten nieistniejący już wiejski świat.

Pragnienie wiedzy

Chłopskie dzieci, zdolne, ciekawe świata i zdeterminowane, ciernistą drogą szły do celu, czyli do szkoły, po wiedzę. Paweł Mucha z Krzyżanowic, pisze:

(...) Pamiętam, że od najmłodszych lat miałem pociąg do czytania i pisania. Zaczętem od sylabizowania napisów pod ilustracjami w gazetach i książkach. Ojciec pozwalał mi gryzmolić wielkim ciesielskim ołówkiem na deskach i belkach, pomagał pisać litery i słowa, składać zdania (...)

Podstawowe wykształcenie to też był problem. Po wioskach były szkoły jednoklasowe, dwuklasowe, a jak już była

duża wieś i zapobiegliwy wójt to nawet i trzyklasowe. Zdolnym i zdeterminowanym dzieciom to nie wystarczało, bo dopiero wykształcenie dalsze i matura otwierało im możliwości awansu społecznego. Już nie wyrostek, pacholę, czy parobek, ale gimnazjalista, „pan student”. Ale ich droga do „lepszego” świata zaczynała się w chłopskiej chałupie, pod strzechą. Z tej chałupy w świat wyгнаło ich pragnienie wiedzy. Rodzice różnie do tego podchodzili. Czasem dalsze kształcenie dziecka było ich inicjatywą. Mówi o tym popularna niegdyś ballada *Wieczorem w niedzielę przy wiejskim kościele*. W jednej ze zwrotek mówi ojciec do matki (...)

*Mój Boże, mój Boże
Jakżeż to we dworze
Syn pański się chowa uczony
I my mamy dziecię,
możeby też przecię...
było uczonym człowiekiem
Sprzedajmy dwa woły
Niech idzie do szkoły
A może i księdzem zostanie.*

Roman Stopa z Woli Batorskiej wspominał:

(...) Jest chyba koniec czerwca, a więc zbliża się koniec roku szkolnego 1906 r. W stodole...Tatus i ja... Młóciemy... koniczynę nasienną. W pewnej chwili Tatus... mówi do mnie” No Romek, po wakacjach pudzies do Bochni do gimnazji” Mnie jakby ktoś w łeb trzasnął.... Rozbeczałem się tedy jak bóbr. To ja mam po wakacjach opuścić ten raj na ziemi: króle, gołębie, konie? Byłem przywiązany ogromnie do tej żywnicy, jakże mnie cieszył obraz tych królików: samica, samiec i królicząt, chyba z dziesięcioro, cisnących się do mojej ręki za trawą lub koniczyną. A gołębie! Już się dochrapałem pary rasowych grywaczy czy pawików, które mię witały swoim gruchaniem kiedy wracałem ze szkoły. No, a wreszcie konie, śliczna para koni, na których jazda na oklep do pławienia w stawie na Ruskiem była szczytem marzeń dziesięcioletniego pędraka, a i źrebiątko z nimi – cóż to za mile, rozkoszne stworzenie. I to wszystko mam porzucić dla jakiejś tam „gimnazji”. ... Bez tego świata zwierząt będę się czuł jak sierota bez ojca i matki, a i one beze mnie niewesoły będą miały żywot. Któż tym królikom narwie i przyniesie trawy czy koniczyny? Któż gołębiom nasypie ziarna?. A kto koniom siana natka za drabinę i owsa nasypie do żłobu ?. Nie to niemożliwe! Beczałem tedy gorącymi, pełnymi żalu i tęsknoty łzami, ale Tatus był niewzruszony. Ani słowem nie próbował uspokoić moich łez. Tatus wiedział dobrze, że wiedza to moja przyszłość. Nieraz nam mówił „ Ja tu ciężko pracuję, wstaje o świcie, a i noc mam niespokojną... z tą tylko jedną myślą, z jednym jedynym pragnieniem, abyście wy, dzieci moje, miały lżejszy kawałek chleba...¹.

Ale bywało też inaczej

Jan Twardowski z Mikłuszowic, zdolny chłopiec, pragnął być księdzem. Najpierw trzeba było uczyć się w gimnazjum i zdać maturę. Mimo, że był zdolnym i pilnym uczniem matka i ojczym nie zamierzali go kształcić, woleli, żeby po ukończeniu 2-letniej szkoły ludowej pracował na gospodarstwie. (...)

Orędowników swego kształcenia znalazł w księdzu i nauczycielu, którzy regularnie odwiedzali i przekonywali ojczyma. W końcu uległ. Mały Jan jeszcze o tym nie wiedział, ale coś przeczuwał, bo matka szyła nowe ubranie. Ojczym posłał do stolarza po lakierowany kufer.

Tym przygotowaniom towarzyszył nastrój tajemnicy i niecierpliwego oczekiwania.

Ktoregoś dnia po prostu oznajmiono mu, że pojedzie z ojczymem na egzamin, przy czym nie wiedział dokładnie gdzie².

Wkrótce okazało się, że do Bochni. Po szczęśliwie zdanym egzaminie został uczniem c. k. Gimnazjum w Bochni od września roku szk. 1886/87, a kilka lat później księdzem.

Chłopcy ze wsi z ogromnym trudem uczyli się wszystkiego, poczynając od elementarnych zasad obowiązujących w mieście, w świecie inteligencji, do której już jako gimnazjaliści przynależeli. Uczyli się mówić nie gwarą lecz językiem literackim, uczyli się zachowania przy stole, w szkole i na ulicy. Karą, najbardziej bolesną za brak tych umiejętności było wyśmiewanie się, docinki i przykre przezwiska jakich nie szczędzili im koledzy z miasta.

Ciężką pracą nadrabiali braki w wiedzy szkolnej. Szkoły podstawowe, czyli elementarne, jak już wspomniano, były różne, jednoklasowe, dwuklasowe lub trzyklasowe tzw. trywialne oraz czteroklasowe czyli normalne. Z tak różnym przygotowaniem wyniesionym ze szkoły podstawowej spotykali się w pierwszej klasie gimnazjum. Niektórzy uzupełniali braki w bocheńskiej szkole podstawowej. Wiedzieli, że muszą się uczyć, że to jest ich *być, albo nie być*. Rodzice z wielkim wysiłkiem kształcili swoich synów, a często i to było mało więc gimnazjalista dorabiał korepetycjami, żeby utrzymać się w szkole. Prawie wszyscy, dawali korepetycje, bo to, co dostawali z domu, nie starczało. Nie mieli pretensji, ani żadnych wymagań wobec rodziców, z wdzięcznością przyjmowali pomoc i z miłością odnosili się do rodziców, a po latach, mogli odwdziżyć się i zadbać o ich starość. Był jednak czasem bunt, najczęściej wtedy, gdy rodzice chcieli za dziecko zdecydować o jego dalszym losie. Przeważnie rodzice mieli pragnienie, by syn został księdzem i pomagali dziecku swojemu zrealizować to ich marzenie, bo przecież, jak mówiło ludowe porzekadło „Kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie”. Kiedy jednak po maturze, syn sprzeciwił się woli rodziców, wybrał inny kierunek studiów i inną drogę życiową, rozżaleni rodzice wstrzymywali pomoc materialną, gniewali się, czasem nawet dochodziło do zerwania kontaktów z wykształconym synem. Już najsmutniejszym było, kiedy, jak mówi wspomniana wyżej ballada, rodzice posłali syna do szkół...

*Jak rzekli, zrobili,
Lecz ciężko zbłądzili
Bo szczęście i w kmiącym jest stanie.
Syn wzrastał w rozumie
Lecz także i w dumie
I ojca się wstydził w sukmanie.*

Szkoła

Bocheńskie gimnazjum, to wspaniała szkoła, dziś już 200. letnia. Gimnazjum założone przez proboszcza Piusa Riegera było szkołą 6-klasową (4 klasy gramatyczne i dwie humanistyczne) W poł. XIX w. reforma szkolnictwa wprowadziła gimnazja 8-klasowe (4 klasy gimn. niższego i 4 klasy gimnazjum wyższego zakończone maturą) Gimnazjum w Bochni mieszczące się dotąd w budynku pobernardyńskim, nie mogło w tym lokalu poszerzyć szkoły o dwie klasy. Zostało zreduko-

wane do czterech klas i przez kilkadziesiąt lat funkcjonowało jako gimnazjum niższe. Warunkiem było wystawienie nowego gmachu, co stało się w 1888 r. Szkoła przeniosła się do nowego budynku, władze oświatowe we Wiedniu dały pozwolenie na otwarcie klas od 5-8 i powiększenie grona pedagogicznego. C. k. Państwowe Gimnazjum w Bochni było gimnazjum klasycznym. Grono pedagogiczne było znakomite. Stanowili je nauczyciele, z dorobkiem naukowym, często członkowie AU. Nic więc dziwnego, że absolwenci tej szkoły doskonale przygotowani dostawali się na studia w Krakowie czy Lwowie, głównie w zakresie nauk humanistycznych.

W Bochni uczył m. in. znakomity historyk Jan Bryl. Jego uczniami byli późniejsi wybitni historycy Franciszek Bujak, Jan Ptaśnik. Pierwsza matura odbyła się w 1892 r. Mimo czasu zaborów w szkole panował polski duch. Oprócz nauki szkoła dawała wychowanie patriotyczne, bo jak powiedział Wincenty Witos nie ważne czy uczeń zapamięta takie czy inne wzory matematyczne, nie ważne czy będzie pamiętał ile metrów ma najwyższa góra świata, ale ważne jest by uczeń wyszedł ze szkoły Polakiem. Pięknym świadectwem jak wychowywało to bocheńskie gimnazjum na przestrzeni swojej 200 letniej historii jest liczny udział jej wychowanków we wszystkich zrywach narodowych oraz w I i II wojnie. Szkoła także poszerzała horyzonty, otwierała świat dotąd nieznaną. Paweł Mucha z Krzyżanowic pisze, że w roku szk. 1913/1914:

(...) profesor historii zapowiedział całodzienną wycieczkę naszej klasy do Krakowa, dla zwiedzania zabytków. Wieczorem mieliśmy pójść do teatru. Uczniów, zwłaszcza nas chłopców wiejskich ogarnęła radość. Większość z nas w ogóle nie jechała koleją i poza Bochnią nie widziała innego miasta. O Krakowie wiedzieliśmy dużo z książek, z lekcji, z opowiadań. Koszt wycieczki nie był wielki, najbiedniejszym kolegom opłaciła koszty szkoła³.

Uczniowie, spoza Bochni mieszkali na stacjach czyli wynajmowanym w prywatnym mieszkaniu pokoju, często kilku uczniów w jednym. Stacje, czyli pokój albo tylko kąpiel przy jakiejś rodzinie bywały droższe w bogatych mieszczańskich domach, lub tańsze w skromnych warunkach w domkach górników, czy rzemieślników na przedmieściach Bochni. Stacje były kontrolowane przez szkołę, nauczycieli, wychowawcę.

Przeważnie na pocz. XX w. za stacje rodzice ucznia płacili ok. 10-12 koron oraz zapłatą w naturze: kwarta masła, jajka ok. 30 szt., mąka, kasza, ziemniaki i inne płody rolne: jarzyny, owoce, oczywiście czasem kura, kiełbasa wiejska, połać słoniny, jakaś wieprzowina czy cielęcina. We czwartki, kiedy w Bochni był targ, co dwa, trzy tygodnie przyjeżdżali ze wsi rodzice lub ktoś z rodziny i przywozili swym dzieciom w szkole czystą bieliznę, trochę prowiantu dla syna (niezależnie od opłaty za stację uiszczaną w naturze) Jędrzej Cierniak z Zaborowa cieszył się niezmiernie z przyjazdu rodziców, miał łzy w oczach i mówił wtedy *widzę wioskę swoją*⁴.

Prof. Waław Korta z Nieszkwowic rodem, potem wspaniała historyk, mediewista, prof. Uniwersytetu we Wrocławiu, wspominał, że jeszcze jako mały chłopiec, przed wojną, przyjeżdżał z rodzicami na jarmark do Bochni. Siedział na furze, wśród sterty kapusty, marchwi i ziemniaków i z tej wysokości przyglądał się i dziwował miastu, małej Bochni, która w oczach wiejskiego chłopca urastała do wspaniałej metropolii. Swoje wyobrażenie o Bochni skonfrontował w latach gimnazjalnych.

Uczniowie spod bocheńskich wiosek, w odległości nawet do 10 km., których nie było stać na stancje chodzili codziennie pieszo, lub zbiorowo podjeżdżali furą. Wstawali o świcie, żeby zdążyć do szkoły pokonując kilka kilometrów drogi w jedną, a po lekcjach w drugą stronę. Paweł Mucha rodem z Krzyżanowic wspomina:

(...) W jesieni 1910 r. rozpoczął się długi etap mojej dalekiej drogi do czegoś, co później nazywało się awansem społecznym, drogi trudnej dla wiejskiego chłopaka. Wymagała ona wielu wyrzeczeń i niesłychanej wytrwałości. Szło się codziennie przez trzysta dni w roku po cztery kilometry tam i z powrotem z Krzyżanowic do Bochni, często także i w niedziele i święta państwowe na obowiązkowe nabożeństwa szkolne. I tak przemaszerowałem w ciągu jedenastu (3 lata szkoły podstawowej w Bochni i gimnazjum) lat ponad 30 tys. km. ażeby zdobyć średnie wykształcenie. Był to marsz pełen sukcesów w nauce lecz w ciągłym niedostatku i brakach, szczególnie dotkliwych o ile chodzi o kupno ubrania i książek (...)⁵.

Po powrocie do domu, byli często jeszcze gonieni do różnych prac w gospodarstwie. Uczyli się wieczorem, przy nikłym świetle świecy lub lampy naftowej. Z myślą o tych uczniach dyrektor gimnazjum prof. Michał Żukiewicz założył bursę gimnazjalną. Budowa dużego piętrowego budynku trwała niecały rok. Jesienią 1901 r. oddano bursę do użytku. Bursa dawała locum początkowo 38, później 50 uczniom. Przyjęto zasadę, że wychowankami zakładu mogli być tylko uczniowie mieszkający poza Bochnią, mający daleką drogę do szkoły. Na miejsce w bursie mogli liczyć tylko bardzo dobrzy uczniowie. Jeżeli któryś z nich pogorszył swoje oceny, tracił miejsce. Więc uczyli się pilnie. Józef Pięta kolega gimnazjalny Jędrzeja Cierniaka wspomina, że Jędrzej często napominał kolegów *Chłopcy! Uccie się, bo ojciec i matka muszą na was ciężko robić*⁶.

Gimnazjalista, a jego rodzinna wioska

W swoim rodzinnym środowisku postrzegani byli już jako ktoś lepszy, mądrzejszy, bo na książkach czyta. Jak to środowisko odbierało już ten awans społeczny młodego człowieka? Paweł Mucha z Krzyżanowic pisze, że kiedy kupił podręczniki do pierwszej klasy gimnazjalnej,

(...) gdy zacząłem przeglądać nabyte książki (język polski, matematyka, fizyka, historia, geografia, botanika, język niemiecki, język łaciński, religia) wraz z atlasem geograficznym, które zajęły cały stół, ojciec odezwał się, „kiedy ty to wszystko przeczytasz. Czy dasz takiej nauce radę?” Byłem pełen zapału i ufności we własne siły „musze dać radę! Powiedziałem” (...)⁶.

Uczony syn, gimnazjalista, to duma rodziców. Jeszcze jeden cytat ze wspomnień Pawła Muchy:

(...) W dzień targowy rodzice poszli ze mną do miasta i tam kupili mi granatową marynarkę, długie czarne spodnie, granatową czapkę typu „kepi” ze skórzanym daszkiem i srebrnym znaczkiem „G” (gimnazjum). Kupiłem sobie srebrną tasiemkę, z której siostra przyszyła mi na stojącym kołnierzu marynarki po jednym srebrnym pasku, co oznaczało ucznia I klasy. W niedzielę ubrałam się w ten wymarzony mundurek i udałam się z rodzicami do kościoła na sumę. Wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą i podziwiają mój piękny ubiór, że

wszyscy chłopcy mi zazdroszczą. Wszedłem do zakrystii, jako należący do grona chłopców służących do mszy. Ks. proboszcz serdecznie mnie uściskał i powiedział: „Paweł zasłużyłeś, ażeby dziś służyć do mszy św. Kazał nam dać nowe komże. Wspaniałości tego dnia nic nie mogło zakłócić, nawet wołanie niektórych chłopaków: „Te gipsiak, nie bądź taki ważny, bo ci „G” z czapki zleci”...⁷.)

Gimnazjaliści, a potem nawet bardziej już studenci, czy absolwenci uniwersytetu czuli się w moralnym obowiązku podnosić oświatę i kulturę w swoim rodzinnym środowisku. Jan Ptaśnik z Mikłuszowic w latach gimnazjalnych należał do tajnej organizacji uczniowskiej „Przebudzeni”. W organizacji miał pseudonim „Kowal”. Była to organizacja samokształceniowa, ale również (z myślą o walce zbrojnej) uprawiano gimnastykę, szermierkę, wycieczki krajoznawcze. Krzewiono też ideały moralne i narodowe nie tylko wśród kolegów gimnazjalistów, ale także wśród młodzieży rzemieślniczej i wiejskiej. (...) Realizując ten program założył Ptaśnik w rodzinnych Mikłuszowicach, wśród swoich rówieśników tajne stowarzyszenie „Straż Matki Boskiej”, którym kierował przez kilka lat, urządzając pogadanki i doroczne nabożeństwa patriotyczne, pierwszą w 100-letnią rocznicę III rozbioru Polski w 1895 r.⁸.

Jędrzej Cierniak jeszcze jako uczeń w bocheńskim gimnazjum, organizował w Zaborowie przedstawienia teatralne, amatorskie. Jego rówieśnik z Zaborowa, Stanisław Antosz wspomina (...)

Podczas wakacji odbywały się w jego domu, próby przedstawień, które on reżyserował. Same zaś przedstawienia organizowano w większej części pod gołym niebem, a czasem, zwłaszcza w zimie „jasełka” odbywały się w szkole. (...) ⁹.

Zaraz po maturze w 1908 r. zorganizował w Zaborowie Teatr Ludowy do którego należała młodzież wiejska i młodzież akademicka z Zaborowa.

Nawet kiedy już osiągnęli w życiu sukces, czyli pewną pozycję, stanowisko i poważanie, nie odwracali się od swoich wiejskich korzeni, choć pewnie były przykre wyjątki, jak w cytowanej powyżej balladzie.

Wiejskie korzenie

Urodzeni i wychowani na wsi, wykształceni w mieście, jednak przeważnie wszyscy czuli się ze swoją rodzinną wioską rodzinną związani emocjonalnie, wracali do niej, działali dla dobra tej wsi, podniesienia jej poziomu oświatowego i kulturalnego, bo uważali to za swój moralny obowiązek. Jędrzej Cierniak w późniejszych latach (...) *Podczas krótkich pobytów w Zaborowie, starał się, chociaż wieczorami urządzać pogadanki i odczyty na różne tematy. Interesował się wszystkimi sprawami wsi. Bardzo bolał nad stosunkami, jakie panowały w tych latach na wsi t. j. przeludnienie, brak pracy* (...) Jeszcze przed wojną, z inicjatywy Jędrzeja Cierniaka i w dużej mierze jego staraniem powstał w Zaborowie Dom Kultury i można tak powiedzieć Izba Pamiątkowa. W Domu Kultury była duża świetlica i czytelnia¹⁰.

Franciszek Bardel z Mikłuszowic, dr praw, znany krakowski adwokat i działacz Stronnictwa Ludowego „Piast”, minister rolnictwa i dóbr państwowych w latach 1919-1920, wracał do rodzinnej wsi wielokrotnie. W miejsce rodzinnego domu pod strzechą wybudował duży murowany dom do którego on i rodzina przyjeżdżali na wszystkie święta, ferie i wakacje. Do niedawna służył ten dom trzem pokoleniom rodziny Bardłów, a potem Pawłowskich.

Jan Świątek z Targowiska wybitny ludoznawca przełomu XIX/XX w. autor 700 stronicowego dzieła *Lud Nadrabski*, poświęconego mieszkańcom wsi położonych nad brzegami Raby, w średnim jej biegu, we wstępie do książki napisał:

(...) Tego to ludu dziecko, urodzony i wychowany nad brzegami Raby, wziąłem pióro do ręki, aby tak z życia, jak i z nagromadzonego przez lata materiału, skreślić obraz Nadrabian, o ile możliwości zupełny. O ile temu zadaniu sprostałem – sąd nie do mnie należy; w pracy podjętej przewodniczyła mi nieustannie myśl Jana Kochanowskiego: „ (...) a jako kto może/ Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże”¹¹.

Wieś ich ukształtowała, zahartowała na trudy życia, dała pewną wrażliwość na przyrodę i otaczający świat... Pięknie wyraził to prof. Roman Stopa we wstępie do swoich wspomnień. Pisze:

(...) To chłopskie pochodzenie, chłopska natura, ba, chłopski upór, ale i chłopskie cudowanie się, upajanie się na co dzień czymś, co w oczach mieszczaucha jest tylko nadzwyczajnym, odświeżającym dodatkiem do życia, ale nie jego treścią, jego głębiną tajemną. To chęć wyżycia się w pieśni, ukochanie zarówno muzyki bez słów, kwilenia skrzypiec czy zawodzenia fletu, jak i muzyki słowa ujętego w rytmy, w harmonijne frazy, w kanony poezji. Ten charakterystyczny rys chłopskiej duszy... to jego codzienne paranie się, obcowanie nawet w snach z rodzicielką ziemią, oto ów żywy, serdeczny stosunek chłopca do jego rodzinnego skrawka ojcowskiej roli, do pasma łąk gromadzkich i smugi boru wsiowego – to podłoże, a zarazem źródło chłopskiej zadumy i chłopskiej poezji... Wszakże to tu – w poszumie topoli otaczających chatę, w klekocie bocianiego gniazda, w ujadaniu Burka, gdy było wychodzi na paszę, wśród rżenia koni, beczenia owiec i gęgania gęsi- rodzi się potrzeba pieśni, potrzeba włączenia się w ten rozpasany, żywiołowy chór wiejskiej zagrody.(...) ¹².

Przemiany otaczającej przyrody i rytm wiejskiego życia, tak ściśle ze sobą związane, kształtowały wrażliwe osobowości, nadając im tę specyficzną cechę, której nie mają ludzie dorastający w miejskich aglomeracjach. Adam Pichór rodem z Ispini, nauczyciel gimnazjalny we Wieliczce, chciał młodzieży szkolnej z Niepołomic i z pobliskich wiosek przybliżyć ten daleki, nieosiągalny ludzkim wzrokiem świat. Był inicjatorem i współzałożycielem w Niepołomicach szkolnego obserwatorium astronomicznego istniejącego do dziś. Jędrzej Cierniak w jednej ze swoich książek pisze o amerykańskiej Polonii tak:

(...) wychodźca w Ameryce nie może jakoś pojąć całokształtu Matki Polski, lecz miłość swa kierują do swej wioski. Wioska jego – to Polska. Jakże ci wychodźcy zdrowym uczuciem synowskim blisko i oczywiście dostrzegali państwo polskie (...) ¹³.

W jakiś sposób można odnieść te słowa do tych wychodźców ze wsi rodzinnej, żyjących już w mieście, należących już do inteligencji, ale tęskniących do tego jedyne zakątka na świecie, do tej rodzinnej wioski, która była ich Małą Ojczyzną. Maria Konopnicka w poetyckiej formie przypominała o wiejskich korzeniach wielu młodych inteligentów.

A gdy ciebie kto zapyta,
Kto ty taki, skąd ty rodem?
Mów, żeś z tego łąnu żyta,
Żeś z tych łąk, co pachną miodem.

Mów, że z takiej jesteś chaty,
Co Piastową chatą była,
Żeś z tej ziemi kędy kwiaty
Gorzka rosa wykarmiła

Pamięć

Przypomniane tu dziś postacie, z ludu wyrosłe, to sól tej ziemi i jej chluba. Powinny o nich pamiętać przede wszystkim wsie ich rodzinne, powinno się o nich mówić w szkołach, upamiętniać ich nazwiska jako patronów, szkół, bibliotek, wiejskich domów kultury. Niestety nie zawsze tak jest. Pozytywnych przykładów jest niewiele.

W ostatnich latach z inicjatywy krakowskiego oddziału PAN reprezentowanego przez panią dr Krystynę Kwaśniewicz, która zajmowała się postacią „Kolberga” z Targowiska, w 100-lecie wydania książki *Lud Nadrabski*, w dniu 25 października 1992 r. w Targowisku odbyły się uroczystości ku czci tego wybitnego ludoznawcy. Wówczas też na ścianie budynku szkoły w Targowisku umieszczona została tablica upamiętniająca Jana Świątkę. Tablicę ufundowały wnuki, rodzina i mieszkańcy wsi Targowisko¹⁴.

Rodzina wieś Mikłuszowice, uczciła pamięć swojego wybitnego rodaka prof. Jana Ptaśnika nadając jego imię miejscowej Bibliotece Publicznej. Uroczyste odsłonięcie tablicy upamiętniającej patrona biblioteki odbyło się 16 października 2005 r. 15.

Przypisy

- ¹ Roman Stopa, *Spod chłopskiej strzechy na katedrę Uniwersytetu. Kartki z życia człowieka opętanego muzyką, poezją, wsią i buszmenami*, wyd. Instytut Języka Polskiego PAN, Kraków 1995, s. 29.
- ² Ks. Jan Twardowski, *Pamiętniki Łąckiego wikarego. Rok. 1900*, wyd. prof. Julian Dybiec, Kraków 2014, wstęp Paulina Krzywdy.
- ³ Paweł Mucha, *Czasy wielkich przemian. Ludzie, zdarzenia, refleksje* rkps.s. 34, wł. Stow. Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej.
- ⁴ *Wspomnienia o Jędrzeju Cierniak*. Wybór i opracowanie Zofia Mazurowa i Leonilda Wyszomirska, wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1982 (Wspomnienie S. Antosza)
- ⁵ P. Mucha, *Czasy wielkich przemian*. (op. cit.) s. 31.
- ⁶ P. Mucha, *Czasy wielkich przemian*. (op. cit.) s. 32.
- ⁷ P. Mucha, *Czasy wielkich przemian*. (op. cit.) s. 32.
- ⁸ Franciszek Bujak, *Życiorys Jana Ptaśnika* w: *Kwartalnik Historyczny R. XLIV T. I zeszyt 2*, wyd. Polskie Tow. Historyczne, Lwów 1930 s.XIV.
- ⁹ *Wspomnienia o Jędrzeju Cierniak*. Wybór i opracowanie Zofia Mazurowa i Leonilda Wyszomirska, wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1982 (Wspomnienie S. Antosza).
- ¹⁰ *Wspomnienia o Jędrzeju Cierniak*. (op. cit.) s.101.
- ¹¹ Jan Świątek, *Lud Nadrabski (od Gdowa po Bochnię)*, nakładem AU Kraków 1893 r.
- ¹² R. Stopa, *Spod chłopskiej strzechy...* (op. cit.).
- ¹³ *Wspomnienia o Jędrzeju Cierniak*... (op. cit.).
- ¹⁴ Krystyna Kwaśniewicz, *Jan Świątek (1859-1926)* w: *Etnografowie i ludoznawcy polscy. Sylwetki, szkice biograficzne*, wyd. PTL, Kraków 2002, Małgorzata Kowalska-Wróbel, *Jan Świątek- „Kolberg” z Targowiska* w: *Rocznik Bocheński*, T. IV, wyd. Muzeum. St. Fischera, Bochnia 1996 r.
- ¹⁵ *Święto Książki* (autor: ł.p.) w: *Ziemia Bocheńska* nr 11/2005 (w dziale: Echo Drwini) s.22.

Jan Wiktor wiecznie żywy

Czy Jan Wiktor zastąpi w Bochni Leopolda Okulickiego?

Stare marzenia w nowym opakowaniu

Nie przebrzmiały jeszcze echa nieudanego referendum w sprawie budowy podziemnego parkingu i usunięcia w tym celu pomnika gen. Leopolda Okulickiego z placu imienia tego wybitnego Syna Ziemi Bocheńskiej, a już rodzi się ponownie pomysł budowy podziemnego parkingu z jednoczesnym zlikwidowaniem tego pomnika z placu, tym razem pod innym „bardziej szlachetnym” hasłem: budowy w tym miejscu gmachu miejskiej biblioteki publicznej z podziemnym parkingiem.

W toczącej się dwa lata temu dyskusji na portalach internetowych inicjatorom budowy parkingu pod placem gen. Okulickiego trudno było przekonać mieszkańców Bochni, że w tym newralgicznym komunikacyjnie miejscu podziemny parking nie zakorkuje ruchu samochodowej i że jego lokalizacja jest zgodna z interesem miasta.

Jeszcze trudniej było wytłumaczyć, że z powodu niekorzystnych uwarunkowań geologicznych, podziemny parking nie zagrazi wpisanej na listę Światowego Dziedzictwa Kultury i Przyrody UNESCO Kopalni Soli w Bochni.

Niehonorowo i niezręcznie było tłumaczyć bocheńskiemu społeczeństwu, że dla handlowych korzyści powinno się usunąć z placu gen. Leopolda Okulickiego, jego pomnik, ufundowany z datków nadchodzących z całego świata od byłych i nieżyjących już w zdecydowanej większości podkomendnych Generała, którzy walczyli o niepodległość Polski z dwoma totalitarnymi reżymami brunatnym i czerwonym.

W nowym opakowaniu zatytułowanym „Budowa Miejskiej Biblioteki Publicznej” tamte obawy sprzed dwóch lat mają zniknąć, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, bo hasło tworzenia ważnej inwestycji kulturalno-oświatowej w Bochni ma zasłonić i uwiarygodnić faktyczny cel.

Takie myślenie musi chyba zadziwiać nie tylko Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej, ale jak przypuszczamy, także szersze kręgi bocheńskiego społeczeństwa.

Chichot historii?

To prawdziwy chichot historii, że w 2017 r. Jan Wiktor patron bocheńskiej Biblioteki, z partyjno-szczawnickim rodowodem, nieprzypadkowy patron Biblioteki, który żadnych związków z Bochnią nie miał, teraz ma, w jakiś symboliczny sposób, zastąpić bohatera narodowego gen. Leopolda Okulickiego, którym Bochnia powinna się szczycić, którego pomnik (pierwszy figuralny pomnik Generała w Polsce) podnosi rangę naszego miasta i budzi zainteresowanie licznie przybywających do Bochni turystów i kuracjuszy. Tym bardziej przykre jest to, że temat usunięcia pomnika Generała rzuca się w mediach właśnie w jubileuszowym roku 200. lecia bocheńskiego gimnazjum i liceum, którego uczniem i absolwentem był właśnie Leopold Okulicki, który zdawał maturę wojenną w 1919 r. pomiędzy wojną polsko-ukraińską, a wojną polsko-bolszewicką, a więc wojnami o Polskę, w których brał aktywny udział.

Czym zasłużył się Jan Wiktor?

Urodził się w Radomyślu nad Sanem w 1890 r., zmarł w Krakowie w 1967 r. Studiował medycynę we Lwowie. Związał się ze Szczawnicą i tam pisał felietony o moralistyczno-dydaktycznej treści i tematyce wiejskiej i góralskiej. Działal w kręgu ruchu ludowego „Wici”. Badał świat nadmysłowy ludu wiejskiego, interesował się geniuszem znachorów i życiem miejscowych chłopów. Napisał kilka ciekawych książek, w tym najważniejszą „Orkę na ugorze”, której bohaterką jest szczawnicka nauczycielka. Była nią Maria Bielawska, która po zakończeniu II wojny światowej została dyrektorką bocheńskiej Biblioteki. Dlatego właśnie w 1969 r. dwa lata po śmierci pisarza patronem Biblioteki został Jan Wiktor.

Ale Jan Wiktor, wrażliwy obserwator życia środowiska wiejskiego ma jeszcze inną kartę w swoim życiorysie. Wobec tego karkołomnego pomysłu pewnego bocheńskiego środowiska, trzeba tę kartę odsłonić, aby podejmujący decyzję wiedzieli za czym będą kiedyś głosować i byli świadomi, że... *nie tylko poeta pamięta*, ale także bocheńskie społeczeństwo to zapamięta.

Po zakończeniu II wojny światowej Jan Wiktor, prozaik, regionalista, publicysta i miłośnik szczawnicko-pienińskiej kultury ludowej płynął z prądem obowiązującej w Polsce polityki. Był posłem do Krajowej Rady Narodowej i na sejm I kadencji (1952-1956), a więc w okresie bierutowsko-stalinowskiego reżimu.

W 1951 r., po fali procesów politycznych przeciwko żołnierzom AK, BCH, działaczom WiN, zakończonych licznymi wyrokami śmierci, władze PRL rozpoczęły bezpardonową walkę z Kościołem Katolickim. Aresztowania i tortury objęły także środowisko Archidiecezji Krakowskiej. 27 stycznia 1953 r., po sfingowanym, pokazowym procesie politycznym o „szpiegostwo za amerykańskie pieniądze”, opartym na sfałszowanych dowodach, zapadły surowe wyroki. Trzech księży skazano na śmierć, a pozostałych na długoletnie więzienie.

Kiedy skazani oczekiwali w celach śmierci na wykonanie wyroku, na polecenie z „góry” przedstawiono 53 literatom do podpisania projekt „Rezolucji Związku Literatów Polskich w Krakowie w sprawie procesu krakowskiego”.

Władze w Warszawie wyraźnie się wahały, czy należy wykonać wyroki śmierci, bo bały się reakcji społeczeństwa polskiego. Potrzebowały poparcia elit intelektualnych, aby w ten sposób podzielić się odpowiedzialnością za śmierć księży. Krakowscy literaci byli ludźmi wykształconymi i zdawali sobie sprawę z tego, że oczekujący na śmierć są niewinni. Gdyby nawet któryś z nich, ulegając propagandzie, wierzył w winę skazanych, to musiałby przyznać, że kara śmierci jest nieproporcjonalnie surowa w stosunku do winy.

Czy mogli zatem literaci tego liczącego się w kraju krakowskiego środowiska, nie narażając się na szykany, przyczynić się do uratowania życia skazanym, a jednocześnie do zachowania własnej godności? Oczywiście, że mogli. Niepodpisanie rezolucji wymagałoby może zbyt dużej odwagi. Mogli jednak wybrać rozwiązanie dyplomatyczne. Uznając winę księży, apelować do wielkoduszności Prezydenta i prosić o zamianę kary śmierci na więzienie. Tego jednak nie zrobili.

Pozostali „na kolanach”, wybierając najłatwiejszą, a jednocześnie najbardziej podłą drogę – podpisali rezolucję, co oznaczało: *powiesić skazańców i zakończyć sprawę*. Poniżej fragment tej rezolucji:

My zebrani w dniu 8 lutego 1953 r. członkowie krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich wyrażamy bezwzględne potępienie dla zdrajców Ojczyzny, którzy wykorzystując swe duchowe stanowiska i wpływ na część młodzieży skupionej w KSM działali wrogo wobec narodu i państwa ludowego, uprawiali – za amerykańskie pieniądze – szpiegostwo i dywersję. Potępiamy tych dostojników z wyższej hierarchii kościelnej, którzy sprzyjali knowaniom antypolskim i okazali zdrajcom pomoc, oraz niszczyli cenne zabytki kulturalne. Wobec tych faktów zobowiązujemy się w twórczości swojej jeszcze bardziej bojowo i wnikliwiej niż dotychczas podejmować aktualne problemy walki o socjalizm i ostrzej piętnować wrogów narodu – dla dobra Polski silnej i sprawiedliwej.

Wśród 53 sygnatariuszy było wielu młodych literatów i aktorów m.in. Wisława Szymborska, wielbicielka Stalina i *wspaniałej partii, która śniła się jej po nocach*, przed którymi mogła się otworzyć literacka kariera. Był także w tej liczbie 63-letni Jan Wiktor, już na literackiej emeryturze. Inaczej więc należy widzieć decyzję młodych literatów, nawet tych zafascynowanych partią, a inaczej oceniać podpis człowieka o dużym doświadczeniu życiowym, który wiedział co podpisuje – akceptację na wykonanie wyroków śmierci.

Niewątpliwie Jan Wiktor, który swoją postawą w KRN, sejmie, a szczególnie tym haniebnym podpisem pod rezolucją za straceniem niewinnych ludzi wspierał, wzmacniał i usprawiedliwiał polski stalinizm. Może nadal będzie patronem bocheńskiej Biblioteki, ale zdecydowanie **sprzeciwiamy się**, aby w symboliczny sposób wchodził na miejsce gen. Leopolda Okulickiego.

To miejsce winno być otoczone szacunkiem dla człowieka, który od 16 roku życia swoją walką o Polskę i męczeńską śmiercią zasłużył sobie na pamięć Bochniaków i Polaków. Apelujemy do radnych miasta Bochni pana Burmistrza, ambasadorów królewsko-górniczego miasta Bochni o poparcia naszego stanowiska.

Prawdziwe potrzeby miejskiej biblioteki

Należy zastanowić się dzisiaj czy Miejska Biblioteka Publiczna im. Jana Wiktora w Bochni potrzebuje nowych przestrzeni i wielkich gabarytów do dalszego rozwoju. Czy w dobie pełnej komputeryzacji szkół, ilości ofert kulturalnych różnych instytucji i stowarzyszeń w Bochni, sieci lokali użytecz-

ności publicznej służącej celom edukacji, prywatnych komputerowych bibliotek jest to priorytet inwestycyjny Bochni?

To zupełnie inne czasy niż dawniej, kiedy biblioteka w mieście powiatowym była jedyną placówką kulturalną, w której mogło brakować miejsca dla ludzi szukających wiedzy. Dzisiaj nie tylko biblioteczna sala wykładowa spełnia swoje cele edukacyjne. Biblioteka ma przecież sześć filii na terenie miasta. Sale wykładowe posiada Muzeum im. Stanisława Fischera, Archiwum w Bochni, Bocheński Oddział Civitas Christiana, Dom Bochniaków, PTTK, PSS-Społem, MDK, Stowarzyszenie „Kotłownia” i wiele innych instytucji kulturalnych. Ciekawe i udane przedsięwzięcia literackie, poetyckie, teatralne, edukacyjne, estradowo-artystyczne odbywają się w Oratorium św. Kingi i w Hali Widowiskowo-Sportowej, nie mówiąc już o świetlicach szkolnych, zakładowych i spółdzielczych.

Pani Maria Bielawska była przed laty nie tylko dyrektorem Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, ale także, działającym niewątpliwie społecznie, dyrektorem Miejskiego Domu Kultury. Budynek przy ul. Mickiewicza spełniał jednocześnie dwie funkcje. Dzisiaj samorządowi bocheńskiemu podlegają trzy, finansowane z budżetu miejskiego, instytucje kulturalno-oświatowe, o bogatym o wiele bardziej urozmaiconym programie działania (Miejska Biblioteka Publiczna, Miejski Dom Kultury i Muzeum im. S. Fischera) i wymienione wyżej inne instytucje i stowarzyszenia, których wkładu do rozwoju życia kulturalnego w Bochni nie można nie zauważyć.

Należy więc zapytać, czy trzeba kosztem kilku milionów złotych budować nowy gmach, aby znalazły się w nim duże sale wykładowe, duże czytelnice, duże pracownie komputerowe, skoro tłumów nie ma w obecnych, skoro młodzież ma własne komputery, laptopy, smartfony, tablety. A może problem leży w wielkości magazynów na książki?

Nasze propozycje, aby na poszerzenie biblioteki przeznaczyć niewykorzystane piętro budynku pod Zegarem (dawny budynek „Medyka” a obecnie Straży Miejskiej) albo odbudowane zapewne w niedalekiej przyszłości sale zamku żupnego, do tej pory nie znalazły uznania. Niech wypowiedzą się jasno w tej sprawie radni i społeczeństwo, biorąc pod uwagę ryzyko, koszty budowy i utrzymania i naruszenie wartości, które są nam bliskie.

Zrobimy wszystko, aby Jan Wiktor nie zastępował w Bochni generała Leopolda Okulickiego oraz by plac gen. Leopolda Okulickiego nie był ciągle traktowany przez bocheński samorząd jako rezerwowo teren budowlany.

Zarząd Główny Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej

Ktokolwiek wie _ o losach Basi Jonkler

Redakcja „Wiadomości Bocheńskich” dzięki uprzejmości pani Jolanty Szpisak z Bochni dotarła do fotografii Basi, żydowskiej dziewczynki, która przebywała z matką w bocheńskim getcie. W nieznanym nam okolicznościach matce udało się wraz z córeczką wydostać z getta. Za pośrednictwem Zofii Rojkowskiej-Laskowej i Franciszka Pudły żołnierza Obwodu ZWZ-AK „Wieloryb” dziewczynka trafiła pod opiekę Zofii i Józefa Rojkowskich, którzy miesz-

kali w 1942 r. w dworku Gejzy Bukowskiego przy ul. Solna Góra 1. Basia mieszkała u nich do zakończenia wojny. Kuzynka Zofii Spalisko-Rogowskiej, pani prof. Maria Rojkowska pamięta, że Zofia Rojkowska przychodziła ul. Oracką na „kolejkę” po mleko i towarzyszyła jej śliczna dziewczynka, która miała zawsze pięknie zaplecione dwa długie, ciemne warkoczki. Nie wiadomo czy po wojnie zięć Zofii Józef Laska, na wezwanie matki, zawiózł Basię do Krakowa, czy

może jej matka przyjechała po nią do Bochni. Wiadomo, że obie wyjechały do Izraela.

Obie zamieszkały w kibucu Chefci-Bah niedaleko Tel Avivu. W 1960 r. Basia, która otrzymała w Izraelu imię Anita (może to imię nosiła od urodzenia), wyszła za mąż za Wissana Galmor. Nie wiadomo, czy Jonkler to było jej panięskie nazwisko, ale takim podpisuje się pod fotografiami. Przez kilka lat korespondowała ona z panią Zofią Rojkowską. Prawdopodobnie po śmierci Zofii korespondencja urwała się.

Redakcja poszukuje informacji o losach Basi Jonkler.



Z lewej - Basia (Anita) z bocheńskiego getta. Z prawej - Basia (Anita) z matką - październik 1945 r. w Krakowie. Zdjęcia z albumu p. Jolanty Szpisak, wnuczki Zofii Rojkowskiej



Jubileusz 200 - lecia I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni

Program obchodów Jubileuszu

Obchody Jubileuszu objął Patronatem Honorowym Prezydent RP Andrzej Duda

Piątek 9 czerwca

11:00 - 12:00 - rejestracja gości, wpisy do Księgi Jubileuszowej

12:00.-15:30 - uroczysta sesja poświęcona historii Szkoły - sala gimnastyczna I LO

- otwarcie wystawy *Historia Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego* i prezentacja wydawnictwa *Kronika Gimnazjum w Bochni 1817-1904* - we współpracy z Archiwum Narodowym w Krakowie Oddział w Bochni,
- spektakl w wykonaniu uczniów *Historia Szkoły w obrazach*
- wręczenie Medali 200-lecia
- przerwa kawowa
- wystąpienia zaproszonych gości

16:00 - 17:00 - koncert fortepianowy w wykonaniu Jakuba Kuszlika - Bazylika Mniejsza pw. św. Mikołaja w Bochni.

Sobota 10 czerwca

10:00 - 14:00 - zapraszamy Absolwentów w szkolne mury - możliwość odwiedzenia Szkoły po latach

14:00 - Otwarcie Wystawy "Wybitni absolwenci Gimnazjum i Liceum w Bochni" - siedziba Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej, Rynek 2

14:30 - przejście nauczycieli i uczniów w uroczystym korowodzie z gmachu Szkoły na bocheński Rynek

15:00 -uroczyste otwarcie Zjazdu Absolwentów - Rynek bocheński. W programie wykonanie hymnu Szkoły, koncert piosenek z dawnych lat.

16:00 - Msza Święta w Bazylice Mniejszej pw. św. Mikołaja w Bochni. Po Mszy Świętej - przejście Absolwentów do gmachu Szkoły - odsłonięcie tablicy jubileuszowej.

18:00 - *Wielka draka w murach ogólniaka* - spektakl w wykonaniu uczniów I LO - przygotowany pod kierunkiem p. Zofii Sitko

- *Każde pokolenie ma swój czas* - koncert piosenek w wykonaniu uczniów I LO - pod dyrekcją p. Małgorzaty Czekotowskiej
- wspomnienia Absolwentów

20:00 - Bal Absolwentów - hala widowiskowo - sportowa w Bochni.

Podczas jubileuszu będzie można nabyć książkę Stanisława Kobieli pt. *Sila przyciągania. Z dziejów bocheńskiego gimnazjum, liceum i Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej.*

KRONIKA

STOWARZYSZENIE BOCHNIAKÓW I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

Piękno ukryte w mroku

19 stycznia 2017 r., w Domu Bochniaków, odbył się wernisaż wystawy fotograficznej pod tytułem „Piękno ukryte w mroku”. Organizatorzy wystawy tj. Kopalnia Soli Bochnia Sp. z o.o. oraz Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej na 40 kolorowych planszach przedstawili urok bocheńskiej kopalni, wpisanej na listę dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego UNESCO, labirynt chodników, korytarzy i wyrobisk drążonych w solnej caliznie od ponad 700 lat. Sól jest niezwykle fotogeniczna, jednak jej fotografowanie wymaga zarówno umiejętności, jak i sporej wyobraźni a przede wszystkim cierpliwości. Plon tym bardziej wartościowy, że przedstawia podziemny świat, który znika na naszych oczach. Prezentowana wystawa to plon pracy ludzi związanych z kopalnią obowiązkami zawodowymi, jej miłośników i entuzjastów zauroczonych pięknem ukrytym w mroku bocheńskich podziemi. Autorem znaczącej części prezentowanych fotogramów jest Adam Brzoza – fotograf National Geographic, którego prace znalazły się w albumie wydanym przez kopalnię, w 2016 r. pt. „Kopalnia Soli Bochnia. Historia wykuta w soli”. Znajdziemy tam również prace Janiny Wrzak, Aleksandry Puławskiej, Michała Flaszy i Krzysztofa Stompora. Oprócz znakomitej jakości fotogramów można również zobaczyć zdjęcia przedstawiające minerały kopalni w technice 3D. Wystawa trwać będzie do 30 kwietnia 2017 r.

Spotkanie opłatkowe w Domu Bochniaków

21 stycznia 2017 r. odbyło się spotkanie opłatkowe Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej. W spotkaniu uczestniczyli: proboszcz i dziekan bocheński ks. dr Wojciech Gałda, pani Edyta Groblicka-Kuc - sekretarz UM.Bochnia w imieniu burmistrza Stefana Kolawińskiego, przedstawiciele Stowarzyszenia Absolwentów Uniwersytetu Jagiellońskiego z p. wiceprezes Barbarą Nikorowicz, panią Aleksandrą Pają i p. Jackiem Nikorowiczem, przedstawiciele Klubu Przyjaciół Wieliczki z p. prezes Jadwigą Duda, p. Roman Kucharski prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Radłowa, dr hab. Teofil Wojciechowski przedstawiciel Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Oddział w Bochni i czł. honorowy Stowarzyszenia Bochniaków, p. Marek Kubicki sztygar Kopalni Miedzi „Rudna-Polkowice” wraz z małżonką, p. Zofia Sitko z Archiwum Narodowego w Krakowie Oddział w Bochni, delegacja Rodziny Kolpinga w Bochni, pani Maria Stachura prezes Stowarzyszenia Związku Niewidomych i Niedowidzących, p. Halina Mucha i Jan Rataj z Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” Oddział w Bochni, przedstawiciele Oddziałów Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej: p. Maria Kiełbińska prezes Oddziału Katowickiego, państwo Irena Bieniek, Justyna Kozicka i Tadeusz Jodłowski i Kazimierz Barnaś z Oddziału Krakowskiego, Stanisław Domański z liczną grupą Towarzystwa Miłośników Wiśnicza, przedstawiciele sekcji Bursaków p. prof. dr hab. Jan Styczeń i p. Kazimierz Kozak, liczni członkowie i sympatycy naszego Stowarzyszenia, w tym chór

„Lutnia” z p. kier. Sylwią Klejdysz. Po powitaniu gości odbył się koncert (wspólne śpiewanie kolęd), następnie odczytanie Ewangelii Świętej poświęcenie opłatków przez ks. dr Wojciecha Gałdę i składanie życzeń. Po życzeniach kontynuowano śpiewanie kolęd. Przy herbacie i poczęstunku miło płynął czas na rozmowach aż do późnych godzin wieczornych. 14 stycznia br. byliśmy gośćmi na spotkaniu opłatkowym organizowanym przez Stowarzyszenie Absolwentów UJ, które już od kilku lat odbywa się w Collegium Novum.

Kwiaty pod pomnikiem Powstańców Styczniowych w Bochni

27 stycznia 2017 r. w 154. rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego pod pomnikiem Powstańców z 1863 roku na cmentarzu komunalnym św. Rozalii w Bochni Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej i uczniowie z klasy I b matematyczno-fizycznej I Liceum Ogólnokształcące im. Króla Kazimierza Wielkiego złożyli kwiaty i zapalili znicze ku czci powstańców pochodzących z obwodu bocheńskiego, poległych i zmarłych z ran w bojach pod Batożem, Starą Wsią, Krzykawką, Jawornikiem, zastrzelonych przy próbie przekroczenia granicy na Wiśle lub podczas rewizji, zakatowanych na nieludzkiej ziemi, Sybirze, z dala od ojczystego kraju i tych, którzy po powstaniu nie przeżyli pobytu w więzieniach lub, wcieleni do armii cesarza Maksymiliana, nie powrócili z habsburskiej wyprawy do Meksyku. To razem 39 ofiar zrywu narodowego, którego celem było zrzuć jarzma niewoli. Wielu walczyło w oddziałach: Apolinarego Kurowskiego, Żuawach Śmierci Franciszka Rochebruna, płk Marcina Borelowskiego-Lelewela, Dionizego Czachowskiego. Obwód bocheński, rozciągający się od Podgórza (obecnie część Krakowa) aż po Dunajec, graniczył przez Wisłę z Królestwem Polskim, gdzie toczyły się walki powstańcze, był dogodnym obszarem do udzielania różnorodnej pomocy dla powstańców, a więc prowadzenia werbunku, zaopatrywania w lekarstwa, środki opatrunkowe, zapewnienie miejsc schronienia dla ściganych przez Rosjan powstańców. Pomoc tę organizowała Bocheńska Ława Powstańcza pod kierunkiem bocheńskiego lekarza dr Franciszka Hoszarda, działająca tutaj od jesieni 1862 r.

Pomnik ku czci powstańców z 1863 i 1864 r. ufundowało Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej w 2013 r. z okazji 150. rocznicy wybuch powstania.

Od mikroświata-jądra atomowego do makroświata - kosmosu

21.02.2017 r. wykład pt. "Od mikroświata-jądra atomowego do makroświata - kosmosu" wygłosił prof. dr hab. Jan Styczeń, członek Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej z naszej sekcji bursaków, absolwent bocheńskiego liceum z 1957 roku. Zob. artykuł dr. Marka Chmiela.

Spotkanie autorskie z dr. hab. Teofilem Wojciechowskim

8 kwietnia 2017 r. odbyło się spotkanie autorskie z dr. hab. Teofilem Wojciechowskim autorem książki pt. „Kopalnia soli w Bochni”, wydanej w ub. roku nakładem Kopalni. Autor

mówił o przeszłości kopalni, jej wpływie na rozwój Bochni, szczególnie na rozwój rzemiosł związanych z kopalnią, handlu solą, o technikach wydobycia soli, ordynacji żupnej króla Kazimierza Wielkiego. Odpowiadał także na zadawane z sali pytania. W spotkaniu udział wziął pan Zbigniew Rojek – prezes Zarządu Kopalni Soli w Bochni.

Podziękowania

W marcu i kwietniu br. Stowarzyszenie nasze wzbogaciło się o znaczną ilość niezwykle cennych fotografii z albumów rodzinnych Goebłów, Wojasów, Rośków, Lasków, Pudelskich. Na fotografiach pokazane są sceny z poświęcenia pomnika Czynu Legionowego w Bochni w 1935 r., ze zjazdu wszystkich absolwentów gimnazjum w Bochni z 1938 roku, z lekcji szkolnych w Prywatnym Seminarium

Żeńskim im. Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, z kolonii gimnazjalnych organizowanych w latach 30. XX wieku w Szymbarku i Chłapowie, z wycieczek Oddziału Wrocławskiego naszego Stowarzyszenia, ze zjazdów absolwentów gimnazjum i liceum z różnych lat, zjazdów naszego Stowarzyszenia, z walk legionowych Władysława Goebła w rejonie Kaniowa, z polskich dywizjonów bombowych w Wielkiej Brytanii w latach 1940-1944, zdjęcia nieistniejących budynków w Bochni. Dostaliśmy wiele fotografii portretowych.

Za udostępnienie do skanowania tych fotografii serdecznie dziękujemy: pani dr Zofii Pudelskiej z Krakowa, pani Ewie Rosiek-Buszko, pani Jolancie Szpisakowej, pani Małgorzacie Malaca, panu Tomaszowi Radwan Wińskiemu z Sopotu, panu Andrzejowi Migdałowi z Wrocławia. Kronikę przygotowali: Stanisław Mróz i Stanisław Kobiela

WSPOMNIENIA O TYCH, KTÓRZY ODESZLI

Śp. Wanda Liguzińska (1927 – 2017)

„Sto lat!” gromko śpiewał dla Pani Wandy, 10 lat temu, chór Stowarzyszenia. Niestety życzenie nie ziściło się. Boleśnie dotknęła nas wiadomość, że 23



marca br. zmarła w wieku 90 lat Pani Wanda Liguzińska. Spoczęła obok męża w rodzinnym grobie na cmentarzu przy ulicy Orackiej. Liczne grono uczestników żałobnej uroczystości, piękna homilia ks. Dariusza Bugajskiego z parafii Św. Mikołaja, serdeczne słowa Romy Stus-Furmańskiej - organizatorki pogrzebu oraz Stanisława Kobieli, prezesa Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników

Ziemi Bocheńskiej wyraziły poczucie straty, szacunek i uznanie dla Jej zasług i szlachetności charakteru.

Pani Wanda, nestorka Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej, w latach 1989-2007 sumiennie i z zaangażowaniem kierowała biurem Stowarzyszenia. Szczodrze wtedy ofiarowała swój czas, doświadczenie i co najważniejsze serdeczność i życzliwość. Była inicjatorką wielu przedsięwzięć. Przyjazna dla wszystkich – lubiana przez wszystkich. Kiedyś o Niej pięknie napisano „Była bowiem Pani Wanda mistrzynią miłego i ciepłego nastroju. Do naszej siedziby wniosła serdeczną atmosferę domu rodzinnego...”

Dar słowa, wrażliwość na kulturę szczególnie w rozumieniu sztuki i literatury – dużo czytała – czyniły Ją interesującą interlokutorką naszych spotkań, rozmów w Domu Bochniaków, a także w jej rodzinnym domu przy ul. Romana, gdzie w ogrodzie zawsze tyle kwiatów.

Wypowiadała się też na łamach „Wiadomości Bocheńskich”. W serii wydawniczej „Poznajmy się bliżej” przeprowadziła wiele wywiadów. Po latach jej artykuły zyskują walor dokumentu, wspomnienia o ludziach ciekawej pasji i talentu. Chętnie dzieliła się swoją wiedzą o dawnej Bochni, również na spotkaniach z młodzieżą licealną.

Była Bochnianką, żoną bohatera bitwy o Narwik w 1940, serdeczną matką i babcią. Zakochana we wnukach, żyła ich sprawami, dumna z ich sukcesów i zainteresowań – chętnie o tym mówiła.

W okresie aktywności zawodowej pracowała w bocheńskim Spółem - PSS i przez lata zasiadała w Radzie Nadzorczej Spółdzielni.

Wrażliwa na sprawy szlachetne przez 15 lat była zaangażowana i wspierała Dzieło Misyjne Księży Werbistów. Posługę misyjną pełniła w formie pieniężnej, dla ludzi potrzebujących.

W naszej pamięci pozostanie żywy przykład naszej drogiej Koleżanki – Pani Wandy, człowieka szlachetnego, osoby wyjątkowej, otwartej na świat i ludzi, pełnej uroku osobistego.

Rodzinie i Jej bratu Panu Józefowi Szelidze, prezesowi oddziału warszawskiego składamy wyrazy serdecznego współczucia.

**Zarząd Główny i oddział bocheński
Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej.**

Śp. Anna Kołodyńska (28.06.1930 - 01.02.2016)

Z żalem żegnamy panią Annę Kołodyńską z Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej. Cześć jej Pamięci. Poniżej zamieszczamy krótki życiorys napisany przez syna, pana Michała Kołodyńskiego:

Anna Kołodyńska urodziła się 28.06.1930 r. w Górcie Kościeliskiej (obecnie część Nowej Huty). Dzieciństwo spędziła w Bochni, gdzie mieszkała w domu rodziców (Stanisława i Katarzyny Trzeplów) przy ul. Orackiej 63. Z tego okresu często wspominała inscenizowany przez koleżanki i kolegów teatryk, gdzie za scenę wykorzystywany był trzepak, a jednym



ze współuczestników był późniejszy znany aktor śp. Bogumił Kobiela. Krótko po wojnie wyjechała do Krakowa, gdzie na Akademii Medycznej ukończyła stomatologię. Pod koniec studiów poznała mojego ojca Józefa - oficera WP. Po ślubie rodzice zamieszkali w Krakowie przy ul. 18 Stycznia. W roku 1956 przyszedł na świat mój brat Jarosław, a ja urodziłem się w 1958 r. Mieszkaliśmy w Krakowie, Wrocławiu, Warszawie, a potem w Mińsku Białoruskim, gdzie ojciec pracował na placówce dyplomatycznej. Przez całe swoje życie z nostalgią wspominała rodzinną Bochnię i ludzi z nią związanych. Działała w Oddziale Warszawskim Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej. Od kiedy pamiętam, mama bardzo interesowała się historią Polski. W naszej pamięci pozostała osobą, która dzieciom oraz wnukom starała się zaszczepić zainteresowanie historią i wartościami patriotycznymi.

Michał Kołodyński

Ś.p. Anatol Omelaniuk (10 VIII 1932 – 28 I 2017)

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 28 stycznia 2017



roku w wieku 84 lat zmarł wybitny regionalista, wieloletni prezes Rady Krajowej Związku Regionalnych Towarzystw Kultury, filozof, prezes h.c. Dolnośląskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, redaktor naczelny „Dolnego Śląska” i „Kultury Dolnośląskiej” - prof. Anatol Omelaniuk.

Dzięki jego zaangażowaniu polski ruch regionalistyczny stał się autonomiczny i wolny od nacisków ideologiczno-politycznych

jeszcze przed 1981 rokiem. Konsekwentnie dążył do tego, aby także po 1989 r. regionalizm nie był łączony z żadnymi opcjami politycznymi i jednoczył wszystkich miłośników małych ojczyzn niezależnie od światopoglądu, wyznania, poglądów politycznych, pochodzenia etnicznego. Wartością nadrzędną ma być dobro wszystkich wspólnot lokalnych i regionalnych, które – dzięki aktywności regionalistów – składają się na pomysłowość całej ojczyzny.

To z jego inicjatywy taki zapis znajduje się w Karcie Regionalizmu Polskiego, uchwalonej na V Zjeździe Regionalistów Polskich we Wrocławiu w 1994 roku. Przyczynił się walcnie do powstania programu MEN „Edukacja regionalna – dziedzictwo kulturowe w regionie”.

W latach 1980/81 jako sekretarz w Regionalnym Komitecie Porozumiewawczym Związków Twórczych i Stowarzyszeń Naukowych uczestniczył w Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Uczestniczył w przerwany przez wprowadzenie stanu wojennego Kongresie Kultury Polskiej w grudniu 1981 r. Na Kongresie Kultury Polskiej w 2000 r. pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Komitetu Organizacyjnego Kongresu, zabiegał o wsparcie środowisk twórczych i naukowych, pozyskał do udziału w Kongresie wielu wybitnych uczonych, artystów, animatorów kultury, dziennikarzy. Ten Kongres pokazał, że krajowe środowiska kulturalne są zdolne do samoorganizacji, podejmowania społecznych ini-

cyjatyw, pozyskiwania sojuszników dla idei rozwoju kultury w wielu środowiskach. Kongres sformułował liczne i doniosłe dla polskiej kultury problemy i postulaty pod adresem władz ustawodawczych i wykonawczych.

Anatol Jan Omelaniuk był zawsze wierny wyznawanym ideałom i wartościom i umiał dążyć konsekwentnie do wyznaczonych celów. Pomagała mu w tym umiejętność zjednywania ludzi i otwarta osobowość. Taka właśnie serdeczność i otwartość okazał w Bochni, kiedy wspólnie przygotowaliśmy w „Domu Bochniaków” 30 maja 1998 r. I Małopolską Konferencję Regionalnych Towarzystw Kultury Małopolska jako region, której efektem było powołanie przy Stowarzyszeniu Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej Małopolskiego Ośrodka Regionalnych Towarzystw Kultury (przez 3 lata wydawał rocznik „MAŁOPOLSKA. Regiony-regionalizmy-małe ojczyzny”, zanim Ośrodek nie przejęła Wojewódzka Biblioteka Pedagogiczna w Krakowie.

Spis treści nr 1/2017 „Wiadomości Bocheńskich”

1. Triduum Sacrum w poezji i malarstwie - Michalina Pięchowas. 2
 2. Święci gimnazjalni - Alojzy, Stanisław, Kazimierz i Karolina -Zofia Sitko.....s. 4
 3. W kręgu rodzinnej tradycji - wspomnienie o moich rodzicach - Barbarze i Mieczysławie Rośkach - Ewa Rosiek-Buszkos. 5
 4. Rodzina Serdów rodem z Bochni-Roman Kucharskis. 7
 5. Verdun - 100 lat później - Jarosław Przybyłos. 8
 6. Przeróżające fotografie wojenne z Bochni w prasie brytyjskiej i amerykańskiej - Janina Struks. 11
 7. Katastrofa w Rzezawie - akcja, której nie było - Stanisław Kobielas. 14
 8. Z pamiętnika bocheńskiego nauczyciela - Michalina Pięchowas. 23
 9. Moje Jasełka - Tadeusz Hargesheimers. 25
 10. Podniebne historie -Wiesław Zajac s.27
 11. Po co żyjemy? - Antoni Siewińskis. 29
 12. O Dywizjonie Bombowym 311 i Bochniakach, którzy w nim służyli - Stanisław Kobiela..... s. 30
 13. Historie regionalne s. 31
 14. Duszpasterstwo spod biało-czerwonej bandery. Ewelina Mroczeks. 32
 15. Honorowi reprezentanci Bochni. Obywatel i Ambasador na spotkaniu w Gdyni. Roman Rychter.s. 33
 16. Spotkanie z profesorem Janem Stycznem - o protonowej bezinwazyjnej metodzie zwalczania raka w świetle badań naukowych - Marek Chmiels. 35
 17. Kariery chłopskich synów - Janina Kęseks. 36
 18. Jan Wiktor wiecznie żywy - Czy Jan Wiktor zastąpi w Bochni Leopolda Okulickiego? - Stanisław Kobielas. 41
 19. Ktokolwiek wie ... o losach Basi Jonker.....s. 42
 20. Kronikas. 43
 21. Wspomnienias. 45
- Na okładce.- Widok ze wzgórza Uzbornia na kościół p.w. Św. Mikołaja - fot. Stanisław Mróz
Fotoreportaż str. 44-45 Stanisław Mróz



Na spotkaniu oplatkowym w Domu Bochniaków



Pod pomnikiem Powstańców 1963 r. na cmentarzu św. Rozalii w 154. rocznicę wybuchu Powstania



Uczestnicy spotkania pt. „Verdun 100 lat później”



Spotkanie autorskie z dr. hab. Teofilem Wojciechowskim - autorem książki „Kopalnia Soli w Bochni”.